O odpowiedzialności

rozmowa z sekretarzem KŁ PZPR, Klemensem Kwiatkowskim.

Prom „Regina"

Poprosiłem wopistę, aby sprawdził czy samochód nie został przypadkiem na pokładzie. Nie było tam żadnego samochodu. Może w ogóle nie wyjechał ze Szwecji?

Pod szyldem

Tak to, od rzemyczka do koziczka, rodził się, aż zrodził, wielki skandal w Domu Środowisk Twórczych w Łodzi.

Doktor czwartego wymiaru

Butelka zaczyna nagle drgać, kołysać się lekko. Potem staje na ukos, na krawędzi dna, jakby zupełnie wyjęta spod prawa grawitacji.

Elektroniczne ucho

Nie na darmo na ścianach sztabu ABN wszędzie widać rzucające się w oczy tabliczki z napisem: „Ani słowa!".

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 15 (1114) ROK XXII 15 KWIETNIA 1979 R. CENA 3 zł

Pogodnych
I zdrowych
Świąt
życzy Redakcja

Foto: R. Łucyszyn

SZEPTEM I KRZYKIEM

Z profesorem NILSEM ÅKE NILSSONEM rozmawia Tadeusz Szczepański

— Panie Profesorze, który raz gości Pan w Polsce?

— Nawet nie wiem. Byłem wiele razy, teraz chyba po raz dziesiąty.

— Czy jest to Pana pierwsze spotkanie z Łodzią?

— Pierwszy raz byłem w Łodzi dwa lata temu. Przyjechałem wówczas z Warszawy, aby obejrzeć znakomite przedstawienie „Operetki" Gombrowicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka w Teatrze Nowym. Jednakże ten krótki pobyt nie był pierwszym spotkaniem z Łodzią. Kiedy miałem 17 lat, jeszcze w szkole, czytałem powieść o tym mieście — „Ziemię Obiecaną" Władysława Reymonta w przekładzie na język szwedzki. Bardzo lubiłem tę książkę. Jest to pasjonujący obraz tego miasta, niezwykle bogaty i dynamiczny.

— Skoro mowa o Pańskiej młodzieńczej fascynacji twórczością Reymonta, trudno nie przypomnieć, że ten związany z Łodzią pisarz został w 1924 r. laureatem Literackiej Nagrody im. Alfreda Nobla. Poprzednio w 1905 r. nagrodą tą został wyróżniony Henryk Sienkiewicz. Polacy, podobnie jak cały kulturalny świat, wysoko cenią tę nagrodę. Jednakże ostatnie wybory Szwedzkiej Akademii w dziedzinie literatury nieco nas zaskoczyły. Czy Pan Profesor, który jest konsultantem jury literackiej nagrody Nobla, podziela to wrażenie?

— Oczywiście. Wszyscy byli zaskoczeni I krytycy i publiczność literacka. W swoim czasie w wyborze laureata kierowano się do pewnego stopnia zasadą geograficzną, w myśl której literatura każdego kraju powinna otrzymać nagrodę Nobla. Odnoszę wrażenie, że ostatnio kryteriami wyboru poczynają rządzić bardziej partykularne interesy, bywa też, że nieoczekiwany laureat jest wynikiem kompromisu pomiędzy dwoma grupami, które lansują zupełnie innych kandydatów.

— Mimo to rokrocznie polscy czytelnicy nie bez emocji oczekują na kolejny werdykt Szwedzkiej Akademii. I nie będę ukrywał, że to oczekiwanie jest zabarwione cichą nadzieją...

— Przyznam, że nie rozumiem tych emocji, tego zainteresowania Polski literacką nagrodą Nobla. U nas, w Szwecji nikt się tym nie przejmuje. Dziwi mnie to znaczenie, które Polacy przywiązują do literatury. Wydaje mi się to nieco staroświeckim reliktem romantyzmu. W Szwecji pojęcie kultury jest znacznie szersze. Po Strindbergu nie mieliśmy pisarza o międzynarodowej sławie. My mamy tylko Bergmana, ABBA, Stenmarka i Borga. Stąd w Szwecji pojęcie kultury jest znacznie szersze, bowiem zawiera w sobie pop-music, sport, etc. W polskiej kulturze najbardziej interesującym zjawiskiem jest dla mnie muzyka, np. Krzysztof Penderecki jest w moim przekonaniu najwybitniejszym kompozytorem na świecie. Po co zatem Polakom literacka nagroda Nobla?

— Byłaby to szansa pełniejszego istnienia polskiej literatury w literaturze światowej ponieważ zazwyczaj literacka nagroda Nobla pobudza zainteresowanie twórczością laureata i literaturą, z której się wywodzi. Zwiększają się tłumaczenia, rosną nakłady. Uważamy bowiem, że nasza literatura nie jest w Europie i na świecie tak znaną jak na to zasługuje swoimi wartościami humanistycznymi i artystycznymi.

— Nie tak dawno zapytałem sekretarza Szwedzkiej Akademii: „A może by w tym roku dać nagrodę polskiemu pisarzowi?". A on na to: „Komu? Jest zbyt wielu dobrych polskich pisarzy". I jest to prawda, bowiem wśród kandydatów byli już Mrożek, Różewicz, Herbert, Iwaszkiewicz i Parnicki.

— Wydaje mi się, że opinia, którą Pan Profesor przytoczył jest w ogromnej mierze Pańską zasługą. Jest bowiem Pan Profesor tłumaczem polskiej dramaturgii współczesnej np. jednoaktówek Sławomira Mrożka, a także tłumaczem i redaktorem pierwszej w Szwecji antologii polskiej liryki współczesnej pt. „Naga twarz" (Det nakna ansiktet) wydanej w 1960 roku, w której znalazły się wiersze m. in. Adama Ważyka, Tadeusza Różewicza Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, a także poety zamieszkałego w Łodzi, Jerzego Waleńczyka. Jest Pan zatem godnym kontynuatorem polonistycznych tradycji w Szwecji, tradycji znaczonej nazwiskami znakomitych polonofilów, Jensena, Felleniusa Falka...

— Nie tylko ja zajmuję się przekładami polskiej literatury. Jest grono ludzi w środowiskach intelektualnych w Szwecji, którzy znają język polski, waszą literaturę, sztukę i kulturę. Być może w zakresie poezji ja zacząłem tę działalność, ale teraz nie jestem już sam. Szczególnie wysoko cenimy polską lirykę współczesną, której obraz w szwedzkich przekładach jest już dość reprezentatywny. Mamy po szwedzku tomiki Herberta, Różewicza, Ważyka, niedługo ukaże się zbiór wierszy Szymborskiej.

— Swój pierwszy, bardzo interesujący wykład, który Pan Profesor wygłosił w języku polskim w Uniwersytecie Łódzkim został zatytułowany nader intrygująco: „Szepty i krzyki. Notatki o kulturze szwedzkiej i polskiej' Czy mógłby Pan wyjaśnić czytelnikom „Odgłosów" sens tej — zapożyczonej od znanego w Polsce filmu Bergmana — metafory?

Dalszy ciąg na str. 7

KULAWKA

CZYTAJ STR.4

DOKTOR CZWARTEGO WYMIARU

Bardzo długo był nieuchwytny. Na każdy mój kolejny telefon gosposia odpowiadała niezmiennie, że Doktora nie ma, że wyjechał gdzieś w Polskę i nie wiadomo, kiedy powróci. Wydawało się, że z zamierzonej rozmowy będą najprawdopodobniej nici.

Wreszcie jednak udało mi się zastać Doktora w domu. Ale gdy tylko wyjawiłem, o co mi chodzi, bez słowa odłożył słuchawkę, bez żadnego wyjaśnienia. Zadzwoniłem ponownie i... znów to samo. Tak parenaście chyba razy.

Po którymś z kolei dzwonku nie wytrzymał jednak:
— Czego pan ode mnie chce?!
— Panie doktorze, jak już mówiłem...
— Powinien pan wiedzieć, że nie przyjmuję dziennikarzy!
— Tak, ale ja... w zupełnie innej sprawie... chwileczkę... proszę posłuchać...

Słuchał. Perorowałem długo i kwieciście, tłumaczyłem się gęsto ze swoich szczególnych zainteresowań, powoływałem się na wspólne znajomości, nawet chyba co nieco nakłamałem...

Słuchał cierpliwie. Nareszcie dał się przekonać. Szalę wahań przeważyło ostatecznie bodajże nazwisko profesora Cwynara. Więc zgodził się wreszcie na rozmowę, na seans, może nawet i na jakieś zdjęcia. Ale anonimowo, bez ujawniania nazwiska i zbytecznych szczegółów, jedynie pod tym warunkiem. Nie chce bowiem niepotrzebnego rozgłosu. Już nie raz mocno się na tym sparzył.

Kilka lat temu, kiedy wybuchła nagła moda na parapsychologię, nieopatrznie udzielił wywiadu dziennikarce z Warszawy. Ta później dorobiła do jego wypowiedzi parę niespodziewanych rewelacji, przyozdobiła jeszcze reportażyk kilkoma zgoła fantastycznymi szczegółikami, żeby było ciekawiej, no i zaczęło się!

Po opublikowaniu owego nieszczęsnego materiału, do Doktora, czyniącego rzekomo prawdziwe cuda, poczęły zjeżdżać tłumy ludzi z całego kraju. Samych różnych reporterów co najmniej setka. Gremialny sped. Próżno tłumaczył wszystkim, że nie jest żadnym cudotwórcą ni innym magikiem, że niepotrzebnie zawracają mu głowę i tracą czas. Na gminną wiarę w cuda nie ma żadnej rady, chyba tylko cud jaki!

Ludzie nadal walili tłumnie, bez opamiętania. Cały domek doktora został otoczony ogromniejącym z dnia na dzień taborem samochodów, furmanek, motocykli, rowerów i wszystkich chyba możliwych pojazdów. W polu wyrosły namiotowe obozowiska. Pojawiło się nawet kilka barobusów z piwem i kiełbaskami na gorąco. Istny odpust!

Dalszy ciąg na str. 11

CZYTELNICY — „ODGŁOSY"

W ubiegły piątek zespół redakcyjny „Odgłosów" spotkał się ze swoimi Czytelnikami. Na stronie 15 — czytaj felieton dotyczący tego spotkania.

Za dużo recenzji...

Czytam co tydzień...

PO DNIACH KULTURY POLSKIEJ W ZSRR

Doszły do finału Dni Kultury Polskiej w ZSRR. Była to wielka, znacząca impreza w zamierzeniach, ale przecież już dziś można powiedzieć, że jest taką także w realizacji. Staraliśmy się zapoznać naszych przyjaciół ze wszystkim tym, co najcenniejszego powstało w sferze kultury podczas 35 lat Polski Ludowej. Po wielkiej inauguracyjnej uroczystości w moskiewskim, kremlowskim Pałacu Zjazdów, większość naszych zespołów, solistów, udała się do ponad 100 ośrodków w Kraju Rad. I w Moskwie i wszędzie indziej, gdzie tylko pojawiali się polscy artyści, w teatrach, salach kinowych, salach koncertowych, klubach, a także podczas sympozjów architektów, muzyków, literatów, artystów teatru, sale były wypełnione do ostatnich miejsc. Dowodzi to głębokich związków między naszymi kulturami i szczerego zainteresowania jakim darzą nasze osiągnięcia radzieccy twórcy i po prostu ludzie radzieccy.

Owacje towarzyszyły solistom, chórowi i orkiestrze Filharmonii Krakowskiej, która wykonała „Pasję" Krzysztofa Pendereckiego. Gorącymi aplauzem powitano Teatr Współczesny z Warszawy, który prezentował „Pana Jowialskiego". Taka atmosfera — nie milknących braw, widowni, która przez długie minuty nie zezwala na opuszczenie kurtyny, na zejście zespołu z estrady i — świadomość, że jest się wśród przyjaciół, dodawały jeszcze blasku występom, prezentacjom, dodawały skrzydeł. Dni te długo będą pamiętać ci, którym dane było reprezentować polską kulturę w ZSRR.

Dowodem głębokiego zainteresowania polską kulturą twórców radzieckich niech będą wypowiedzi udzielone wysłannikowi „Trybuny Ludu".

SIERGIEJ MICHAŁKOW: *„Dni" są może i świętem, ale ja bardziej cenię ich roboczo-informacyjny charakter. Wśród radzieckich odbiorców teatr i film z Polski zawsze miały wysoką markę. Zrozumiałe, że na spektakle i na nowe dzieła polskich filmowców czekaliśmy z niecierpliwością. I nie zawiedliśmy się. Wiele słów uznania zyskał wasz koncert galowy, który zadziwił przede wszystkim maestrią wykonawców. A moje osobiste odczucia? Znów jestem wśród przyjaciół — niedawno byłem przecież w Krakowie i Opolu, gdzie teatry grają moją sztukę, a jakby potwierdzeniem przyznanego mi przez dzieci z Polski najwspanialszego orderu — „Orderu Uśmiechu" — są moje „Bajki i baśnie", tak pięknie wydane przez „Naszą Księgarnię".*

JURIJ BONDARIEW: *Takie wielkie imprezy, organizowane co kilka lat, dają mieszkańcom obu krajów, obecnie Związku Radzieckiego, możliwość zaznajomienia się z tymi sygnałami polskiej literatury, plastyki, muzyki, filmu, które dziś są najważniejsze dla waszych twórców. Z tych sygnałów nasi czytelnicy, widzowie, słuchacze, mogą sobie stworzyć coś w rodzaju konspektu, który później, w następnych miesiącach i latach będą w świadomy sposób uzupełniać o nowo przetłumaczone u nas książki polskich pisarzy, o nagrania płytowe poznanych utworów muzycznych itp.*

Dla mnie takie wielkie święta, kontakty osobiste i rozmowy z polskimi pisarzami tworzą mocną, stale pogłębianą więź, która przecież najpełniej ilustruje historycznie ukształtowaną przyjaźń między naszymi krajami i narodami.

Dla mnie osobiście każda nowa, przetłumaczona książka polskiego kolegi po piórze — to wydarzenie oczekiwane z zainteresowaniem i ciekawością. Te zaś rodzą się z mego głębokiego przekonania o czołowym miejscu polskiej kultury i sztuki w życiu współczesnej Europy.

WŁADIMIR FROŁOW, krytyk, historyk teatru: *„Dni" są znakomitе. Po pierwsze dlatego, że znacznie zwiększyły liczbę entuzjastów Polski — kraju, który kocham. Po drugie — można mówić o nowej jakości kontaktów twórczych: na sympozjach szczerze mówiliśmy sobie o sprawach dobrych i złych, o tym, co nas łączy, a co czasami dzieli, czy różni. A tak mogą rozmawiać ze sobą tylko przyjaciele.*

IGOR BEŁZA, muzykolog: *„Pasję" Krzysztofa Pendereckiego, wspaniałe dzieło mistrza, usłyszeliśmy w ZSRR po raz pierwszy. Nie ma potrzeby mówić o mistrzostwie tego kompozytora, o biegłości w operowaniu orkiestrą — przecież krytyka nie bez powodu ogłosiła go „Berliozem XX wieku".*

Olbrzymim powodzeniem w kraju, który ma tak znakomite zespoły kultywujące sztukę ludową — miały też nasze zespoły. Jednym z nich był „Śląsk", który podbił serca kijowian i moskwian. I tak już było wszędzie — na wielkich koncertach i podczas kameralnych spotkań. W owacjach wielkich audytoriów i w skupionej ciszy wystaw, jak na wielkiej wystawie polskiej książki w Domu Pisarza w Moskwie.

Ten wielki sojusz kultur, który miał swoje początki przed wiekami, w przenikaniu się wpływów, wątków, a nie został rozerwany nigdy, bo narody nie tak łatwo rozdzielić — ugruntował się na dobre, okrzepł i ma swoje apogeum teraz, po II wojnie światowej, kiedy nie tylko narody, ale i państwa stały się przyjaciółmi. Jeśliby prześledzić rozwój tego co najznakomitsze w kulturze polskiej i kulturze radzieckiej w 35-leciu powojennym, napotkałoby się wiele cech wspólnych. Pierwsza z nich to głęboki humanizm, troska o świat człowieczy, a wiążąca się z nim druga — to walka z tym co ciemne, zaborcze, działające przeciw człowiekowi. Wielkie przykłady tych wspólnych cech znajdziemy wszędzie, w literaturze, teatrze, sztukach plastycznych, filmie, muzyce.

Ten nowy sojusz zaczął się braterstwem broni i pierwszymi, nieśmiałymi i skromnymi, próbami kontaktów kulturalnych. Były to i wspólne wieczory przy ogniskach w rzadkich chwilach wojennej ciszy, wspólne śpiewy w ziemiankach, kiedy czastuszki mieszały się z zaśpiewami z Mazowsza. Przyszła też kolej na teatry, na Teatr Wojska Polskiego, którego widownią byli przecież nie tylko Polacy. I tuż zaraz po wojnie — przecież nie tylko „wojenni" pamiętają kilkuosobowe ekipy artystów radzieckich, które idąc z wojskiem przynosiły do Polski uśmiech, radość, a i zadumę nad wspólnym losem.

Rozkwit polskiej kultury, którym się tak szczycimy także przed ludźmi radzieckimi, ma swoje głębokie źródła w tradycji tworzonej przez wielkich twórców naszej kultury, ale przecież warto sobie uświadomić i to, że aby źródła te mogły się zmienić w szeroki nurt, który dociera wszędzie — do każdego rejonu kraju i do każdego ze środowisk, trzeba było ustroju społecznego, który kulturze nada rangę dobra narodowego, które trzeba chronić, poszerzać i upowszechniać. A tu już wiele mogliśmy nauczyć się od radzieckich przyjaciół, na ich błędach i sukcesach — zanim myśmy weszli na tę drogę, oni już przebyli pewien etap.

Dlatego dziś tak łatwo jest porozumieć się polskim i radzieckim twórcom; polskiej widowni z radzieckimi twórcami i widowni radzieckiej z twórcami polskimi.

WSPÓŁPRACA TZŁ Z TEATREM W ORADEI

Z Rumunii powróciła delegacja Teatru Ziemi Łódzkiej — Tadeusz Pliszkiewicz, dyrektor i kierownik artystyczny Jan Perz, reżyser i Władysław Orłowski, kierownik literacki, która bawiła z przyjacielską wizytą w Państwowym Teatrze w Oradei. Współpraca między tymi teatrami zainicjowana została jesienią roku ubiegłego, kiedy to w Łodzi gościliśmy delegację z Oradei z dyrektorem Mirceą Bradu.

Oradea jest 200-tysięcznym miastem wojewódzkim, stolicą okręgu Bihor w Siedmiogrodzie, położoną tuż nad granicą z Węgrami. Wokół miasta rozłożone są uzdrowiska, słynące z radioaktywnych ciepłych źródeł leczniczych, z których zwłaszcza uzdrowisko Felix zyskuje sobie sławę międzynarodową w leczeniu chorób reumatycznych. Sama Oradea jest starym i aktywnym ośrodkiem kultury.

Podczas wizyty delegacji TZŁ w Oradei podpisana została formalna umowa o współpracy między obu teatrami, przewidująca już w nadchodzącym sezonie wymianę reżyserów, a w dalszej przyszłości gościnne występy TZŁ w Rumunii, a teatru z Oradei w Polsce. Delegacja TZŁ zwiedziła miasto i jego okolice, obecna była na prapremierze sztuki M. Bradu „Serce" oraz przyjęta została przez sekretarza komitetu wojewódzkiego partii, wicewojewodę Stefana Szanto i przez I sekretarza komitetu miejskiego partii, prezydenta miasta Oradea — Petru Demetera.

KONKURS AKTORSKI

Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych" w Łodzi zaprasza do udziału w Pierwszym Konkursowym Przeglądzie Indywidualnej Twórczości Aktorskiej, który odbędzie się w dniach 10—11 czerwca 1979 r.

W przeglądzie mogą wziąć udział wszyscy profesjonalni artyści dramatu i estrady związani z łódzkimi placówkami artystycznymi. Dopuszczalne są następujące formy: monodram, wieczór poezji, wieczór pieśni, wieczór ballad, recital piosenkarski itp., nie przekraczające 1 godziny. Każdy z wykonawców ma prawo wystąpić z własnym akompaniatorem lub niewielkim zespołem muzycznym (do 3 osób).

Najciekawsze programy poza nagrodami pieniężnymi i wyróżnieniami, będą propagowane i rozpowszechniane w placówkach kulturalno-wychowawczych.

Zgłoszenia, wraz z pełnymi tekstami scenariusza, przyjmuje Dział Organizacji Imprez DŚT (al. Kościuszki 33, II piętro) w nieprzekraczalnym terminie do 15 maja 1979 r.

Wejść żywiej w rytm miasta...

Wnikliwiej czytajcie listy...

Foto: R. Łucyszyn

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.

O ODPOWIEDZIALNOŚCI

mówi sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR KLEMENS KWIATKOWSKI

— Towarzyszu Sekretarzu, dlaczego z taką siłą podniesiono problematykę odpowiedzialności na XIII Plenum KC PZPR. Przecież zawsze, w każdym okresie, była ona ważna.

— Tak. Poczucie odpowiedzialności powinno być trwałą cechą każdego Polaka. Ale nie zawsze tak było i jest. Ponadto powstały dziś przesłanki i czynniki, które odpowiedzialnym zachowaniom i odpowiedzialnej pracy wyznaczają większą, niż kiedykolwiek rolę w dalszym wszechstronnym rozwoju naszego kraju, naszego województwa.

— Jakie to są przesłanki i czynniki?

— Najogólniej rzecz biorąc, są to czynniki jakościowe. Jesteśmy krajem rozwiniętym gospodarczo. W ostatnich 8 latach nastąpił odczuwalny wzrost technicznego uzbrojenia, jest ono o wiele bardziej nowoczesne. Przypomnijmy pewne fakty. Wartość technicznego uzbrojenia pracy brutto na 1 zatrudnionego na początku lat 70 w przemyśle w woj. łódzkim wynosiła około 170 tys. zł, a w 1978 r. już około 400 tys. zł. Osiągnięty poziom rozwoju techniki i technologii stwarza warunki i stawia wymogi podwyższania kryteriów jakości pracy i produkcji, tworzenia bardziej sprawnych i efektywnych w działaniu zespołów ludzkich. Istnieją możliwości realizacji tych postulatów, nastąpiły bowiem ogromne zmiany w strukturze kwalifikacyjnej społeczeństwa. W latach 1971—1978 podjęło w Polsce pracę 5,5 mln młodych ludzi w Łodzi zaś, tylko w latach 1975—78, blisko 85 tys. osób przygotowanych zawodowo, lepiej niż kiedykolwiek. Także rozwój ruchu racjonalizatorskiego oraz zdobyte doświadczenie ludzi pracy, w tym kadry kierowniczej, stwarzają przesłanki dla osiągnięcia wyższej jakości pracy. Zadecydują o tym postawy ludzkie, wysokie poczucie odpowiedzialności w pracy i działalności każdego bez wyjątku, bez względu na stanowisko. Jest to najwyższy nakaz obywatelski, główna sprawcza siła dalszego szybkiego rozwoju naszego kraju.

— Mówiąc o odpowiedzialności rozumiemy najczęściej, iż chodzi o rzetelne wykonywanie stojących przed nami zadań i nałożonych na nas obowiązków. Ale czy to wyczerpuje problem?

— Nie, nie wyczerpuje to problemu, choć rzetelne wykonywanie obowiązków jest oczywiście sprawą bardzo ważną. Często ludzie nie zdają sobie dostatecznie sprawy, że niewykonanie lub złe wykonanie własnej pracy pociąga za sobą ogromne straty w dalszym toku produkcji, a w przypadku gotowego produktu obniża wartość użytkową, przynosi szkodę społeczno-wychowawczą. Właściwie możemy postawić pytanie: komu szkodzimy źle pracując? Samym sobie. Przecież produkujemy dla nas, obsługujemy nasze społeczeństwo. Wzajemnie służymy sobie swoją pracą. Ale jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Odpowiedzialność oznacza konieczność ponoszenia konsekwencji. I to jest chyba najsłabsza strona w egzekwowaniu odpowiedzialności. Jeśli sprawca złej roboty nie ponosi za to odpowiedzialności i nie został wyprowadzony z błędu, to nie tylko nie likwidujemy przyczyn zła, lecz tolerując takie fakty — powodujemy ich rozpowszechnianie się. Oddziałuje to szkodliwie, demoralizująco na otoczenie.

— A zatem odpowiedzialność za jakość pracy ma znacznie szerszy zasięg.

— Tak. Odpowiadamy nie tylko za dobre wykonywanie obowiązków wynikających z charakteru pracy, czy zajmowanego stanowiska. Istnieje ścisły związek między efektami naszej pracy i efektami w całej naszej gospodarce, między jakością naszej pracy i poprawą jakości naszego życia. Oczywiście, te zależności wśród różnych ludzi kształtują się w różny sposób. Ale istota pozostaje taka sama. Nasze poczucie odpowiedzialności w pracy winno wiązać się z poczuciem odpowiedzialności za nasz kraj. Każdy obywatel ma konstytucyjny obowiązek dobrze służyć własnemu społeczeństwu i państwu. Najlepszym kryterium wykonywania tego obowiązku jest dobra, rzetelna praca zawodowa i udział w działalności społecznej.

— Czy w tym kontekście można mówić tylko o odpowiedzialności indywidualnej?

— Nie. Im wyższy jest poziom rozwoju nauki, techniki i technologii, tym bardziej złożone są procesy badawcze i wytwórcze dóbr i tym silniejsza jest potrzeba współdziałania ludzi i całych zespołów ludzkich. Musi istnieć wspólne poczucie odpowiedzialności za wykonanie danego wyrobu lub realizację przedsięwzięcia. Dotyczy to również sfery usług, ładu, porządku i bezpieczeństwa obywateli.

Należy nieustannie wpływać na wzrost poczucia odpowiedzialności przede wszystkim przez pogłębienie motywacji, rozwijanie świadomości, że odpowiedzialność za poziom życia w naszym kraju, za rozwój Polski, za Polskę ponosi każdy obywatel kraju. Poczucie odpowiedzialności jest tym większe, im silniejsze i ściślejsze są związki obywateli z państwem, im większy jest udział obywateli we współdecydowaniu i współgospodarowaniu.

— Czy pod tym względem istnieją w naszym województwie odpowiednie warunki?

— Z całą pewnością. Stworzono szerokie możliwości współdziałania obywateli z terenowymi organami władzy, z kierownictwem przedsiębiorstw oraz sprawowania społecznej kontroli. W radach narodowych: wojewódzkiej i stopnia podstawowego działa ponad półtora tysiąca radnych. Komisje rad narodowych już w pierwszej fazie powstawania planów społeczno-gospodarczych rozwoju miast i gmin naszego województwa wywierają wpływ na ich kształt. Szeroko rozwinęły działalność kontrolną, wniosły wiele inicjatyw gospodarczych. Coraz skuteczniej spełniają rolę gospodarzy zakładów KSR. Ostatnio znacznie rozbudowano tę ważną instytucję demokracji robotniczej w zakładach. Liczba KSR zwiększyła się z 230 do około 450 i uczestniczy w niej około 18 tys. działaczy gospodarczych i społecznych, z tego większość to robotnicy.

Po raz pierwszy odbyły się Konferencje Przedstawicieli Samorządów przy zjednoczeniach. Wypracowują one dopiero profil działania, ale już dziś możemy powiedzieć, że powstały warunki, aby także i na szczeblu zjednoczeń współdecydowano z przedstawicielami załóg o planach społeczno-gospodarczych danej branży. Od niedawna rozpoczęły działalność Komisje Kontroli Społecznej. Społeczeństwo wiąże z ich działalnością duże nadzieje.

W Łódzkim Komitecie FJN i w ogniwach podstawowych działa ponad tysiąc działaczy społecznych — współgospodarzy władz terenowych. Ponadto związki zawodowe, młodzieżowe, spółdzielcze i inne stowarzyszenia stwarzają możliwości współuczestnictwa w podejmowaniu ważnych decyzji, dotyczących województwa, miasta, gminy, czy zakładu pracy. Jak widać, system współdziałania obywateli z terenowymi organami władzy oraz system kontroli społecznej są szeroko rozbudowane, chodzi tylko o to, żeby je umiejętnie wykorzystać i wspierać w ich działaniu.

Pragnę podkreślić, iż różne organizacje społeczno-zawodowe tylko w ubiegłym roku zorganizowały i przeprowadziły ponad 30 tys. różnych kontroli działalności placówek gospodarczych, handlowych, zdrowia, oświatowych itp. Ten szeroki udział w kontroli społecznej świadczy, iż ludzie biorą na siebie odpowiedzialność za dobro społeczne. Z drugiej strony kontrola społeczna jest elementem oceny pracy ludzi, prowadzi do usuwania przeszkód w realizacji zamierzonych zadań, przyczynia się do lepszego ich wykonania.

— Towarzyszu Sekretarzu, co, Waszym zdaniem, sprzyja, a co przeszkadza w kształtowaniu wysokiego poczucia odpowiedzialności?

— Najogólniej rzecz biorąc, sprzyjają mu prawidłowo funkcjonujące stosunki: robotnik — dyrekcja, pracownik — kierownik instytucji, obywatel — władza i odwrotnie. Nad prawidłowym kształtowaniem tych stosunków powinny czuwać organizacje partyjne, związkowe, młodzieżowe, a także kierownicy jednostek państwowych i gospodarczych. Ogromną rolę odgrywają — dobra organizacja pracy, wyraźnie określone kompetencje i zakres obowiązków, ład i porządek w zakładzie. Nie można także nie doceniać takich czynników, jak estetyka miejsca pracy, zamieszkania i wypoczynku. Wszystko to ma wpływ na podnoszenie ogólnej kultury pracy, na wzrost szacunku dla mienia społecznego, na wzrost poczucia współodpowiedzialności.

Ważną rolę w kształtowaniu właściwych stosunków społecznych odgrywają również urzędy i instytucje obsługujące obywateli. Obywatel, który ma sprawę do jakiegoś urzędu, czy instytucji, musi mieć pewność, że będzie ona sprawiedliwie, kompetentnie i szybko załatwiona. Mitręga i biurokratyczny sposób załatwiania spraw obywateli rodzą niechęć i pretensje do władz, i to do władz, a nie do określonych ludzi. Osłabia to więź obywateli z państwem. Podobnie ma się rzecz w zakładzie czy instytucji. Jeśli przełożony nie będzie znał załogi, jej problemów, czy też osobistych problemów poszczególnych członków załogi, którzy czasowo znaleźli się w jakiejś trudnej sytuacji życiowej, jeśli nie będzie wysłuchiwał opinii załogi, a także opinii funkcjonujących w grupach pracowników i nie będzie szybko, sprawiedliwie i rozumnie rozwiązywał nabrzmiałych problemów to, rzecz jasna, nie stworzy ani możliwości, ani zachęty do podejmowania efektywnej pracy w zakładzie czy instytucji. Co więcej, taki stan może spowodować zobojętnienie, a negatywne zjawiska w zakładzie nie znajdą dezaprobaty w opinii współtowarzyszy pracy. Ludzie pozostają i przywiązują się do danego zakładu pracy nie tylko ze względu na zarobki, lecz także często głównie dlatego, że czują się w nim dobrze, znajdują uznanie, szacunek, przyjaciół i satysfakcję z pracy. W takich warunkach ludzie identyfikują się z problemami zakładu, z jego programem, z państwem.

— Wiele się mówi o braku równowagi rynkowej. Czy ma to jakiś związek z motywacjami pracy?

— Tak. Brak równowagi rynkowej działa, przynajmniej w odniesieniu do pewnych grup ludzi, negatywnie na motywacje pracy. Następuje to wówczas, gdy fundusz płac rośnie szybciej, niż wydajność pracy. Przy braku równowagi rynkowej występuje ograniczona swoboda w wyborze dóbr i usług, co osłabia motywacyjne funkcje zarobków. Może też wystąpić naruszenie zasady podziału według pracy, tzn. ci, którzy dysponują podażą dóbr i usług dostarczanych na rynek w ilościach niedostatecznych w stosunku do popytu są w sytuacji uprzywilejowanej i mogą z tego tytułu dyktować warunki i ciągnąć określone korzyści. Te korzyści nie są najczęściej związane z ilością i jakością wydatkowanej pracy. Na przykład wprowadzanie nieuzasadnionej zmiany cen, podmiana asortymentów, korzyści płynące ze sprzedaży spod lady, protekcje itp.

Tak więc przywrócenie równowagi rynkowej ma nie tylko wielkie znaczenie ekonomiczne, lecz także moralno-wychowawcze. Dlatego też kierownictwo partii i rządu przywiązuje wielką wagę do bezwarunkowego wywiązywania się wszystkich producentów z zadań w zakresie dostaw towarów na rynek oraz do zdecydowanego wzmocnienia dyscypliny w gospodarowaniu funduszem płac.

— Czy można mówić w warunkach łódzkich o takich dziedzinach pracy, które wymagają wyjątkowo odpowiedzialnego potraktowania?

— Nie sądzę, aby należało dzielić pracę na mniej lub bardziej odpowiedzialną, choć zaprzeczy mi w tym miejscu wielu profesjonalistów. Każda praca powinna być wykonana w sposób odpowiedzialny. Są jednak takie dziedziny działalności gospodarczej i usług, które — szczególnie w dużych aglomeracjach miejskich — wywierają istotny wpływ na warunki życia i samopoczucia mieszkańców. Dotyczy to sprawnego funkcjonowania komunikacji, handlu, służby zdrowia itp. Jeśli w tych obszarach spraw źle pracują choćby niektóre instytucje, placówki czy organizacje, a nawet poszczególni ludzie, to negatywne skutki mają znacznie szerszy zasięg i głębsze reperkusje społeczne.

Weźmy dla przykładu sprawy komunikacji. Łodzianie rozumieją, iż w związku z rozwojem miasta rozbudowano znacznie linie tramwajowe i autobusowe, rozumieją, że brakuje taboru i części zamiennych, ale absolutnie nie godzą się z tym — i słusznie — żeby tramwaje i autobusy kursowały stadami i wcale nie podczas złej aury czy godzin „szczytu". Gdyby zespół kierowców obsługujących daną linię tramwajową lub autobusową lepiej zorganizował przejazdy, wprowadził niejako samoregulację częstotliwości przejazdów, można by, sądzę, w pewnym stopniu poprawić sytuację. Ale trzeba chcieć to zrobić. Jakże często zapominamy, że każdy pracujący obywatel naszego kraju reprezentuje niejako dwa oblicza: z jednej strony produkuje lub obsługuje, z drugiej zaś konsumuje lub jest obsługiwany. Zdarza się, iż sprzedawczyni, jadąc do pracy, pomstuje na niesumiennych kierowców autobusów, a sama, stojąc za ladą, w sklepie, zapomina, że obowiązuje ją uprzejmość i kultura w obsłudze klientów. Na dowód, że każda praca, każda czynność powinna być wykonywana w sposób odpowiedzialny, przytoczę następujący fakt. Na łódzkich budowach miało miejsce obsunięcie się części nowo wznoszonego budynku. Kto zawinił? Jak twierdzą eksperci, gdyby reżimy technologiczne były ściśle przestrzegane, do wypadku by nie doszło. Zawinili ludzie bezpośrednio wykonujący pracę oraz bezpośredni nadzór. Winni zostali ukarani. Gdyby jednak tę pracę wykonano z pełnym poczuciem odpowiedzialności, nigdy by do wypadku nie doszło. Podobnie jest z każdą pracą produkcyjną czy wychowawczą. Źle wykonana przynosi straty, szkody i wzbudza złe nastroje, dobrze wykonaną — pożytek i satysfakcję.

— Co wymaga poprawy? W jakich sferach działania powinniśmy być lepsi?

— Przede wszystkim potrzebne jest większe zdyscyplinowanie. Zbyt duża jest w naszych zakładach pracy i instytucjach absencja i fluktuacja. Nie zawsze zwolnienia chorobowe — wykazały to sprawdziany — są rzeczywiście związane z chorobą. Nadużywa się — rzadkiego w świecie — dobrodziejstwa, jakim jest stuprocentowy zasiłek chorobowy. Wysoka jest także absencja nieusprawiedliwiona. Zbyt wielu ludzi samowolnie porzuca pracę (ok. 24 tys. w ub. r.); część ludzi nie ma dla niej szacunku. W naszym ustroju społecznym każdemu zapewnia się pracę, stąd łatwość jej otrzymania. Na tym tle, tu i ówdzie, wysuwa się propozycje, aby istniała pewna liczba ludzi poszukujących pracy, co miałoby zwiększyć dyscyplinę społeczną, poszanowanie dla pracy oraz jej wydajność. Nasza partia nie chce tą drogą wychowywać społeczeństwa; starsze pokolenie aż nadto dobrze zna i pamięta gorycz braku pracy, zna to upokorzenie. Konieczne jest jednak głębsze zrozumienie istoty prawa do pracy, które wiąże się z określonymi obowiązkami. Konieczne jest bezwzględne przestrzeganie przepisów, wynikających ze stosunków pracy, i to zarówno ze strony pracownika, jak i pracodawcy. Każdy obywatel w naszym kraju ma ogromne możliwości rozwoju i awansu, ale musi wytrwale podnosić sprawność, wydajność i jakość swojej pracy, postępować zgodnie z ustawodawstwem pracy.

— Co, Waszym zdaniem, Towarzyszu Sekretarzu, zadecyduje o przezwyciężeniu wielu mankamentów w naszym życiu?

— Decydującym czynnikiem będzie wysoki stopień ideowego, politycznego i obywatelskiego uświadomienia ludzi zatrudnionych na wszelkich stanowskach pracy. Ich wiara w sens uczciwej i rzetelnej pracy. Wystarczy, żeby każdy, bez względu na zajmowane stanowisko, wykonywał swoje obowiązki sumiennie i z poczuciem pełnej odpowiedzialności. Przyzwyczailiśmy się, iż z każdą, nieraz najdrobniejszą nawet sprawą zwracamy się do władz i mamy do nich pretensje, jeśli coś załatwią nie po naszej myśli. Rzadko jednak dostrzegamy, że częstokroć jesteśmy sami sobie winni. Powinniśmy pamiętać, iż władza ludowa będzie mogła zdziałać w interesie obywateli tym więcej, im większe będzie miała ich poparcie, im bardziej będą się oni identyfikować z państwem.

— Nie jest łatwe to przełamywanie niezrozumienia, wewnętrznych oporów i barier na drodze ku lepszemu?

— Istotnie, ale całkowicie możliwe do wykonania. Trzeba szerzej dopuszczać do głosu to co twórcze, konstruktywne, dobre, wysuwać na czoło ludzi wartościowych, ideowych, uczciwych, zdolnych, dobrych organizatorów. Z drugiej strony usuwać zbędną biurokrację i formalizm w działaniu, eliminować kombinatorów, nierobów, tworzyć klimat społecznej dezaprobaty dla tego, co złe, co hamuje nasz dalszy rozwój, rozwijać szeroki ruch społeczny, nastawiony na przeciwdziałanie zjawiskom negatywnym. Kiedy ludzie widzą sens wykonywanej pracy, pracują wydajniej. Chodzi tu zarówno o celowość wysiłków i o warunki sprzyjające osiąganiu możliwie najlepszych zarobków, jak również o stworzenie możliwości zaspokajania osobistych dążeń, aspiracji i ambicji zawodowych.

— Ostatnie pytanie: głębokie poczucie odpowiedzialności za losy kraju powinno być trwałą cechą każdego Polaka. Jaką drogą, Waszym zdaniem, powinniśmy zdążać, żeby osiągnąć ten ważny cel?

— Najogólniej rzecz ujmując, powinniśmy jak najściślej wiązać osobiste cele życiowe z celami społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. Obywatele naszego państwa powinni stawiać przed sobą ambitne zadania, dążyć wytrwałą, wytężoną i uczciwą pracą do zdobycia uznania i szacunku środowiska, przyczyniać się do rozwoju i gospodarczego wzrostu kraju. Dążenie do dobrobytu powinno się jak najściślej wiązać z podnoszeniem efektywności gospodarowania, której najbardziej istotnym elementem jest wysoka jakość pracy. Każdy ma, a przynajmniej powinien mieć, własną wizję życia i jest niezmiernie ważne, jakie idee, jakie treści ją wypełniają. Powinny one być oparte na realiach dnia dzisiejszego i szerokich perspektywach rozwoju naszego kraju, które przybliżać będziemy tym szybciej, im bardziej odpowiedzialna będzie nasza praca. Tylko stawiając sobie wysokie wymagania, będziemy mogli szybciej realizować własne cele życiowe i wpływać na umacnianie politycznej i ekonomicznej pozycji Polski i jej autorytetu na arenie międzynarodowej.

— Towarzyszu Sekretarzu, dziękuję za rozmowę.

A. Gelman: „Protokół z pewnego zebrania". Scena ze spektakalu w Teatrze Jaracza. *Foto: A. Brustman*

Notował:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

RYSZARD BINKOWSKI

KU-LAW-KA?

Foto: R. Łucyszyn

Pierwszy, nieśmiały powiew wiosny w połowie marca przemienił się raptownie w lodowaty, zapierający oddech wicher; w Suwałkach temperatura spadła do minus 16 st. C, na zawiane drogi wyjechały pługi wirnikowe, a radio podawało niepokojące komunikaty, że rolnicy musieli przerwać rozpoczęte prace polowe.

Zanim więc nad Rozprzą i Niechcicami ponownie zaświeciło blade, marcowe słońce, porządkowałem skrupulatnie zdobyte wcześniej informacje, dotyczące rolnictwa województwa piotrkowskiego, któremu w br. powierzono organizację centralnych uroczystości dożynkowych. Z danych wynika, że w ciągu ostatnich lat w województwie wzmocniły się przede wszystkim spółdzielnie produkcyjne, których jest obecnie 44, a także „kółka" oraz gospodarujące na 8300 ha państwowe gospodarstwa rolne.

Nie pozostaje również w tyle sektor prywatny, albowiem zgodnie z założeniem polityki rolnej powiększa się gospodarstwa chłopskie i przestawia je na specjalizację.

Jako przykład wybrałem gminę Rozprza, jedną z największych w Piotrkowskiem, liczącą 16 tys. ha powierzchni i zamieszkałą przez 13 tys. osób. Na 10.770 ha użytków rolnych (gleby głównie IV i V klasy, ale zdarzają się też gorsze), osiąga się w gospodarstwach chłopskich plony wyższe niż średnia w województwie: zboża 26 q/ha, ziemniaki 210 q/ha. W ubiegłym roku rolnicy indywidualni sprzedali państwu 1,5 tys. ton żywca.

Już na miejscu dowiedziałem się, że gmina specjalizuje się w produkcji mleka, którego w ub. r. sprzedano państwu prawie osiem milionów litrów. Hoduje się tutaj 11 tys. sztuk świń, 6,5 tys. sztuk bydła i, ze względu na rozległe łąki i pastwiska, 4 tys. sztuk owiec.

Niewątpliwie potentatem w produkcji rolnej jest największy w województwie kombinat PGR Niechcice, który zatrudniając 1000 pracowników gospodaruje na 1500 ha i osiąga plony czterech zbóż w wysokości 45 q/ha. Wprawdzie niektórzy dyrektorzy PGR twierdzą, że w Niechcicach musieli ważyć ziarno wilgotne, prosto z kombajnu, ale nie należy im dawać wiary, bo pewnie gadają tak przez zawiść.

Ale gmina Rozprza może się również pochwalić 55 gospodarstwami specjalistycznymi i kilkoma Zespołami Rolników Indywidualnych, a że są to gospodarstwa prężne, wysokotowarowe, świadczą kwity okazywane przez niektórych właścicieli; z kwitów wynika jasno, iż gospodarze w zeszłym roku sprzedali państwu produkty o wartości dwa lub trzy miliony złotych. Tacy o rentę nie muszą się martwić...

W godzinę później spotkałem instruktora gminnej służby rolnej, panią Danutę Szulc, sympatyczną, filigranową, niebieskooką blondynkę, która chyba samym urokiem osobistym potrafi przekonać zatwardziałego chłopa, co należy siać, a co hodować. Powiedziała mi, że jednym z najlepszych hodowców w gminie jest Remigiusz Próba i, żeby rozwiać moje wątpliwości, wyjaśniła, iż Remka zna bardzo dobrze, gdyż razem uczęszczali do technikum rolniczego, i że on już wówczas zdradzał szczególne zainteresowanie hodowlą zwierząt, co obecnie potwierdził jako świetny, autentycznie zamiłowany hodowca owiec.

Przed wyruszeniem do Niechcic zadałem jedno pytanie Eugeniuszowi Słomce, I sekretarzowi KG PZPR w Rozprzy:

— Jak gmina przygotowuje się do dożynek?

— Otrzymaliśmy właśnie dwa listy, jeden od przewodniczącego WRN, skierowany do sołtysów, drugi zaś od Egzekutywy KW, którego adresatem są wszyscy członkowie partii. W listach apeluje się, aby społeczeństwo naszych wsi, miasteczek i osiedli aktywnie włączyło się do czynów społecznych i godnego popularyzowania naszego dorobku przed gośćmi dożynkowymi. Powołaliśmy gminny sztab dożynkowy, który będzie koordynował pracę sztabów wiejskich. Ponieważ będziemy gościć przedstawicieli województwa słupskiego, chcemy zadbać także o estetykę budynków i zagród wiejskich, uporządkowanie zaplecza, naprawę dróg itp.

— A konkretne przykłady?

— Na dożynki zostanie oddany do użytku Ośrodek Zdrowia w Niechcicach. Rzecz jasna, dzięki dużemu wsparciu społeczeństwa, bo na przykład tamtejszy sołtys, człowiek energiczny i pomysłowy, w sobie tylko wiadomy sposób zgromadził i sprzedał na ten cel 100 ton złomu. Załoga kombinatu PGR opodatkowała się w wysokości 1 proc. od zarobków, a ponadto z okazji XXXV-lecia PRL zobowiązała się dać dodatkową produkcję wartości 12,5 mln złotych. Wspólnie z czterema ościennymi gminami budujemy stanicę harcerską w Mrowinie nad Pilicą, którą oddamy do użytku w dniu 31 maja. Nasza SKR buduje własną brygadą zaplecze socjalne i mechaniczne, którego kosztorys opiewa na 80 mln zł. Ale na szczególną uwagę zasługuje Łochyńsko, gdzie przed dwoma laty powstał Obywatelski Komitet Czynów Społecznych. Wspólnym wysiłkiem, który oszacowano na 200 tys. zł, zbudowano tam boiska do małych gier; jedno jest wybetonowane i zimą służy za ślizgawkę. Łochyńsko jako pierwsze w gminie przeprowadziło tegoroczną zbiórkę na NFOZ. Trwałym osiągnięciem jest zbudowanie prowadzącej przez wieś asfaltowej drogi o długości 600 m i wartości ponad pół miliona złotych. Z okazji dożynek w Łochyńsku powstanie w czynie społecznym wodociąg wiejski...

Udałem się do Niechcic. W drodze przypomniała mi się historia zasłyszana u jednego z owczarzy, mieszkającego przez pewien czas w Bieszczadach. Poznał tam „cepra", który zafascynowany propagowanym w czasopiśmie „Plon" hasłem pt. „Kto ma owce, ten ma, co chce", wyruszył w dzikie przygraniczne ostępy aby zbijać kokosy na wełnie. Zakupił niewielkie stado młodych matek, ale zaczęło mu się nudzić na odludziu i uderzył niegroźnie w wódeczność, zaniedbując niewinne owieczki. Wróciwszy pewnego razu z „gościnnych" występów w Lesku, wszedł do owczarni i zamiast nakarmić zwierzęta, ułożył się do snu. Nad ranem obudził się i stwierdził z przerażeniem, że został kompletnie okradziony: zniknął portfel, pieniądze, dokumenty oraz książeczka PKO. I dopiero w świetle dziennym zauważył, że w słomie walają się nadgryzione resztki portfela...

Stąd morał, że owce wprawdzie nie są wybredne, jeśli chodzi o pasze, lecz jeśli się je zaniedbuje, to nie tylko nie ma się, czego się chce, ale wiele jeszcze można stracić...

Odnalazłem przy głównej ulicy stary drewniany domek, starannie utrzymany z pięterkiem, wszedłem na rozległe podwórze, grząskie jak zwykle w czasie roztopów, i po chwili znalazłem się w przestronnej kuchni, wyposażonej we wszelkie nowoczesne akcesoria: bojler, kuchnię gazową, zlewozmywak, płytki na ścianach i jasnego koloru segmenty.

Remigiusz Próba okazał się młodym człowiekiem o inteligentnych brązowych oczach, z wysokim czołem i okalającą twarz rozłożystą brodą, która bardziej upodabnia go do przedstawiciela cyganerii niż do rolnika. Serdeczny i ujmujący w obejściu, był jeszcze przez chwilę zajęty podawaniem danych statystycznych pracownicom służby rolnej; zdążyłem przy okazji wynotować, że u Próbów średni plon 4 zbóż wyniósł 40,5 q z ha i że pod hodowlę owiec przeznaczają 1,71 ha łąk i 2,14 ha pastwisk, na których prowadzi się wypas kwaterowy.

Ponieważ statystyka nabrała rozmachu, wdałem się w rozmowę z matką Remigiusza, ciemnowłosą, schludną kobietą o życzliwej, przejrzystej, śniadej twarzy, do której mimo upływu lat nie zdołały się dobrać zmarszczki.

— Na zewnątrz dom robi wrażenie staruszka, wewnątrz olśniewa czystością i nowoczesnością.

— To zasługa mężczyzn, wszystko mi pokupili. Dom ma pięćdziesiąt lat, można by postawić nowy, są nawet środki, ale wszyscy jakoś przyzwyczaili się do tego starego. Lubią wracać, tutaj się urodzili...

— I dlatego taki długi stół?

— Ach, to na wypadek, gdy latem przyjeżdża dalsza rodzina. A z najbliższych to jeden syn jest na studiach, drugi prowadzi własne szklarnie, córka zaś mieszka w Bełchatowie.

— A ja zostałem z rodzicami — włącza się Remigiusz, — Ale nie jako najmłodszy i najgłupszy, jak dotąd praktykowano w chłopskich rodzinach, lecz z ukończonym technikum rolniczym.

Lubię zwierzęta czyste i łagodne, stąd taka decyzja — hodowla owiec. Trzymałem kiedyś także króliki, ale gdy rozmnożyły się zanadto, zaczęły kopać nory i uciekać z ogródka, musiałem zrezygnować. Zresztą nie miałem czasu się nimi zajmować...

— Kiedy syn wrócił z wojska — odezwał się ojciec Remigiusza, niski szczupły mężczyzna o ciemnej pobrużdżonej twarzy — nie sprzeciwiałem się w zaprowadzeniu hodowli owiec. Ale mieliśmy już gotowy budynek gospodarczy, murowany i piętrowy. Na piętrze były kury, na dole świnie, które zlikwidowałem, bo akurat wynikły poważne kłopoty z paszami i na miejsce świń wprowadziliśmy owce. Od razu 67 matek zarodowych, tzw. jarek. Wykociły się po półtora roku, przez ten czas trzeba je było żywić, a jedyny pożytek to raz zebrana wełna, bo my strzyżemy tylko raz w roku. Jeśli ma się 10 ha pastwiska i dobrego pieska, to latem jedna osoba poradzi sobie z wypasem stu sztuk owiec. Ale przecież na zimę trzeba gromadzić pasze. Jest nas w domu czworo i ledwie sobie z tym radzimy. No, bo trzeba zebrać trzy pokosy siana, zasadzić i sprzątnąć pół hektara buraków, zrobić z liści i poplonów kiszonkę, a także zebrać pół hektara kukurydzy na kiszonkę. Do kukurydzy nie ma maszyn. W SKR mają sieczkarnię polową do niskich zielonek. Musieli by dwa razy przejeżdżać po polu, żeby ściąć kukurydzę, ale wtedy połowę plonów byśmy pognietli. Myśmy kosili kukurydzę kosiarką, ładowali na wozy, w domu cięliśmy na zwykłej sieczkarni, a potem do silosu. Ale to nie wszystko. Trzeba bowiem zgromadzić zapas czerwonej marchwi pastewnej dla jagniąt, sprzątnąć 1 ha pszenicy i 2 ha owsa z jęczmieniem i śrutować to na własnym śrutowniku, żeby mieć pasze treściwe.

— Hodowca owiec, J. Tołkanowicz, jest autorem książki, w której podchodzi do zagadnienia bardziej realnie. Twierdzi on mianowicie, że np. na 15 ha słabszych gruntów można utrzymać stado około 50 matek, czyli średnio 100—120 owiec rocznie, co zapewnia jednej osobie dochód odpowiadający zarobkowi wykwalifikowanego robotnika w przemyśle.

Remigiusz podsuwa mi kwity sprzedaży.

— Autor tej książki ma rację — mówi — bo na całość ekonomiki w gospodarstwie owczarskim wpływa kilka czynników. Z jednej strony opłacalność zależy od wykorzystania własnych pasz, z drugiej zaś od cen. Jak pan widzi, mam tutaj tryki zarodowe, za które biorę po dziesięć tysięcy, a za maciorki po pięć—sześć tysięcy. Wełny zbieram średnio 4,35 kg od sztuki i do niedawna płacono mi po 300 zł za kilogram. Teraz podwyższono średnią cenę do 380 zł, ale wiem, że na dużych fermach dopłacano rocznie 1000 zł do owcy... To nie jest mój wymysł, ja panu podam przykłady. Otóż za młode tryczki rzeźne do 45 kg biorą 47 zł za kg żywca, co w sumie daje 1800 złotych. Gdyby cena żywca była znacznie wyższa, rolnik chętnie kontraktowałby owce, bo za to ma pasze i węgiel. Tymczasem stan pogłowia maleje, ponieważ szerzy się prywatny ubój gospodarczy. Kiedy rolnik zabije młodego tryka, ma mięso, które może sprzedać sąsiadom, a za skórę dostanie bez kłopotu 2000 zł...

Remigiusz Próba jest nie tylko wzorowym hodowcą i strzygaczem (ukończony kurs), ale także wiceprezesem Wojewódzkiego Związku Hodowców Owiec, ma więc odpowiednie rozeznanie i to, o czym mówi, na pewno nie jest pozbawione racji. A mówi, że hodowla jest opłacalna, jeśli zwierząt nie nękają choroby takie, jak robaczyca, motylica czy kulawka. Jakże jednak zapobiegać chorobom, skoro nigdzie nie można kupić „Formosanu", odżywki zawierającej pełny skład witamin, bez której zwierzęta zapadają na krzywicę. Trudno również nabyć leki, a poza tym służba weterynaryjna nie bardzo się zna na leczeniu owiec, ponieważ na weterynarii nie ma takiej specjalizacji.

— Nie chodzi tutaj o kulawkę — wyjaśnia — bo jeśli dwa razy w roku obcina się owcom racice, nigdy nie będą kuleć. Ja robię to za pomocą sekatora, jak wszyscy zresztą, ale w Czechosłowacji jest już maszyna do obcinania racic.

Przypomina mi się coś:

— Czy pan trzyma również takiego barana w fartuchu?

Remigiusz śmieje się serdecznie. Trzeba tu wyjaśnić, że owce nieregularnie przechodzą okres rui i dlatego na niektórych fermach do stada maciorek wpuszcza się tryka probiera, czyli szukarka, którego zadaniem jest wyszukać „grzejące" się owce; nie może on ich jednak zapłodnić, gdyż jego narządy płciowe są przykryte fartuszkiem ze sztywnego materiału, podwiązanym pod brzuchem.

— Dobry tryk to siedemdziesiąt procent powodzenia w stadzie, a sto procent, to dobrze przeprowadzona stanówka (jest to okres około 34 dni, kiedy owce dają się zapłodnić). Ale ja nie stosuję „próbnika", bo to wiąże się ze znakowaniem „grzejących" się owiec i odsadzaniu ich, co tylko komplikuje operację. Ja stosuję system haremowy, tzn. dzielę owce na trzy stadka i do każdego na czas stanówki wpuszczam po jednym tryku.

— Czytałem, że Nowozelandczyk Bowen w ciągu dnia potrafi ostrzyc maszynką elektryczną 400 owiec.

— U nas rekordzistą jest Ryszard Chruścicki z woj. lubelskiego, który ostrzygł 10 owiec w 23 min. i 53 sekundy. Ale w takim tempie długo się nie wytrzyma. Krzyż pęka przy tej robocie, bo trzeba trzymać między kolanami siedzącą na ziemi owcę, jedną ręką przytrzymywać łeb, a drugą strzyc. Maszynki nie są najdogodniejsze w użyciu, trudno je podłączyć, gdyż są przystosowane do napięcia 360 Volt, łatwo więc o porażenie prądem. Ja kończę strzyżenie trzeciego dnia, pakuję wełnę do papierowych worków i odwożę do punktu skupu.

Najbardziej uciążliwy w owczarni jest okres wykotów, czyli tzw. kotelnia. U Próby miała ona miejsce w styczniu i teraz w głównym pomieszczeniu znajduje się 117 jagniąt i 73 matki. Jagnięta przechodzą przez niewielki otwór w płocie aby mogły się najeść do woli w sąsiednim pomieszczeniu. Jest jeden mutant, „czarnogłówka" z czarnym łebkiem i czarnymi nóżkami, przychodzi do rąk jak piesek. Jej matka padła, miała zgorzel wymienia, i Remigiusz karmił jagnię z butelki.

— Jak się zaczną kocić, można zwariować — mówi z humorem. — Codziennie pięć chrztów! Kocą się przeważnie w nocy, nie śpię więc, bo czasem jagnię jest za duże, albo ma podwiniętą nóżkę i muszę jak akuszerka pomagać w porodzie.

Ojciec Remigiusza wprowadza mnie na piętro nad owczarnią. Tutaj znajduje się kilka tysięcy piskląt. Jest ciepło (centralne ogrzewanie), szybki pomalowane na niebiesko, gdyż przy nadmiarze słońca w piskletach wyzwala się kanibalizm i zabijają się dziobami.

— Zaraz po wylęgu zabieram pisklęta z wylęgarni, odchowuję przez pięć tygodni — opowiada starszy Próba — i odstawiam do SKR, która rozprowadza je wśród rolników. Pierwszą partię biorę w styczniu, na górze działa centralne ogrzewanie i ciepło może być wykorzystane na czas wykotów owiec...

Jeśli ktoś zobaczy u Próbów trzy samochody, niech nie myśli, że dorobili się ich wyłącznie na owcach.

Remigiusz jest zdolnym, zapalonym hodowcą, jego tryki, maciorki, jarki i tryczki znajdą się na wystawie dożynkowej w Rokszycach, ale obawiam się, że jeśli sytuacja w owczarstwie nie ulegnie poprawie nawet on może zniechęcić się do hodowli. I nie tylko on...

Sprawa jest poważna, gdyż chów owiec w Polsce nie jest zbyt rozpowszechniony i pogłowie ich jest stosunkowo niewielkie, a po spadku w latach 73-74 nie sięgało nawet trzech milionów sztuk. Krajowa produkcja wełny pokrywa zaledwie 20 procen zapotrzebowania na ten surowiec, jeśli zaś chodzi o skóry na kożuchy i futra, jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeby w niecałych 50 procentach. Kraje zachodnie mogą bez ograniczenia kupować u nas baraninę, płacąc dobre ceny i nie stosując ograniczeń przewozowych. Rozwój owczarswa mógłby nam zapewnić niebagatelny dopływ dewiz, toteż Uchwały Rządu z lat 1973, 1975 i 1976 zachęcały do hodowli owiec i czyniły ją w miarę opłacalną. Aby zwiększyć stan pogłowia, zaczęto sprowadzać owce bułgarskie. Hodowcy twierdzą, że owca bułgarska jest dobra i daje nawet niezłą wełnę, tyle, że wymaga w karmieniu... podwójnych dawek pasz treściwych. Pod tym względem panuje zgodna opinia, że jednak najlepszy jest polski merynos. Ponadto hodowców razi i zniechęca „operatywność" naszych handlowców. Otóż Bułgarzy sami ekspedjują do nas transporty zwierząt, pośród których zdarzają się sztuki słabe i cherlawe, kiedy jednak mają odebrać za swoje owce nasze jałówki, osobiście przyjeżdżają na aukcje i wybierają najlepsze sztuki. Ktoś nie dopatrzył, zlekceważył, popełnił błąd w umowie...

Cena owiec rzeźnych jest zbyt niska, przynosi znane wszystkim ujemne zjawisko nielegalnych ubojów, a wszystko przez to, że w cenę żywca świadomie lub nieświadomie nie wkalkulowano wartości skór. Ostatnio postawiono hodowców w nader kłopotliwej sytuacji: muszą oni najpierw znaleźć nabywcę na owce użytkowe, a dopiero wówczas zorganizuje się dla nich w gminie spęd.

Ktoś podobno wpadł na pomysł, żeby Okręgowe Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi nie zawierały umów z hodowcami owiec. Oznacza to, że hodowca będzie musiał jechać ze zwierzętami na aukcję i jeśli nie znajdzie nabywcy — wracać z całym beczącym majdanem do domu, tracąc czas, nerwy i pieniądze na benzynę. Ale nie tylko. Jeśli nie zawiera się z hodowcą umowy kontraktacyjnej, to on nie tylko mniej zarabia, ale zostaje automatycznie pozbawiony pasz treściwych i węgla.

I dlatego wielu hodowców może chcieć myśleć o likwidacji ferm. Z obawy, że całe owczarstwo ogarnie nieuleczalna kulawka.

Niektórzy jednak liczą na to, że może znajdzie się ktoś rozsądny, kto zapobiegnie w porę temu pomysłowi, który godziłby nie tylko w interesy owczarzy, ale również w interesy gospodarcze kraju. A jeśli chodzi o sprawy jednostkowe, to szkoda byłoby stracić tak zdolnego, młodego, zaangażowanego specjalistę, jakim jest niewątpliwie Remigiusz Próba z Niechcic.

JERZY KATARASIŃSKI

POD

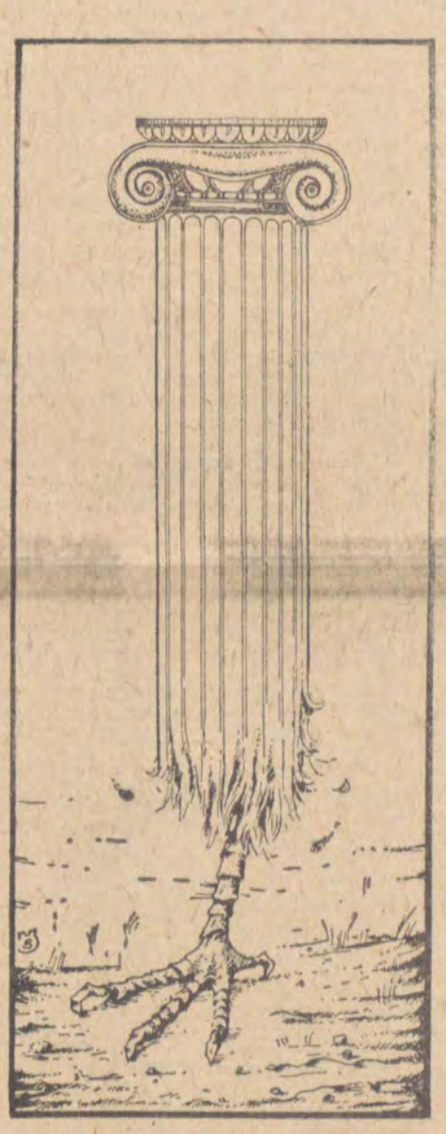

Rys. J. Szymański-Glanc

SZYLDEM

„...Kiedy szef poznańskiego Klubu Dziennikarzy Sportowych osobiście zapraszał na wielką, polską premierę widowiska „Rapsod Olimpijski", które ma być pokazywane zwłaszcza młodzieży, sądziłem, że chodzi o taki pierwszy wzorcowy spektakl. Tym bardziej że była mowa o wybitnych aktorach warszawskich jako wykonawcach. Miejsce premiery — Poznański Teatr Nowy — też budziło zaufanie, podobnie, jak ładny, chociaż tajemniczy plakat: **„Teatr Refleksji", Wiesław Szczotkowski, Poland.** (...) Kompromitacji jest w tym nieuporządkowanym przedstawieniu dużo! Dobrze, że nie wymieniono nazwisk dwóch pań mówiących tekst, trzecim aktorem tercetu teatralnego był pan Wiesław Szczotkowski. Z zażenowaniem uczestniczyłem w tym przedsięwzięciu — i jako miłośnik pięknej polszczyzny, sztuki scenicznej i jako adorator piękna sportu. Irytację wywołuje fakt, że najbardziej szlachetne idee stały się przedmiotem podobnych poczynań, których charakter trudno określić — może handlowy?".

(Ryszard Danecki, Express Poznański, 20.II.1979)

„Moją irytację graniczącą z furią są w stanie zrozumieć tylko ci, którzy wybierając się na znakomity film zmuszeni byli obejrzeć w kinie estradową chałturę, złożoną z łomotu zespołu bitowego, kabotyńskiej konferansjerki, popisów śpiewaczki operetkowej goniącej resztką głosu, monologów skrzących się dowcipami typu: „mózg mi staje i... nie tylko" (cytat!) oraz striptizu w wykonaniu korpulentnej damy, która prawdziwe sukcesy mogłaby odnosić w rzucie kulą. (...)Na biletach — a 70 zł — widnieje pieczątka: **„Dom Środowisk Twórczych Stowarzyszenie — Łódź.** (...)Całą sprawę uważam za skandal, który powinien mieć jakieś konsekwencje. Konsekwencją najoczywistszą winien być zakaz grasowania podobnych trup po ciemnych salach kinowych. Nie jestem tak naiwny, żeby wołać: skończmy z ordynarną chałturą! Domagam się tylko gwarancji, że estradowa chałtura nie wszędzie zdoła się wcisnąć...".

(Stanisław Gębala, Polityka, 10.III.1979)

Kiedy zestawiwszy te dwie informacje postanowiłem rzecz całą sprawdzić u źródła z którego wybiła, tzn. w Domu Środowisk Twórczych w Łodzi, trudno mi było przypuszczać, że zetknę się z tak szerokim rozlewiskiem afer, skandali, oszustw, matactw itp.

Trudno mi było przypuszczać tak jak i każdemu, nawet zorientowanemu w sprawach kultury łodzianinowi, gdyż przecież dla łodzian DŚT istnieje jako forma, na której afiszach znajdowali się w niedawnym czasie tacy twórcy, jak Urszula Kozioł, Kuśniewicz, Koprowski, Redliński, Terlecki, w której odbywają się spektakle Teatru Propozycji dokąd ściąga się luminarzy kultury i której wizytówka — jako instytucji współpracującej pojawia się w „Tele-echu". (W tym wypadku chodzi o usługi księgowo-finansowe). Słyszałem co prawda o jakichś chałturowych skandalach w połowie ubiegłego roku, ale, tak jak każdy, mogłem sądzić, że dawno już one wygasły.

Dyrektor Biura DŚT, Zenon Rogacki, jest wyraźnie zdenerwowany moją wizytą.

— *Nie całkiem tak to wygląda — te oskarżenia — mówi. — Nasi przeciwnicy mają długie ręce i wszędzie umieją dotrzeć.*

— *Kto ma długie ręce — pytam.*

— *Zwolniliśmy kilka osób, więc się na nas mszczą, a mają znajomości... Nie docierały do nas żadne skargi na nasze zespoły, a nawet przychodziły pochwały. Proszę spojrzeć — tu jest podziękowanie za imprezę „Wakacje z polisą" od „El-Touristu" w Elblągu, tutaj pochwałę za tę imprezę podpisała dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki w Elblągu, mgr Alicja Bednarczuk. Podziękowanie za „Kapelę Familijną" przyszło od koła ZBOWiD z Kalisza. Więc to nie całkiem tak...*

— *Wie pan jednak przecież o aferze z czerwca, kiedy to skargi na wasze zespoły — na „Czermen" i właśnie na „Kapelę Familijną" nadeszły z wielu wojewódzkich komitetów partyjnych?*

— *Ja wtedy na tej odprawie nie byłem. Tam poszedł Zarząd, ja jestem tylko dyrektorem biura.*

Czerwcowy skandal, o którym można było sądzić, że został rozwiązany jednym cięciem, dopiero właśnie od czerwca zaczął na dobre owocować. Członkowie Zarządu DŚT dowiedzieli się po raz pierwszy o skrzętnie do tej pory ukrywanych wyczynach, jakie na konto Domu Środowisk Twórczych wpisywały „zespoły terenowe". Pod szczytnym hasłem „W hołdzie ludziom pracy", występowali na estradzie pijani członkowie zespołu „Czermen"; reklamowana jako „Wesoły Autobus", a niekiedy także rzekomym współudziałem Mieczysława Fogga, grasowała po Polsce, wyrzucana z hoteli za pijackie rozróby, amatorska „Kapela Familijna".

Dramatyczną rezygnację z funkcji wiceprezesa Zarządu DŚT złożyła wtedy — w czerwcu ub. r. — Wanda Karczewska, pisarka, której czytelnikom „Odgłosów" nie trzeba przedstawiać. Czyż można się dziwić intelektualistce, zasłużonej dla DŚT szerokim nurtem imprez w sali łódzkiej (właśnie „czwartki literackie", wiele imprez teatralnych, łącznie z kontynuacją Teatru Propozycji), że poczuła obrzydzenie do sytuacji, w jakiej się znalazła? Prezes Edward Dulski stwierdził jednak, że *„łatwo zrezygnować, gdy się wszystko wali, trudniej wyprowadzić na czyste wody"*, więc na takie dictum wiceprezes ostała się w zarządzie, postawiwszy jednak ostre warunki, których realizacji, w miarę możliwości, postanowiła dopilnować. Warunki te, to każdorazowe zatwierdzanie przez Zarząd scenariuszy imprez, a także premier występów objazdowych, kontrola imprez podczas objazdu oraz wykluczenie spośród kierowników zespołów ludzi bez kwalifikacji zawodowo-artystycznych i z „przeszłością". Tak się bowiem składało, że kogo by nie dotknąć, ten miał wyrok — a to za oszustwo, wyłudzenie, a to za pobicie; a to odsiedziany, a to w zawieszeniu. (Owszem i tacy ludzie muszą gdzieś pracować, może nawet w DŚT, byleby nie zbyt wielu na raz, bo wtedy z reedukowanych mogą się zmienić w deprawatorów).

Jak się wkrótce okazało, warunki stawiane przez Wandę Karczewską były w atmosferze instytucji, noszącej szyld Domu Środowisk Twórczych, nie do spełnienia. Ściślej mówiąc — żaden z warunków nie został spełniony.

Teraz prosiłbym Czytelników o chwilę cierpliwości. Muszę bowiem wyjaśnić, choćby w dużym skrócie, co to jest Dom Środowisk Twórczych, komu i po co jest on (lub byłby) potrzebny i po co Domowi Środowisk Twórczych potrzebne są zespoły objazdowe.

Początkowo w części niebrzydkiego budynku przy al. Kościuszki 33 mieściła się restauracja uczęszczana zwyczajowo przez ludzi związanych z kulturą i sztuką. Później wpadł ktoś na niegłupią w zamyśle ideę, aby działalność poszerzyć i stworzyć Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych, którego członkami byłyby takie związki i stowarzyszenia, jak m. in. SPATiF—ZASP, ZLP, ZPAP, SFP i in., delegując do prac w zarządzie swoich przedstawicieli.

Celem działalności klubu miała być prowadzona na wysokim poziomie działalność kulturalna, artystyczna, adresowana do środowisk twórczych. Pojawiły się jednak wtedy trudności. Wpływy z restauracji nie wystarczały na opłacenie czynszu za gmach, na tęże działalność, na płace itp. Klub powinien być dotowany przez zarządy główne stowarzyszeń, aliści te nie kwapiły się z dotacjami; z kolei władze miasta nie mogły dotować klubu, który teoretycznie powinien być dotowany centralnie (takie są przepisy). Zmieniono zatem strukturę i nazwę — na Stowarzyszenie Dom Środowisk Twórczych, którego członkami są osoby fizyczne. Na czele stoi społeczny Zarząd, jemu podlega Biuro DŚT, mające realizować postanowienia Zarządu. Statutowy cel działalności pozostał ten sam, dotacje (jak się jednak okazało — nie do budżetu, ale na finansowanie poszczególnych imprez) mogły już wpływać, lecz okazały się niewystarczające. Zdecydowano się wtedy — aby móc prowadzić działalność w salą własnej — na poszerzenie działalności „w terenie", prowadzonej i wcześniej, tyle że w o wiele mniejszych rozmiarach.

Poruszenie kamyczka wywołało lawinę. Dom rozrósł się, począł anektować coraz większe terytoria (czynsze!), wzrastać też zaczęły (inna sprawa czy do koniecznej skali) potrzeby etatowe. Dziś dyrektor Rogacki przedstawia mi, z dumą przedsiębiorcy, budżet na rok 1979. *Po stronie wydatków* (czynsz, opłaty energetyczne, płace, fundusz bezosobowy i in. — 2 mln zł, inwestycje, remonty, zakupy 981,5 tys. zł, działalność merytoryczna w sali własnej — 1 mln zł) *łącznie 3 mln 981,5 tys. złotych; po stronie wpływów — 4 mln 482 tys. zł* (wpływy z restauracji 300 tys. zł; reszta ma być w przeważającej mierze uzyskana z pracy zespołów objazdowych). Łącznie z wpływami za rok 1978 — 1,55 mln zł, budżet DŚT ma się zamknąć pod koniec 1979 r. zyskiem netto 2.051.000 zł!

Tak z kameralnej w zamiarze inicjatywy zrodziło się przedsiębiorstwo estradowe, różniące się od państwowych estrad (do których mamy przecież także wiele zastrzeżeń) tym, że operujące — praktycznie — poza wszelką kontrolą merytoryczną, mające jeszcze mniej fachowców przygotowujących programy.

Po tych wyjaśnieniach — aby nie być gołosłownym — przejdźmy do konkretów. Interesuje nas, jakie są koszty społeczne tak szeroko rozbudowanej działalności DŚT i kto te koszty spowodował.

▲ Oto w listopadzie 1977 r. dyr. Z. Rogacki rekomenduje Zarządowi na kierownika artystycznego jednego z zespołów, Wiesława Deję. Rekomenduje, choć — jak się później okaże — do Biura już wtedy nadchodziły skargi i zażalenia na W. Deję jako na organizatora terenowego i — mimo że w aktach personalnych zainteresowanego nie można się było doszukać choćby świadectwa ukończenia szkoły średniej. Kiedy później wyszły na jaw konflikty w łonie zespołu, okazało się, że brak matury nie jest jedynym brakiem w teczce personalnej kierownika artystycznego. Zataił on, jak się okazało, fakt, że był karany i to dwukrotnie. To stało się podstawą do zwolnienia go z pracy w marcu ub. r. Na tym jednak historia się nie skończyła. Ginie teczka personalna Deji, a on sam wnosi sprawę przeciw DŚT (Zadziwiające, ale Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi polecił przywrócić powoda do pracy i wypłacić mu odszkodowanie! Sprawa ciągnęła się dość długo, aż wreszcie Prokuratura Generalna uznała w lutym br., iż sąd swym postanowieniem w rażący sposób naruszył wytyczne wykładni przepisów kodeksu pracy).

Przypadek ten, a także afera z „Czermen" i „Kapelą Familijną", powinny stać się ostrzeżeniem dla dyrekcji DŚT, pracującej w imieniu zarządu Stowarzyszenia. Widać jednak mało było tego, by zaraz pojawiły się następne problemy.

▲ Kanikuła przygnała do Domu Środowisk Twórczych zespół „Wakacje z polisą". Wbrew postanowieniom, mówiącym o obowiązku wcześniejszego zatwierdzania scenariuszy programu przez przedstawicieli zarządu, dyrekcja DŚT podpisała umowę z PZU na cykl imprez i postawiła zarząd przed faktem dokonanym. Oto relacja jednego z członków Zarządu: *„Żądaliśmy pokazówki — wypadła fatalnie. Spektakl był jednym chaosem, cechował go bezład kompozycyjny, szmirowate wykonanie, łatanina czym kto umiał i co kto w pamięci miał. Wściekli, kazaliśmy zdjąć szyld DŚT, puścić imprezę pod szyldem PZU. Był to kiepski wybieg, ale impreza miała już wyznaczoną trasę, za dwa dni miał się odbyć pierwszy występ. Odwołanie objazdu nie było możliwe, umowa z PZU opiewała na 720 tys. zł, z czego 30 proc. wynosił narzut dla Stowarzyszenia. Zerwanie umowy groziło krokami prawnymi ze strony PZU, które w odpowiednim czasie mogło było zlecić imprezę Estradzie lub komukolwiek innemu".*

Nie skończyło się na, załatanej jakoś poleceniami przeróbek, kompromitacji artystycznej. Kiedy już artyści się najeździli, w ślad za zespołem przyjechał do DŚT funkcjonariusz MO, prowadzący śledztwo w sprawie nadużyć popełnionych przy okazji objazdu przez działającego w imieniu stowarzyszenia organizatora terenowego Włodzimierza Juszczaka, uprzednio już karanego, tyle, że za pobicie. To nazwisko pojawiło się w DŚT, po raz drugi — W. Juszczak był także organizatorem rozwiązanej „Kapeli Familijnej"...

▲ Afery, śledztwa, pyskówki w biurze DŚT, niczego jednak nie nauczyły dyrekcji tej placówki, skoro niedługo później, bo jesienią ub. r. przyjęto do pracy pp. Gruszczyńskich, którzy zgłosili się z propozycją puszczenia w objazd imprezy „Rapsod Olimpijski", eksploatowanej dotychczas pod szyldem Stowarzyszenia Muzyki Estradowej i mającej skądinąd całkiem dobrą opinię. Ściślej, sprawa wyglądała tak, że zgłosił się do DŚT Bogdan vel Ryszard Gruszczyński; ponieważ jednak dyr. Rogacki tuż przed podpisaniem umowy został poinformowany, iż tenże ma jakieś „kłopoty" z rozliczeniami w SME, podjął dyrektor szybką decyzję zatrudnienia w Domu Środowisk Twórczych nie Gruszczyńskiego, lecz jego żony Sabiny. Ta zaś, korzystając już z uprawnień organizatora — kierownika zespołu, męża swego zatrudniła w charakterze... brygadiera sceny.

Zespół ruszył w objazd, ale po pewnym czasie rozleciał się, gdyż w listopadzie ub. r. p. Bogdan vel Ryszard Gruszczyński (wtedy jeszcze zespół pracował pod szyldem SME), a później (gdy zespół był już w DŚT) — Wiesław Szczotkowski, autor scenariusza i reżyser, zażądali haraczu od aktorów.

B. Gruszczyński, według ich oświadczenia, powiedział, że *„wszyscy artyści w Polsce opłacają się swoim organizatorom w wysokości 10 procent wynagrodzenia za każdy występ. Należy mi się 100 zł od przedstawienia od was (było to w naszym przypadku — dwojga aktorów nie 10 a 15 proc.)".* Wiesław Szczotkowski zaś *„zażądał natychmiastowego wypłacenia na rzecz p. Gruszczyńskiego 20 tys. zł i regularnego płacenia 15 proc. bieżących wypłat. W razie odmowy zagrodził nam zwolnieniem z pracy w zespole".*

Zainteresowani aktorzy poinformowali o wszystkim dyr. Zenona Rogackiego a także prezesa Edwarda Dulskiego i wiceprezesa Wandę Karczewską. Wanda Karczewska nie miała już wtedy żadnego praktycznie wpływu na działalność Stowarzyszenia i w efekcie, po różnych targach (m. in. proponowano jednemu z protestujących przeciw haraczom objęcie kierownictwa zespołu, choć z góry było wiadomo, że pociągnięcie to jest niewykonalne, ponieważ wyposażenie spektaklu stanowiło własność reżysera) ustąpić z zespołu musieli... protestujący aktorzy. Zastąpili ich inni. Z jakim efektem — wyczytać było można wyżej, w cytowanym już na początku artykułu lutowym felietonie Ryszarda Daneckiego w „Expressie Poznańskim".

Nie jest to pełen rejestr wyczynów „olimpijczyków". Dochodzą do tego wyłudzenia pieniędzy od biorących udział w imprezach sportowców i dziennikarzy, pobieranie pieniędzy na „lewe" rachunki itd., itp. (Sprawy w toku).

Nie zamierzam też rozwodzić się nad wszystkimi aferami wynikłymi z szerokiej działalności estradowej DŚT. Tylko więc jeszcze wspomnę o wyłudzeniu 6.600 zł od Rady Zakładowej ZOZ Łódź-Śródmieście przez Andrzeja Markowskiego, legitymującego się upoważnieniem uprawniającym go do zawierania umów w imieniu DŚT. (Uprzednio już karany, teraz skazany na 2 lata więzienia i grzywnę).

Jak na rok działalności, bilans dość szczególny. Z jednej strony ponad półtora miliona złotych zysku, z drugiej — ileś tam dziesiątków, czy nawet setek tysięcy ludzi nabranych przez chałturszczyków pracujących pod szyldem Domu Środowisk Twórczych w Łodzi, a więc reprezentujących te środowiska, zasłaniających się a to ideą olimpijską, to znów hasłem „DO-RO", mających czelność dedykować swoje produkcje „Ludziom dobrej roboty".

Jakżeż taki układ mógł funkcjonować? Chyba tylko w warunkach kompletnego lekceważenia podstawowych założeń polityki kulturalnej (a takie, moim zdaniem, wytworzyło obecne kierownictwo Domu Środowisk Twórczych), kultu niekompetencji, a nadto lekkiego traktowania krytyki i kontroli społecznej. Wspomniałem o zrezygnowaniu z funkcji wiceprezesa Zarządu przez Wandę Karczewską (ostateczną rezygnację, jako wyraz protestu przeciw panoszącej się chałturze złożyła 27 stycznia br.), ale nie jest ona jedyną osobą, która poddawała krytycznej ocenie różnorakie posunięcia DŚT. Wielokrotnie przeciw niektórym decyzjom występowali Antoni Szram, Jerzy Kotowski, Michał Gałkiewicz. W czerwcu ub. r. rezygnację z uczestniczenia w pracach zarządu złożył Jerzy Panasewicz reprezentujący środowisko dziennikarskie, w lutym br. Liliana Schwartz — architekt, Aleksandra Krasoń-Sochnacka, aktorka, zrezygnowała z członkostwa Komisji Rewizyjnej, gdyż, jak pisze: *„jestem pomijana w pracach komisji, nie informowana o zebraniach, w związku z tym wyizolowana z działalności Stowarzyszenia".*

W praktyce zarząd, który powinien pełnić funkcję nadrzędną w stosunku do Biura DŚT, stał się wobec nadmiaru spraw społecznym figurantem nie mającym praktycznie większego wpływu na to, co się w jego imieniu wyczynia. Od dawna zresztą istnieje w kadłubowym składzie — z tych, którzy formalnie w nim pozostali, niewielu bierze faktyczny udział w pracach. Co więcej, dyrekcja biura wcale nie była zainteresowana w informowaniu zarządu o skutkach swoich poczynań, ba, co tylko się dało, ukrywano.

Dowodem na to może być konflikt, jaki zaistniał między dyrektorem Zenonem Rogackim, a sekretarką, Anną Grodzicką. Kiedy atmosfera, na skutek afer, stała się nerwowa, ważne było dla Biura, aby nie przedostawały się do wiadomości Zarządu takie np. informacje, jak ta, że nowi pracownicy nie mają czystych wpisów, w rubryce o karalności. Anna Grodzicka tymczasem nie kryła swoich wiadomości przed Zarządem, jako ciałem nadrzędnym. Zaczęła się więc runda montowanych przeciw niej oskarżeń opartych o nie sprawdzone informacje, o pomówienia. Zarząd wiele razy stawał w obronie sekretarki, aż powołał komisję do rozsądzenia konfliktu. Komisja przyznała wszelkie racje sekretarce, ale nic to — dyrektor jest bliżej i ostatnio Anna Grodzicka (Krzyż Walecznych, Krzyż Grunwaldu, Medal za Warszawę) walczy przeciw naganie udzielonej jej przez dyrektora, wspieranego ostatnio przez prezesa. Zbyt żałosne to wszystko, aby wdawać się w szeroki opis, ale, jak stwierdziła jedna z osób obserwujących konflikt: *„Grodzicka zbyt wiele mówi, zbyt wiele się jej nie podoba, jest uczulona na świństwa. To uderza w dyrektora, uderza w prezesa, bo oni są przecież odpowiedzialni".*

Tak to, od rzemyczka do koziczka, rodził się, aż zrodził wielki skandal. Czas już chyba najwyższy, aby związki i stowarzyszenia twórcze, jeśli pozwalają na używanie w nazwie Domu aluzji do środowisk, które reprezentują, wzięły sobie za punkt honoru wyprowadzenie DŚT ze ślepego zaułka całkiem już prywatnego biznesu. Nazwy Domu Środowisk Twórczych w Łodzi używa się i przy knajpie, do której strach chodzić wieczorem i przy dzikiej chałturze, sławiącej miasto w Polsce. Trzeba chyba zaprotestować przeciw temu, aby środowiska twórcze Łodzi mogły być osławiane przez zespoły estradowe dziesiątej ligi, amatorów łatwego i szybkiego zarobku, oszustów i wydrwigroszów, niedouczonych cwaniaczków, wśród których uczciwi i prostolinijni ludzie wychodzą na naiwnych idiotów.

Bo tymczasem wózek toczy się dalej, Dom Środowisk Twórczych pracuje na osiągnięcia roku 1979. Chciałbym, aby to zdanie pozbawione było ironii i grozy. Plany w siedzibie jak zwykle ambitne — Scena Studio, na którą zapraszać się będzie najciekawsze teatry małych form i na której mają być prezentowane także spektakle własne. Teatr Propozycji. Czwartki Literackie. Salon Piosenki, Galeria Ślad. Ośrodek Informacji Video. Theatrum Antiquo Modo. Piątki Filmowe. Forum Muzyczne.

Trzeba na to zarobić w terenie. Da capo al fine?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PROM „REGINA"

Przystań promowa, skąd wyruszają statki do Helsinek i szwedzkiego portu Nynäshamn, znajduje się w Gdańsku-Brzeźnie, na wprost pomnika Bohaterów Westerplatte. Kursują na tej trasie dwa razy w tygodniu dwie jednostki o wyporności 8 tysięcy ton: fińska „Regina" i polski „Rogalin". Na drodze do Szwecji korzystałem z tej pierwszej, a wracałem drugą — są podobne: 430 kabin pasażerskich z łóżkami dla 984 osób, przy czym w sezonie, kiedy panuje wzmożony ruch, dodatkowych 200 pasażerów, którzy nie zdobyli miejsc leżących, może płynąć na tak zwanym decku, drzemiąc w fotelach pokładowych, jedząc w kawiarniach, restauracjach, barach, tańcząc w dyskotekach albo pocąc się w saunach. Obydwa promy przewożą zarówno samochody osobowe, jak i autobusy, ciężarówki, motocykle i, bezpłatnie — rowery. Obydwa przyjmują także na pokład tiry kontenerowe z wielu krajów Europy, dzięki czemu nawet wtedy, kiedy nie dopisuje frekwencja turystyczna, fracht zapewnia „Rogalinowi" i „Reginie" rentowność.

W porównaniu z innymi środkami komunikacji, samolotową, kolejową i autobusową, promy wydają się tanie. Bilet powrotny w obydwie strony kosztuje na tej linii zaledwie 1.860 zł (bez kabiny), dzieci do lat 6 płyną bezpłatnie, a od lat 6 do 12 płacą niewiele ponad połowę ceny biletu. Koja w kabinie kategorii B (prysznic, WC) kosztuje 500 złotych, w kabinie C (umywalka) 250.

Są zniżki. Grupy zorganizowane (minimum 16 osób) otrzymują 10 procent rabatu od wszystkich cen, każdy szesnasty pasażer w grupie otrzymuje bezpłatny bilet. Jeżeli grupa jedzie autokarem, kierowca autobusu otrzymuje bezpłatny przejazd oraz miejsce w kabinie i wyżywienie.

W lokalach, kioskach i sklepach płaci się dewizami, jeść i pić można także za polskie bony złotowe które biura podróży sprzedają w dowolnej ilości, a w razie niewykorzystania — odkupują bez potrąceń.

Krótko mówiąc — linia jest atrakcyjna, podróżujemy bez wiz taniej niż do Bułgarii i wygodniej niż na Węgry, aczkolwiek w samej Skandynawii, na lądzie, wszystko wydaje się Polakom strasznie drogie komunikacja, konfekcja, żywność i rozrywki.

Leży w interesie wszystkich trzech krajów: Szwecji, Finlandii i Polski, aby te linie utrzymać. Jesteśmy, można powiedzieć, wraz z Finami i Szwedami, braćmi w piciu alkoholu (tym mocnym). Ciągniemy ostro, z lubością, zazwyczaj bez umiaru, konkurując nie bez powodzenia z mistrzami świata w tej konkurencji.

Polak pozbywa się tutaj narodowych kompleksów, patrząc na pijaną Finkę, chlapiącą bezwstydnie przy stole w kafeterii albo na nieprzytomnego Lapończyka, którego koledzy niosą w czterech za ręce i nogi do kabiny. Pływają na tej trasie osobnicy, których jedynym celem jest butelka; niektórzy nie schodzą w ogóle ze statku w porcie docelowym, Gdańsku, zabierając się od razu, z kieliszkiem w ręku, w drogę powrotną do ojczyzny.

W sumie Skandynawom trudno się dziwić. Butelka polskiego jarzębiaku (trzy czwarte litra) w szwedzkim sklepie monopolowym kosztuje 75 koron (około 17 dolarów), więc nawet jeśli komuś nie brakuje pieniędzy, wzdraga się przed takim wydatkiem. Na promie alkohol wydaje mu się dużo tańszy, a w Polsce — wprost za darmo. To samo tyczy się papierosów.

Rzecz jasna — stwarza to szansę podróżującym Polakom. Szansę przemytu, który od pewnego czasu tępiony jest przez skandynawskich celników bezlitośnie. Dodatkowe butelki, a wolno przewieźć tylko jedną i wino, są konfiskowane; niejednokrotnie celnik otwiera je, żeby wylać zawartość przez okno, ostatnio coraz częściej konfiskata połączona jest z grzywną; płaci się także za każdy dodatkowy karton papierosów. Jeśli napomknąć, że wielu Polaków płaci po 200—300 koron na cle, nie wydaje to nam najlepszego świadectwa. Wprawdzie rozmiary szmuglu są niewielkie i temu, co jedzie do Szwecji po raz pierwszy, butelczyna spirytusu, ów maleńki prezencik dla przyjaciół (uchodzący skądinąd w opinii Szwedów i Finów za narkotyk) wydaje się sprawą niewinną, przepisy są jednak przepisami, skandynawskie urzędy celne wymagają, aby je respektować. I mają rację.

Załoga promu „Regina" liczy około 120 osób. Kadra oficerska statku, a także marynarze pokładowi i maszyniści są Finami. Polacy — kelnerzy, kucharze, stewardzi, recepcjoniści i muzycy — obsługują część hotelową. Można im wszystkim, Finom i Polakom, wystawić jak najlepsze świadectwo; są uprzedzająco mili, usłużni. Pierwszy po Bogu, fiński chief maszynowy, któremu bynajmniej nie przedstawiałem się jako dziennikarz, oprowadził mnie po statku, polski intendent miał czas, aby zapoznać mnie ze szczegółami funkcjonowania pływającej restauracji hotelowej, zwanej także w żargonie tramwajem... Bo to wyjeżdżasz z Gdańska do Nynäshamn, tam w ciągu godziny jedni pasażerowie opuszczają pokład, inni nań wchodzą i w dalszą drogę do Helsinek, skąd po 4-godzinnym postoju prom rusza w rejs powrotny. I tak bez przerwy, ruchem wahadłowym, statek obija się między brzegami, nie przystając na dłużej w żadnej przystani, co jakiś czas tylko zmieniając w biegu załogę.

Planowo powinniśmy wypłynąć z Gdańska o godzinie 16.00 (w poniedziałek), a do Nynäshamn zawinąć następnego dnia o godzinie 9.00. Zaczęliśmy z półgodzinnym poślizgiem z winy jakiejś polskiej pasażerki, która spóźniła się na cło, targając w dodatku ze sobą jedenaście kufrów i walizek. W chwili, kiedy ją sprawdzano, fiński kapitan od dawna gotowy do wyprowadzenia promu w morze, niecierpliwił się trochę na mostku, a uspokajał go jak umiał polski intendent.

Wreszcie zaczęły się manewry. Było to 5 marca, świeciło słońce, ale wybrzeże pokrywała jeszcze gruba warstwa śniegu i po kilkunastu minutach weszliśmy w krę lodową. „Regina" kroiła ją dnem wibrując i trzęsąc się jak kaczka na kocich łbach, potem skończyła się kra, zerwał się wiatr, wezbrała fala i zaczęło trochę huśtać.

Muzycy, z którymi rozmawiałem w przerwie koncertu, powiedzieli mi, że kilka dni wcześniej, tuż przed wejściem do przystani w Nynäshamn, „Regina" ugrzęzła na kilka godzin w ogromnych, wyższych niż statek bryłach lodu; trzeba było wezwać na pomoc lodołamacze.

Tym razem obyło się bez dramatów. Skończyła się niespokojna noc, rankiem część pasażerów udała się na śniadanie do restauracji, gdzie obowiązywał tak zwany szwedzki stół, to znaczy: płaciłeś określoną kwotę (w wypadku polskich pasażerów był to bon stuzłotowy) i nakładałeś na talerz skolko ugodno: ryby, jajka, parówki, wędliny, sery, ciasta... Zachłanność w tym względzie nie popłaca — wstyd, kiedy nagle nie taje apetytu i zostawiasz połowę porcji.

Tak czy siak, w trakcie śniadania, około wpół do dziewiątej statek manewrował już pomiędzy wysepkami „ogrodu morskiego" w pięknej zimowej scenerii i zawinął do przystani przed czasem.

Wcześniej podstawiono trap, ale drzwi otworzono dokładnie o dziewiątej, jako że punktualność obowiązuje w obie strony.

Podróżni chwycili bagaże i zaczęli spieszyć na wyprzódki do kontroli paszportowej, po której nastąpił bardziej denerwujący, ostatni już etap podróży: odprawa celna.

Na tablicy, wśród innych, szwedzkich i fińskich obwieszczeń, pisało także po polsku: NIC DO OCLENIA.

Wskazałem ów napis, że to przecież jestem czysty. Kilka lat temu Szwed uwierzyłby mi pewnie na słowo, patrząc w moje uczciwe słowiańskie oczy, tym bardziej że dźwigałem tylko jedną walizkę... Ale podróżujący na tej trasie Polacy, a od pewnego czasu także Szwedzi, zachwiali wiarą celników w te proste i szczere oświadczenie.

Tak jak pozostali, przeczesany zostałem dokładnie przez miłego, uśmiechniętego Szweda, który w nagrodę za to, że mieściłem się w alkoholowej i papierosowej normie, pomógł mi po całej operacji zapiąć wypchaną walizkę.

Wszedłem do poczekalni, w chwili, kiedy celnik znalazł u pewnej płonionej damulki dwie butelki spirytusu i zaczął wyciągać z różnych bagaży nadkontyngentowe kartony marlboro, ukryte według zasady: w każdym kątku po dziesiątku.

Ludzie nie doceniają kwalifikacji celników, a zarówno ci szwedzcy jak i polscy są fachowcami wysokiej klasy. Łatwiej oszukać księdza niż celnika, który bardziej niż słowom pasażera wierzy swoim własnym oczom — z twarzy czyta jak psycholog, z głosu jak sędzia śledczy, ciężar bagażu ustalić potrafi na podstawie zbielałych kostek u rąk. Jedyny, uczciwy sposób na celników to przestrzeganie przepisów — jeśli ludzie nie zastosują się do nich, kontrola z każdym rokiem będzie surowsza, kary większe, a kontakty turystyczne między Polską i Skandynawią (już rozważa się możliwość przywrócenia wiz) ulegną redukcji. Szkoda by było doprawdy, tym bardziej iż ogół Skandynawów odnosi się do Polaków z niekłamaną życzliwością.

W poczekalni wpadłem w ramiona polskich muzyków, którzy wyjechali po mnie samochodem z Uppsali. Wrócę do tego w kolejnej korespondencji. Teraz natomiast, aby trzymać się tematu, powiem, iż w piętnaście dni później inni polscy muzycy przywieźli mnie ze Sztokholmu do Nynäshamn, gdzie z 6-godzinnym opóźnieniem wszedłem na pokład polskiego promu „Rogalin" (ugrzązł w lodach u wybrzeży Finlandii) i rozpoczął się powrót do kraju.

Cała załoga „Rogalina" to Polacy. Daj Boże, aby jakikolwiek hotel orbisowski doczekał się tak grzecznego i uczynnego personelu, nie robiącego przy tym żadnej różnicy (zwykle faworyzujemy cudzoziemców) pomiędzy pasażerem polskim i skandynawskim. Stewardzi pracowali w pocie czoła, aby jak najszybciej wnieść bagaże, przy czym nie dostawiano nawet trapu; wchodziliśmy przez pokład towarowy, gdzie stały samochody i kontenerowce.

W kilka minut po zaokrętowaniu „Rogalin" pruł już lody zatoczki, w kawiarniach, restauracjach i dyskotekach trwał ożywiony ruch pijani Finowie snuli się po korytarzach. Polacy i Szwedzi nabierali dopiero rozpędu. „Rogalin" różni się tylko od fińskiej „Reginy" dwoma szczegółami: tym, że ma na pokładzie ruletkę i tym, że posiada dwóch jednorękich bandytów (ze mną to już było trzech). Jednoręcy bandyci (aparaty made in USA, do których wrzucasz szton albo monetę i pociągasz za rączkę, aby popróbować szczęścia, które z reguły zamienia się w nieszczęście) zostały kompletnie zlikwidowane w Szwecji. Po prostu ludzie doszli do wniosku, że jest to mechanizm oszukańczy, złodziejski, który nie daje grającemu żadnych szans doprowadzając go często, bez przesady, do nieszczęścia: samobójstwa czy ruiny.

Także Polacy, naród odważny, z inklinacjami do wszelakich szaleństw, nie garną się do jednorękich bandytów. Nie wierzą, że można „w to" wygrać. Toteż maszyny stały w zasadzie odłogiem, z wyjątkiem tych kilkunastu minut, kiedy atakowała je starsza, polska niewiasta.

Co się tyczy ruletki, grał pewien Arab. Pojedynek trwał pół godziny i zakończył się wynikiem remisowym.

Kiedy hazardzista wymienił białe sztony na czarne i poszedł do baru, krupier, Polak skądinąd, zaczął komentować głośno przebieg gry, co wydało mi się chwytem niestosownym.

— On tu jeszcze do mnie wróci — powiedział, sugerując, że przeczyści faceta.

— Skąd pan wie, że wróci?

— Oni zawsze wracają.

Podróżowaliśmy zatem światowo.

W Gdańsku znaleźliśmy się z 6-godzinnym opóźnieniem. Odprawieni zostaliśmy szybko a sprawnie przez nadzwyczaj uprzejmych funkcjonariuszy.

Spotkała mnie jednak dziwna przygoda. Otóż w Nynäshamn zobaczyłem wóz z łódzkimi znakami rejestracyjnymi. Odszukałem kierowcę, młodego układnego mężczyznę, i zapytałem czy nie zabrałby mnie z Gdańska do Łodzi. Powiedział, że nie jedzie do Łodzi tylko do Warszawy, ale skoro tylko mam ochotę, mogę się z nim zabrać. Proszę bardzo, może nawet wziąć od razu do samochodu moje bagaże.

Nie przystałem na to, żeby nie robić mu kłopotów na cle. Po prostu osobna jest kontrola dla samochodów i osobna dla pieszych.

Umówiliśmy się, że poczekam na niego w Gdańsku przy punkcie kontroli.

Na pokładzie jakoś go nie widziałem. Nie było go także w Gdańsku, gdzie odczekałem półtorej godziny przy bramie, którą wyjeżdżały wszystkie samochody. Poprosiłem wopistę, aby sprawdził czy jego samochód nie został przypadkiem na pokładzie. Otóż nie, nie było tam żadnego samochodu.

Zakpił ze mnie? Co by było, gdybym mu dał bagaże? Może w ogóle nie wyjechał ze Szwecji?

Poszedłem na dworzec. Okazało się, że nie ma żadnego pociągu do Łodzi. Zostawiłem bagaże w przechowalni i pojechałem autobusem na lotnisko, choć pani w Orbisie powiedziała mi, iż nie ma już żadnych miejsc na dzisiejsze loty.

Okazało się, że za pół godziny odlatuje do Warszawy dodatkowy samolot czarterowy. Złapałem taksówkę, żeby przywieźć bagaże z dworca. Kierowca jechał setką, ale kiedyśmy wrócili, samolot był już na pasach startowych.

Jakimś cudem otrzymałem bilet na następny samolot. Lot trwał 55 minut. Autokarem Lotu dostałem się na Dworzec Centralny i łapałem pociąg do Łodzi, którą jest najbardziej chyba upośledzonym komunikacyjnie miastem w kraju.

HELSINKI: W miasteczku uniwersyteckim.

SAWONLINNA: W nocy.

SAWONLINNA. W deszczu.

SAWONLINNA: Przybysze z dalekiej północy.

Edward Munch, Krzyk, 1894

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nazwałem tak ten wykład, ponieważ wydaje mi się, że wszelka dyskusja o kulturze, a tym bardziej dialog pomiędzy kulturami odbywa się albo szeptem albo krzykiem. Najczęściej są to tylko szepty, krzyki zdarzają się znacznie rzadziej.

— Czy dostrzega Pan Profesor w dziejach polsko-skandynawskich stosunków kulturalnych chwile krzyku? Chodzi mi o moment sprzężenia zwrotnego, punktu szczególnie intensywnego zbliżenia naszych kultur, źródło wspólnej inspiracji.

— Tak, wspólny dla naszej i waszej literatury był duch romantyczny. Nasi romantycy lubili Polaków, choć polską literaturę znali bardzo słabo. Nazwisko Adama Mickiewicza było głośne w Szwecji. Nasi poeci wygłaszali przemówienia i poematy poświęcone Polsce, szczególnie po powstaniach. Wskazywali na Polskę jako bohaterski naród, który broni swego prawa do wolności. A dzisiaj? Dzisiaj chyba rozmawiamy tylko szeptem. Mówiąc żartem, znam jedną z byłych żon Ingmara Bergmana, która jest slawistką.

— A więc to też już historia. Panie Profesorze, polska publiczność jest pod wrażeniem premiery ostatniego filmu Andrzeja Wajdy pt. „Panny z Wilka", zrealizowanego na podstawie opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza, którego 85-lecie urodzin kilka tygodni temu uroczyście obchodzono w Polsce. Film Wajdy był rodzajem artystycznego hommage złożonego przez wybitnego reżysera wielkiemu pisarzowi. Dlaczego o tym wspominam? Otóż „Panny z Wilka" wydały mi się najlepszym filmem Wajdy stworzonym przez Ingmara Bergmana, ponieważ tak bardzo ważną rolę odgrywa w nim splot dwóch wielkich metafizycznych idei bergmanowskiego, a szerzej, skandynawskiego świata — Miłości i Śmierci, Erosa i Thanatosa. Problematyka tego filmu została wiernie przeniesiona z kart prozy Iwaszkiewicza, która korzeniami tkwi w modernizmie. Iwaszkiewicz jest zafascynowany skandynawską literaturą, spod jego pióra wyszło wiele przekładów, m. in. Andersena i Kierkegarda kilka lat temu wydał książkę pt. „Szkice o literaturze skandynawskiej". Żyjemy w czasach w których film w swoich najwybitniejszych zjawiskach jest najbardziej uniwersalnym medium kultury i dowodem jej ciągłości tak jak twórczość Wajdy stała się dla świata idiomem polskiej historii, polskiego losu, podobnie filmy Bergmana są dla nas idiomem eposu skandynawskiego.

— Tak myślę, że tym, co zbliża filmy Bergmana do polskiej literatury i filmu jest pewien ekshibicjonizm. Bergman to rzeczywiście naga twarz. Pokazuje człowieka takim, jakim on jest. U Bergmana nie ma efektów, zbędnego patosu, czujemy dotyk nagiej prawdy. Myślę, że to samo zjawisko obserwujemy w rosyjskiej literaturze. Na przykład u Czechowa czy Dostojewskiego. Słynne zdanie z „Biesów": „Jeżeli Pana Boga nie ma.., to jakiż ze mnie sztabskapitan" mogłoby figurować jako motto twórczości Bergmana. Jednakże źródło filmów Bergmana tkwi u Strindberga. Strindberg był pierwszym Szwedem który zupełnie otwarcie pokazywał swoje serce i robił to całkiem naturalnie, nie patrząc na artystyczne formy. Jego twórczość jest po prostu dziennikiem. Bergman był zresztą w młodości urzeczony paralelą pomiędzy swoim życiem osobistym i jego konfliktami, a złożoną biografią Strindberga.

— „Będziesz opisywał swoje własne życie" — to formuła epoki literackiej Strindberga. Polski pisarz, Stanisław Przybyszewski, pisał o „nagiej duszy". Wspólną Muzą, a zarazem femme fatale Strindberga, Muncha i Przybyszewskiego była piękna Norweżka, Dagny Juel. To była na pewno epoka wspólnego, spazmatycznego krzyku. Stanisław Przybyszewski w „Moich współczesnych" napisał, że symboliczny dla temperatury przeżyć psychicznych tego czasu słynny obraz Muncha „Krzyk", który przedstawia przerażenie człowieka wobec Tajemnicy Bytu, powstał pod wpływem jego poematu prozą „Totenmesse". Podobno to nieprawda, ale znamienna...

— Podobnie rosyjski poeta, Aleksander Błok, był zachwycony Strindbergiem, właśnie tym, że pokazał on bez skrępowania wszystkie swoje wewnętrzne konflikty. Być może właśnie to zbliża Bergmana do Polaków. Również lubią go Amerykanie.

— Ponieważ uwielbiają psychoanalizę.

— Natomiast Szwedzi początkowo go nie lubili. Uważali, że jego filmy są zbyt otwarte, drastyczne, wręcz pozbawione taktu. Właściwie Bergmana odkryli Szwedom Amerykanie.

— Podobnie jak Polakom Wajdę odkryli Francuzi. Wydaje się jednak, że twórczość Bergmana jest bardziej uniwersalna, natomiast Wajdy bardziej swoista, hermetyczna. Pan Profesor zna sztukę Wyspiańskiego „Wesele". Notabene, po raz pierwszy sztuka ta a dokładnie jej trzeci akt ukazała się za granicą w języku szwedzkim w 1906 roku, w przekładzie Alfreda Jensena. Wajda zekranizował „Wesele" po to, aby ten niezwykle oryginalny utwór artystyczny spopularyzować za granicą.

SZEPTEM I KRZYKIEM

— Film ten był na szwedzkich ekranach ale bardzo krótko. Krytyka chwaliła go, ale nie zrozumiała.

— Zastanawia mnie źródło tego niezrozumienia, które chyba ma charakter bardziej generalny. Szwecja w powszechnej opinii jest krajem ogromnego dobrobytu, na który złożyła się energia, pracowitość i hart ducha szeregu pokoleń Szwedów, którzy od stuleci, w ciszy i spokoju, na peryferiach Europy z dala od bitewnego zgiełku i wrzasku, tworzyli swoją pomyślność. Myślę, że ta sytuacja, szczególnie widoczna w XX wieku kiedy to Szwecja uniknęła najbardziej fundamentalnych doświadczeń cywilizacji europejskiej, wpłynęła na specyfikę szwedzkiej literatury i sztuki.

— Tak, niewątpliwie, choć trudno określić ten wpływ. Natomiast bardzo interesująco wyglądała tuż po wojnie recepcja polskiej literatury o wojnie, przekładanej na język szwedzki. Na przykład krytyka powątpiewała w prawdę obrazu wojny w literaturze polskiej. Pytano: „czy to możliwe?", pisano, że jest to obraz zbyt ostry, jaskrawy, przesadzony, efektowny. Podobnie pisano na przykład o Pendereckim. Pierwszą jego kompozycją znaną w Szwecji był „Tren pamięci ofiar Hiroszimy". Była to muzyka trudna, o niezwykle silnym tonie emocjonalnym. Kiedy po raz pierwszy słyszałem ten utwór, wywołał on na mnie wrażenie na granicy wytrzymałości. Stąd niektórzy recenzenci muzyczni krytykowali jego formę. Teraz jednak jest to oczywiście klasyka. Myślę więc, że polskie przeżycia wojenne wpłynęły na szczególną wyrazistość i ekspresyjność polskiej sztuki. Szwedzi zaś wolą sztukę bardziej dyskretną, przemawiającą szeptem i nie przepadają za krzykiem, groteską i absurdem.

— Tymczasem poczucie absurdu jest jednym z podstawowych rysów naszej percepcji rzeczywistości, charakteru narodowego.

— Stąd w Szwecji początkowo nie rozumiano sztuk Mrożka. Uważano, że to są tylko żartobliwe farsy i nic ponadto. Nie rozumiano uniwersalnego podtekstu tej dramaturgii. Polska sztuka odznacza się dla nas intensywnym emocjonalizmem, ostrą ekspresją. Już z daleka można określić obraz na wystawie: tak, to powinien być Polak. Jest w tym z pewnością romantyczna tradycja waszej sztuki, w tych romantycznych i monumentalnych gestach, które — z drugiej strony — podszywa ironia. To karnawał.

— Tak, Pan Profesor w swoim wykładzie podniósł tę ideę radzieckiego badacza kultury, Michaiła Bachtina, dla scharakteryzowania różnic pomiędzy polską a szwedzką kulturą. Wydaje się, że trafia ona w sedno pewnego dysonansu dialogu naszych kultur. Dysonansu pomiędzy szeptem protestanckiej modlitwy i krzykiem polskiego, romantycznego buntu.

— To jest korekta waszego polskiego romantyzmu, który w swoim patosie i monumentalizmie byłby zbyt nudny bez karnawałowych elementów: śmiechu, groteski, ironii, absurdu. Jest to doniosły prąd w polskiej sztuce. Wie pan, myślę, że najbliższa polskiej literaturze jest literatura irlandzka. Irlandia też jest krajem katolickim, przeniknięty patosem i romantyką. A z drugiej strony, James Joyce, Samuel Beckett...

— Panie Profesorze, zacznijmy inny wątek naszej rozmowy związanej z Pańską obecnością w Polsce. Jest Pan światowej sławy slawistą, autorem wielu książek poświęconych literaturze rosyjskiej i radzieckiej, redaktorem serii naukowych poświęconych słowiańskim literaturom, w której ukazują się Pańskie prace i Pana współpracowników, także współredaktorem, wraz z holenderskim uczonym, profesorem Van der Engiem, wydawanego w Hadze, a cieszącego się międzynarodowym autorytetem periodyku „Russian Literature". Czy mógłby Pan Profesor scharakteryzować sytuację slawistyki w Szwecji, a na tym tle zagadnienie szwedzkiej polonistyki?

— Szwedzka slawistyka jest dość młoda, szczególnie polonistyka. Ale już przed wojną rozwijały się w Szwecji dość silne zainteresowania polonistyczne. Można nawet powiedzieć, że wówczas bardziej interesowano się językiem polskim czy czeskim, aniżeli rosyjskim. Młode państwa, Polska i Czechosłowacja, już wtedy rozwijały z nami bardzo dobre stosunki. Nasi profesorowie slawiści wówczas świetnie mówili po polsku, na przykład profesor Gunnar Gunnarson z Uppsali czy profesor Knuth-Olof Falk z Lundu. Po wojnie sytuacja się zmieniła. Zainteresowanie językiem rosyjskim nabrało większego znaczenia i wysunęło się przed język polski. U początków moich zainteresowań rusycystycznych myślałem, że powstało już wiele opracowań twórczości Dostojewskiego, Tołstoja, całej klasyki literackiej, i że trudno będzie znaleźć nowe materiały... Z drugiej strony, nie opracowany został również okres współczesności.

— Przeglądając Pańskie książki, zauważyłem niezwykle szeroki horyzont rusycystycznych zainteresowań literaturoznawczych. Od literatury XVII wieku, poprzez rosyjski romantyzm, realizm, aż do awangardy, o czym świadczą pozycje na temat imażynistów, Mandelsztama, Majakowskiego i Pasternaka. Pisał Pan również o teatrze, na przykład o recepcji Ibsena w Szwecji. W Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ wygłosił Pan Profesor inspirujący wykład w języku rosyjskim o futuryzmie w Rosji. Czy zagadnienia rosyjskiej i radzieckiej awangardy stoją aktualnie w centrum Pańskich zainteresowań i kierowanego przez Pana Profesora zespołu?

— Tak, w ostatnim czasie szczególną uwagę zwróciliśmy na wiek XX, poczynając od symbolistów. Pierwsza dysertacja doktorska w naszym instytucie była poświęcona Błokowi. A potem, poprzez akmeizm, futuryzm, imażynizm, doszliśmy do literatury radzieckiej. Mamy specjalistów od Majakowskiego i Pasternaka. Trzeba jednak zauważyć, że obecnie w całej Europie żywo rozwijają się badania nad rosyjską i w ogóle europejską awangardą artystyczną. Okazało się bowiem, że w rzeczywistości ciągle bardzo niewiele wiemy o tym okresie, zarówno o jego teorii, ideologii, jak i praktyce artystycznej. Stąd też niewiele wiedzieliśmy na przykład o polskiej awangardzie, o rumuńskiej, która była bardzo interesująca, o południowoamerykańskiej... Zbieramy materiały i prowadzimy badania komparatystyczne nad awangardami europejskimi i pozaeuropejskimi. Jest to ogromna praca, która ciągle trwa. Na tym tle badania nad rosyjską i radziecką awangardą są szczególnie pasjonujące. Nie znane są bowiem — jak próbowałem to udowodnić w moim wykładzie — rosyjskie, rdzenne źródła tej awangardy, które nie są do końca zinterpretowane. Sądzę bowiem, że najważniejsze źródła rosyjskich prądów awangardowych tkwią w rosyjskiej literaturze i kulturze. Był to fenomen absolutnie oryginalny, który wyprzedzał o kilka lat europejską awangardę: tam był dadaizm przed dadaizmem, surrealizm przed surrealizmem, happening przed happeningiem, itd.

— O ile mi wiadomo, krąg Pańskich współpracowników zajmuje się tymi zjawiskami nie tylko w literaturze, ale również w innych dyscyplinach sztuki.

— Tak, w ostatnim czasie stało się rzeczą oczywistą, że nie można badać zjawisk awangardy literackiej w oderwaniu od innych sztuk. W grę wchodzi bowiem nie tylko literatura, ale także sieć asocjacji pomiędzy różnymi sztukami: teatrem, filmem, plastyką czy architekturą. A także relacje pomiędzy teorią a praktyką: programy, dyskusje...

— Okres tej awangardy bywa nazywany radzieckim renesansem.

— Wydaje mi się, że założony przez profesor Stefanię Skwarczyńską Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ jest pod tym względem metodologicznym wzorem organizacji badań z takiego punktu widzenia, powstałym jako pierwszy w Europie ośrodek badawczy, który zajmuje się badaniami interdyscyplinarnymi literatury, teatru, filmu i plastyki.

— W tym instytucie powstał ostatnio zespół naukowo-badawczy zajmujący się problematyką awangardy artystycznej XX wieku, który skupia przedstawicieli różnych dyscyplin: literaturoznawstwa, teatrologii, filmologii, historii sztuki, pracujących nad wspólną problematyką. Panie Profesorze, wizyta Pana w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ jest rewizytą. W kwietniu ub. roku w Instytucie Języków Słowiańskich i Bałtyckich Uniwersytetu w Sztokholmie przebywał dr Grzegorz Gazda z wykładami na temat futuryzmu w Polsce. W maju br. spodziewamy się wizyty Pańskiego współpracownika, teatrologa, docenta Larsa Kleeberga. Oprócz tych skądinąd kształcących wizyt, jakie Pan Profesor widzi perspektywy współpracy pomiędzy tymi dwoma instytutami, które zajmują się pokrewną problematyką?

— Oczywiście, mamy nadzieję, że w przyszłości będziemy rozwijać nasze kontakty z obopólną korzyścią. Pracujemy nad tymi samymi zagadnieniami i trzeba pokreślić, że jest to trend ogólnoeuropejski. Na przykład, zajmuje się tym również ośrodek w Zagrzebiu, gdzie odbyło się ostatnio sympozjum na temat „Literatura i rewolucja". A zatem jesteśmy zainteresowani w nawiązaniu kontaktów ze wszystkimi placówkami, które zajmują się tymi problemami. Ufam zatem, że będziemy pracowali razem, tym bardziej że nasze kraje są położone tak blisko siebie.

— Morze Bałtyckie nie rozdziela nas, lecz łączy. Wydaje mi się, że początkiem dobrej współpracy będzie opublikowany w przyszłym roku wspólny, polsko-szwedzki tom prac, poświęcony właśnie awangardzie. Panie Profesorze, oprócz tej problematyki, czym Pan aktualnie zajmuje się w swoich badaniach?

— Niedawno ukończyłem koordynację pracy nad rosyjskim romantyzmem. W książce, która już jest w druku, znajdują się wyniki badań uczonych szwedzkich, norweskich, radzieckich, amerykańskich, a także polskich. Ukończyliśmy również dużą pracę pt. „Rewolucja i kultura". Znaleźliśmy wiele nowych materiałów na temat dyskusji o kulturze w epoce porewolucyjnej. Obecnie zamierzam zająć się zagadnieniami rosyjskiej powieści radzieckiej XX wieku.

— Dziękuję bardzo za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

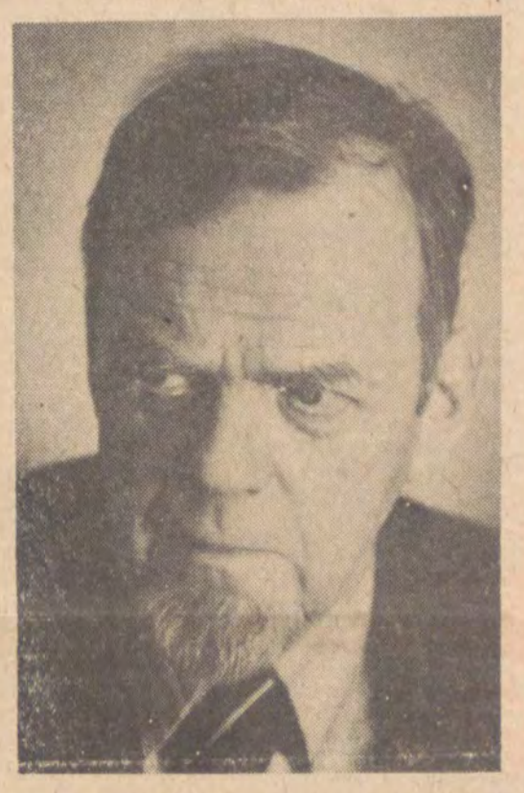

Foto: R. Łucyszyn

W dniach 25.III.—1.IV. przebywał w Łodzi, jako gość Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego, szwedzki slawista prof. dr Nils Åke Nilsson, dyrektor Instytutu Języków Słowiańskich i Bałtyckich Uniwersytetu w Sztokholmie. Prof. Nilsson odwiedził również redakcję „Odgłosów", gdzie spotkał się z przedstawicielami środowiska literackiego Łodzi.

Fotos z filmu Ingmara Bergmana „Szepty i krzyki".

Sieć amerykańskiego wywiadu oplata cały świat. Używając najbardziej nowoczesnych urządzeń, wywiadowcze organa USA, a przede wszystkim Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i Centralna Agencja Wywiadowcza, usiłują wyśledzić cudze tajemnice państwowe, przechwytują informacje misji dyplomatycznych, przeglądają miliony prywatnych telegramów własnych obywateli, łowią rozmowy radiowe dowódców oddziałów wojskowych obcych państw.

Podczas wydarzeń w Iranie wyszło na jaw, iż jeden z największych zespołów elektronicznego wywiadu USA był zainstalowany w północnej części tego kraju, przy granicy z ZSRR. Jak podały agencje informacyjne, podczas gwałtownych wystąpień ludności Iranu przeciwko monarchii i panoszeniu się Amerykanów w kraju, CIA i inne wywiadowcze służby USA planowały ewakuację najbardziej tajnych urządzeń i przerzucenie ich do innych amerykańskich baz wojskowych, a przede wszystkim na terytorium Turcji. Jak wiadomo, sporą część tych urządzeń zniszczyli Irańczycy.

Pikantne szczegóły działalności agentów CIA nie schodzą ze szpalt prasy. Tymczasem działalność Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (ABN) USA jest poza polem widzenia amerykańskiej opinii publicznej. Fakt ten może się wydać jeszcze bardziej niewiarygodny, jeśli wziąć pod uwagę, iż ABN, która dysponuje nieprzebranym arsenałem najnowocześniejszych środków elektronicznego podsłuchu, jest głównym dostawcą informacji wywiadowczych dla potrzeb rządu USA.

Sieć technicznych środków podsłuchu ABN ma zasięg globalny. Poszczególne ogniwa tej sieci są rozrzucone na całym świecie: na lądzie, na morzu, w powietrzu i w przestrzeni kosmicznej. Pozwala to nie tylko na kontrolowanie kanałów państwowej łączności krajów zagranicznych, lecz także na zbieranie i opracowywanie ogromnej ilości przechwytywanej informacji radiowej, napływającej z okrętów, samolotów i naziemnych stacji potencjalnego przeciwnika. Specjaliści ABN rozszyfrowują tajne informacje obcych państw, a także opracowują szyfry potrzebne do ochrony państwowych tajemnic USA.

OD „ŻUCZKÓW" PO SATELITY

Wszelkie opisy tej najpotężniejszej wywiadowczej organizacji Stanów Zjednoczonych dają zaledwie przybliżony obraz ABN. Wielu Amerykanów w ogóle nie słyszało o Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Koszty jej działalności sięgają rocznie ponad półtora miliarda dolarów (3,5 miliona dolarów za dobę!), to znacznie więcej niż działalność Centralnej Agencji Wywiadowczej. Budżet ABN stanowi blisko trzecią część wszystkich wydatków USA na cele wywiadowcze. W 9-piętrowym gmachu sztabu agencji w Fort Mead, w stanie Maryland, pracuje około 20 tysięcy ludzi. Ponadto, dniem i nocą, wiele tysięcy operatorów ABN w napięciu wsłuchuje się w eter na niezliczonych punktach podsłuchu radiowego, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej — na samolotach, okrętach i stacjach naziemnych.

Ci nieliczni, którym udawało się przekroczyć masywne, czujnie strzeżone wrota wiodące do sztabu ABN twierdzą, iż na oko przypomina on pospolite miejskie biuro, może tylko nieco bardziej nowoczesne. ABN porównuje się do gigantycznego elektronicznego odkurzacza, który wsysa do swego ogromnego wnętrza strumień informacji napływających z nasłuchu radiowego lub łączności kablowej. Cały ten pstry potok wiadomości wprowadza się do pamięci elektronicznej ogromnych komputerów, zainstalowanych w Fort Mead, 25 km na północ od Waszyngtonu, a następnie, po opracowaniu, usystematyzowaniu i przeanalizowaniu, krótki komunikat tajemnic całego świata trafia na biurko prezydenta USA, do rąk wyższych urzędników państwowych i dowódców wojskowych wysokiego szczebla.

Zakres technicznych środków wykorzystywanych przez ABN do zbierania informacji jest bardzo szeroki: od najprostszych elektronicznych „żuczków" do podsłuchu rozmów telefonicznych, aż po niezmiernie kosztowne szpiegowskie satelity, które przechwytują telemetryczne informacje, podawane podczas prób rakietowych przeprowadzanych w obcych państwach. Samoloty, okręty i łodzie podwodne ABN, naszpikowane aparaturą podsłuchową i utrwalającą informacje, przez całą dobę śledzą wszystkie środki łączności innych krajów.

Tym właśnie jest zajęty techniczny personel naziemnych stacji ABN.

„TRZECI ABONENT"

Jeśli wyobrazić sobie globalny charakter tej szczególnie zakonspirowanej działalności ABN, w połączeniu z jej ogromnymi technicznymi możliwościami zbierania informacji, to mimo woli powstaje pytanie: czy ABN inwigiluje amerykańskich obywateli? Śledztwo przeprowadzone przez Kongres USA wykazało, iż ABN rzeczywiście zbiera i sporządza informacje o amerykańskich obywatelach według dwóch programów: z pierwszego programu, pod kryptonimem „Trójlistek", ABN od trzydziestu lat otrzymuje kopie wszystkich międzynarodowych telegramów, przekazywanych przez trzy główne kompanie telegraficzne; z drugiego programu, umownie nazwanego „Minaret", ABN otrzymuje od różnych urzędów wykazy Amerykanów, których kontakty budzą zainteresowanie i konfrontuje je z treścią przekazywanych przez nich telegramów oraz adresatami za pośrednictwem międzynarodowej łączności pocztowo-telegraficznej.

Te dokumentalnie potwierdzone dowody nielegalnej działalności ABN rodzą uzasadnione podejrzenia, biorąc pod uwagę charakter, skalę i możliwości ABN w dziedzinie wywiadu wewnętrznego. Mówi się uparcie, iż ABN systematycznie podsłuchuje rozmowy telefoniczne wewnątrz kraju. Potwierdzają to materiały dochodzeń przeprowadzonych przez Kongres, które ujawniły, iż w okresie od 1967 roku do 1973, ABN w całej rozciągłości podsłuchiwała wszystkie telefoniczne kanały łączności między USA i Ameryką Łacińską, przekazując otrzymywane informacje organom federalnym.

Nowe urządzenia telefoniczne, które teraz wchodzą do eksploatacji, w pewnym stopniu utrudniają prace „trzeciemu abonentowi", ale także „przetrawić" tę ogromną obojętność informacji nie jest łatwo nawet dla ABN z jej superelektronicznym „żołądkiem". Jednakże żadna technika nie chroni w zasadzie od przechwycenia informacji, przekazywanych telegraficznie, teleksem lub kablem — od komputera do komputera. Każdy przekazywany tekst można zapisać albo przy pomocy zwykłej maszyny do pisania, albo przy pomocy superszybkich urządzeń drukujących nowoczesnych komputerów. Tymi metodami szeroko posługuje się ABN.

Aparaty agencji łowią w eterze fale łączności radiowej o krótkim zakresie i otrzymują informacje także za pośrednictwem satelitów łączności. Jeśli zachodzi konieczność, aparaturę ABN podłącza się do podsłuchu kanałów łączności, wynajmowanych przez rządy państw zagranicznych. Pracownicy Ministerstwa Sprawiedliwości USA zwracali uwagę na tę okoliczność, kiedy była mowa, że od 1945 roku do 1975 ABN stale otrzymywała od kompanii telegraficznych: Western Union International, International Telephone and Telegraph i Radio Corporation of America kopie milionów międzynarodowych telegramów, które „uzupełniały podstawowe źródło informacji Agencji BN — podsłuch radiowy". Otrzymywany w ten sposób „surowiec" przekazuje się do sztabu ABN, gdzie komputery automatycznie dokonują zestawień wiadomości i ich wyboru, ostatecznie opracowują informacje i przekazują je do odpowiednich urzędów.

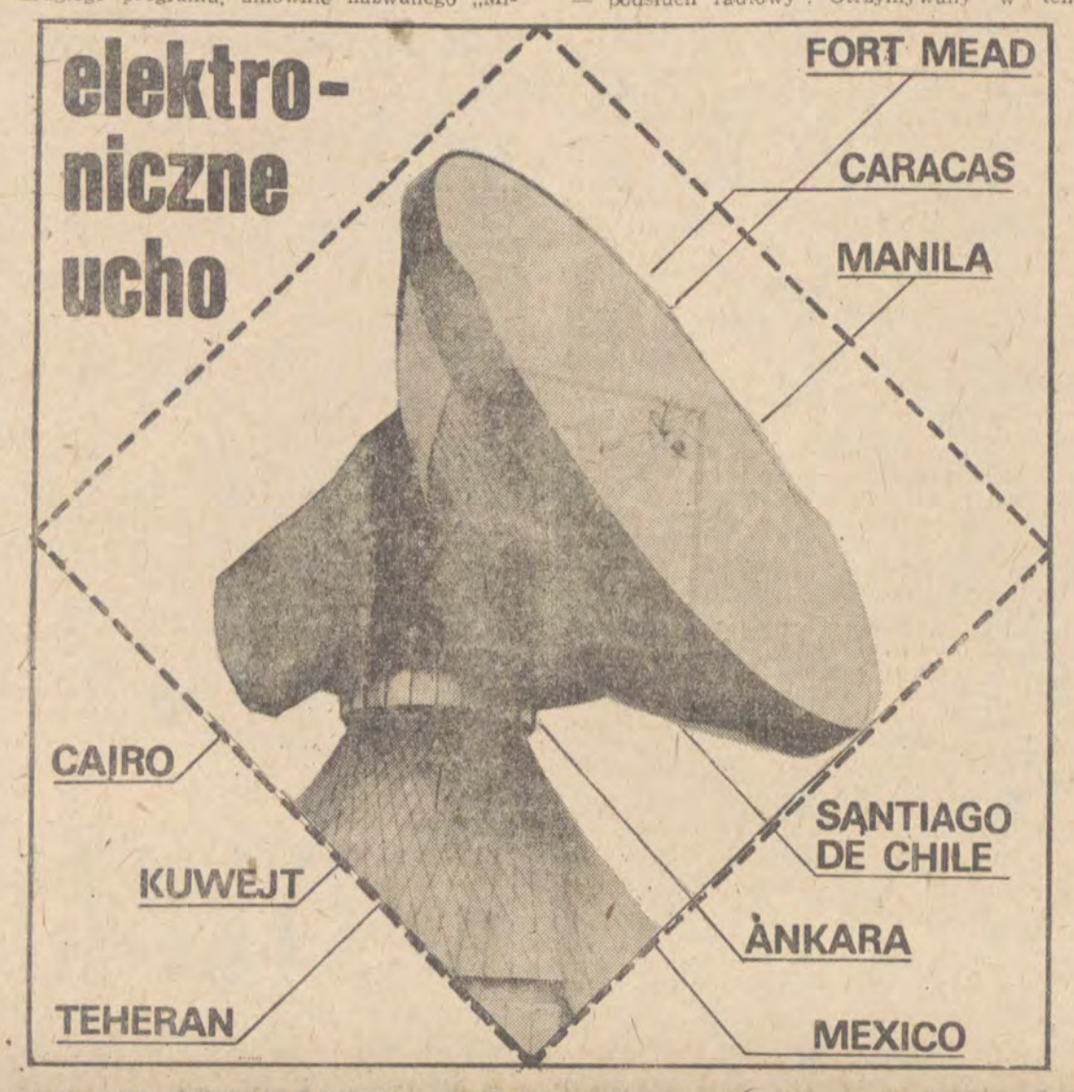

SZPIEGOSTWO WOJSKOWE

Przewodniczący senackiej komisji do badania nielegalnej działalności służb wywiadowczych USA, senator F. Church, powiedział o ABN: „Jest to najbardziej skomplikowany i najdroższy kompleks w świecie, dysponujący najnowocześniejszą techniką obliczeniową..." Chociaż klientelę ABN stanowi Biały Dom, Departament Stanu i inne urzędy państwowe, agencja należy do resortu Ministerstwa Obrony i znaczna część jej działalności jest związana z wywiadem wojskowym. Od momentu swego powstania, na podstawie tajnego zarządzenia prezydenta Trumana, działalnością agencji zawsze kierowali wojskowi. Obecnie szefem ABN jest 47-letni wiceadmirał, B.R. Inmann, rodem z Teksasu, który większą część swojej wojskowej kariery spędził w służbie wywiadowczej. ABN podsłuchuje wszystkie robocze informacje podczas wystrzeliwań radzieckich rakiet, rozmowy radiowe dowódców oddziałów lotnictwa i broni pancernej. Czuła aparatura ABN przechwytuje sygnały radiowe nadawane z łodzi podwodnych na satelity, namierza przekaźniki potencjalnego przeciwnika, określa zakres fal kanałów łączności. Niekiedy informacje „wyławiane" drogą całodobowych, żmudnych „poszukiwań" mają ogromne znaczenie. Szczegółowe studiowanie przechwyconych informacji pozwala na ocenę potencjału wojskowego domniemanego przeciwnika i wyszukanie jego czułych miejsc na wypadek wojny.

Wszystkie państwa używają w celu ochrony swoich tajemnic cyfrowych szyfrów i kodów. Jednakże większość wojskowych rozkazów radiowych nadaje się otwartym tekstem, z którego można się wiele dowiedzieć. Dlatego wielu ekspertów ABN skrupulatnie studiuje i taką informację, uważając ją za nader cenną. USA i inne wielkie mocarstwa używają do szyfrowania urządzeń elektronicznych. Wszystkie te systemy są oparte na używaniu „klucza" — szyfru, składającego się z krótkich liczerowych i cyfrowych grup lub symbolów, który ma jednak dwa słabe punkty. Informację można rozszyfrować „metodą wykluczania", lub, jak się ją nazywa, „metodą energetyczną", kiedy komputer kolejno „próbuje" wszystkie znane już klucze dopóty, dopóki informacja nie zostanie rozszyfrowana. Oczywiście nieraz kończy się to fiaskiem. Drugim słabym punktem jest sam szyfr: małe zaniedbanie i tajny szyfr może się znaleźć w rękach przeciwnika.

SZYFRY I KODY

Specjaliści ABN z zakresu kryptografii rozporządzają najnowocześniejszą techniką elektroniczną do rozwiązywania szyfrów „metodą energetyczną", niemniej skrupulatnie wyłuskują omyłki szyfrantów innych krajów, co niekiedy pozwala na rozwiązywanie szyfrów, których teoretycznie odgadnąć nie można. Poza tym, służby wywiadowcze wolą ułatwić sobie zadanie i wykraść zagadkowy szyfr. Były minister sprawiedliwości USA, Ramsay Clark, opowiada, iż w czasie, kiedy piastował ten urząd, dyrektor FBI, Edgar Hoover, dosłownie zamęczał go prośbami, żeby udzielić mu zezwolenia na przeprowadzenie rewizji w lokalu przedstawicielstwa jednego z zagranicznych mocarstw przy ONZ, gdzie zamierzał skonfiskować materiały kryptograficzne.

Powodzenie jakiejkolwiek operacji wykrycia szyfru zależy od tego, na ile jednej ze stron udaje się wykryć słabe ogniwo w systemie służby szyfrów drugiej strony. Mogą to być — i nieudany schemat szyfrowania, i omyłki techniczne, a niekiedy po prostu wątpliwy szyfrant. „Rozpoczynając pracę nad cudzym szyfrem, zawsze z uporem szukamy w nim pomyłki — mówi Francis Cross, jeden z wiodących specjalistów FBI w dziedzinie odczytywania szyfrów. — Jeśli pomyłek nie ma, to odczytanie szyfru jest niemożliwe". Poważnym problemem, z którym zetknęła się obecnie ABN, jest stworzenie i rozpowszechnienie się w świecie nowych elektronicznych urządzeń kodujących, które pozwalają obcym państwom, a w tej liczbie i tym, których służby wywiadowcze nie są aż tak biegłe w tajnikach sztuki szyfrowania, na używanie niezwykle złożonych kodów, które z powodzeniem chronią ich tajemnice rządowe przed amerykańskim wywiadem.

Starając się przeniknąć cudze tajemnice, ABN ucieka się do nadzwyczajnych środków, ochraniając jednocześnie swoje własne i doprowadzając reżimy tajności do takiego stopnia, w porównaniu z którym systemy CIA i FBI przypominają igraszki skautów. Nie na darmo na ścianach sztabu ABN wszędzie wiszą rzucające się w oczy tabliczki z napisem: „Ani słowa!" Właśnie reżim najściślejszej tajemnicy w znacznym stopniu odgradza ABN od publicznych skandali, które zwaliły się w ostatnich latach na inne służby wywiadowcze USA. Jednakże ta głęboka konspiracja, w jakiej pracuje państwowy, bądź co bądź, urząd rzeczywiście rodzi uzasadnione obawy amerykańskiego społeczeństwa, iż ABN przekracza konstytucyjnie dopuszczalne granice działalności. Istotnie, agencja nie może otwarcie kwestionować swoich zamachów na prawa obywateli USA i chociaż uchroniła się od dochodzeń, które ujawniły skandaliczną działalność CIA i FBI, jest oczywiste, iż praca tej supertajnej organizacji zasługuje na najbardziej czujną uwagę amerykańskiego społeczeństwa (Według „US News and World Report" — opr.c.).

Z DZIEJÓW POLSKIEJ MYŚLI MARKSISTOWSKIEJ

Wydawnictwa naukowe, ogłaszane na Białorusi, docierają do nas niezmiernie rzadko. Dlaczego tak się dzieje, pozostanie chyba nadal słodką tajemnicą naszych rodzimych specjalistów od importu literatury naukowej, którzy zapewne bardziej patrzą w różne wskaźniki, aniżeli na tytuły książek. Tymczasem białoruska produkcja naukowa, przynajmniej w zakresie historii i dyscyplin sąsiednich, jest dla nas niezmiernie interesująca, choćby już tylko przez fakt, że niezmiernie często dotyczy ona naszych polskich spraw. Nie udało mi się dotąd dotrzeć do dwóch książek białoruskiego badacza, związanego z Uniwersytetem w Mińsku, Aleksandra S. Klewczenji, które bardzo by mnie interesowały. Pierwszą z nich jest opublikowana w 1968 r. w Mińsku monografia tego autora o wybitnym polskim filozofie Stefanie Rudniańskim, druga, ogłoszona tamże w roku następnym, to książka o myślicielu i pedagogu ogromnych zasług Władysławie Spasowskim. Szczęśliwym jednak trafem zdobyłem — w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki — trzecią książkę tego samego badacza, mianowicie wydaną po rosyjsku pracę, opatrzoną tytułem (podaję go w tłumaczeniu polskim): „Studia z dziejów marksistowsko-leninowskiej myśli filozoficznej w Polsce". Praca ta ukazała się w 1978 r. w ramach wydawnictw Uniwersytetu im. W.I. Lenina w Mińsku, w bardzo niewielkim nakładzie (1.100 egzemplarzy).

Problematyka dziejów myśli marksistowskiej w Polsce nie od dziś znajduje się w centrum uwagi wielu naszych uczonych. Badania w tej dziedzinie zintensyfikowały się niezmiernie właściwie dopiero w ostatnim dziesięcioleciu i choć ich metryka nie jest zbyt stara, przyniosły bardzo obiecujące rezultaty. Aby się o tym przekonać, warto sięgnąć czy to do syntetyzujących prac Seweryna Dziamskiego, czy do bardziej specjalnych publikacji, zawartych w naszych periodykach filozoficznych (zwłaszcza w „Studiach Filozoficznych") czy takich wydawnictwach, jak wydane niedawno w Poznaniu (1978) „Materiały i studia z dziejów myśli marksistowskiej w Polsce". Do tego właśnie, dynamicznie rozwijającego się dziś u nas nurtu badań, włączył się, i to nie od dzisiaj — jak na to wskazują daty jego poprzednich książek — uczony z Mińska.

Cóż Aleksander S. Klewczenja ma w swej książce do powiedzenia? Bylibyśmy w błędzie, gdybyśmy sądzili, że białoruskiemu autorowi chodziło li tylko o zsyntetyzowanie i spopularyzowanie tego co już zrobiono w dziedzinie badań nad dziejami myśli marksistowskiej w Polsce. W przypadku jego pracy mamy bowiem do czynienia z ambitną rozprawą naukową, opartą o doskonałą znajomość źródeł i literatury przedmiotu, w której autor w sposób najzupełniej samodzielny — a niekiedy, można by rzec, indywidualny — przedstawia wyniki własnych poszukiwań badawczych. Z pewnością też każdy kto interesuje się bliżej tą tematyką, winien zapoznać się z tą książką. Znajdzie w niej interesujące analizy, niestereotypowe — chociaż czasami i dyskusyjne — uogólnienia, dobre badawcze rzemiosło. Jedyne, z czym można by tu dyskutować, co się tyczy spraw ogólnych, to zasadność — moim zdaniem dająca się zakwestionować — zawężenia zainteresowań autora, w szczególności co się tyczy okresu międzywojennego, do badania myśli marksistowskiej, niemal wyłącznie środowisk, związanych z polską lewicą rewolucyjną. Nie sposób oczywiście zaprzeczać, że właśnie te środowiska winny się znaleźć w centrum uwagi badacza, chodzi nam jednak o to, czy nie warto byłoby rozszerzyć tu zainteresowań również i na inne kręgi. Niedawno ogłoszone sondażowe studium S. Dziamskiego o rozumieniu marksizmu przez ideologów przedwojennej PPS pozwala wiele obiecywać sobie po tego rodzaju poszukiwaniach. Swoją jednak drogą A. S. Klewczenja miał pełne prawo wyboru i selekcji interesującej go problematyki, skoro nie pisał dzieła o zamierzeniach syntetycznych, ale książkę, zatytułowaną „Studia".

Jest też w tej książce sporo krytycznych uwag w stosunku do dotychczasowych badań nad dziejami myśli marksistowskiej w Polsce — dawniejszych i współczesnych. Z pewnością celny jest sformułowany przez białoruskiego uczonego zarzut, skierowany pod adresem wielu naszych historyków ruchu rewolucyjnego i robotniczego, mianowicie, że w swych publikacjach zbyt często stronią oni od podejmowania problematyki filozoficznej. Wprawdzie A. S. Klewczenja formułuje swą krytykę bardzo elegancko i ostrożnie, zwraca ona na siebie uwagę. I słusznie. Zbyt bowiem często przedstawia się dzieje ruchu rewolucyjnego jako serię następujących po sobie zdarzeń, w które w taki bądź inny sposób uwikłane zostały różne mniej lub bardziej znane postaci, nie zastanawiając się nad tym, że ludzkie zachowania mogą być także czymś więcej, jak tylko bezpośrednią reakcją na zmiany otaczającej nas rzeczywistości, że ich motywacja — w przypadkach działaczy ruchu rewolucyjnego — nad wyraz często wiąże się ze świadomymi wyborami światopoglądowymi, z przekonaniem o słuszności jakiejś wizji świata, z własnymi poszukiwaniami intelektualnymi. Zapominanie o tym prowadzi do zubożenia obrazu rzeczywistości, jeśli nie do jego wykoślawienia. „Małżeństwo" historyka z filozofią bywa więc nieraz konieczne.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Całe śródziemnomorskie wybrzeże, które dla mieszkańców północnych rejonów Europy pozostaje nadal symbolem nieba bez chmurki, przezroczystej wody i szczodrego słońca znalazło się dziś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Morze Śródziemne, które zawsze było źródłem egzystencji dla milionów ludzi, jest dziś narażone na dotkliwy cios.

Jest ono właściwie ogromnym jeziorem o powierzchni ponad 3 i pół miliona km kw., otwartym na Atlantyk przez Cieśninę Gibraltarską. To otwarcie na ocean jest zbyt małe i dlatego na wymianę ciepłej i słabo mieszanej przypływami wody trzeba prawie stulecia. Nad brzegami Morza Śródziemnego żyje ponad sto milionów ludzi, ale jak wskazują prognozy, ich liczba podwoi się w ciągu najbliższych 20 lat. Żeby taką masę ludzi wyżywić, trzeba będzie łowić dwa razy więcej ryb, wysiewać dwa razy więcej ziarna na chleb. A ziemi pod uprawę jest coraz mniej, bowiem wyrastają na niej, jak grzyby po deszczu, wciąż nowe fabryki, które zanieczyszczają atmosferę, zatruwają wodę.

Stolica Grecji była w 1832 roku maleńkim miasteczkiem z 14 tysiącami mieszkańców. Dziś „Wielkie Ateny" liczą blisko 3 i pół miliona mieszkańców — trzecią część ludności całej Grecji. Jest to największe miasto nad Morzem Śródziemnym, większe od Neapolu, Aleksandrii, Barcelony. Wyrosło jak potworna głowa na zbyt kruchym ciele, podporządkowując sobie wszystkie siły i wszystkie kapitały, lecz bez przemyślanego planu rozbudowy. Nie mając planów, budowniczowie „zapomnieli" o kanalizacji w nowych dzielnicach i zabetonowali koryta wijących się strumyków. W konsekwencji, minionej zimy, wystarczyło zaledwie kilku dni ulewnych deszczów, żeby zatopić miasto. Zginęły 43 osoby. Tylko dwie trzecie domów mieszkalnych ma kanalizację miejską, pozostałe korzystają z dołów kloacznych. Każdego dnia 1100 specjalnych cystern opróżnia doły i przewozi nieczystości do wielkiego kolektora, oddanego do eksploatacji w ub. roku. Ale już w dniu jego uruchomienia osobistości oficjalne i specjaliści techniczni stwierdzili z przerażeniem, że nie jest on szczelny. Nazywany trzecią rzeką Grecji, ponieważ dziennie przepuszcza 400 tys. m sześć. nieczystości, wyrzuca swoją zawartość do akwenu portu Pireus, na odcinku należącym do greckiej marynarki wojennej. Dalej, w Zatoce Sarońskiej, wszystko to miesza się z przemysłowymi odpadami miasta, gdyż 65 procent przedsiębiorstw przemysłu greckiego usytuowano na wybrzeżu zatoki.

Jeśli prawdą jest, że w wielkim konkursie „Kto jest brudniejszy", wszystkie nagrody przypadają Atenom, to jednak, gwoli sprawiedliwości, należy wspomnieć, iż Neapol i Marsylia depczą stolicy Grecji po piętach. „Mare claro", znaczy czyste morze. Tak nazwano jedną z dzielnic Neapolu. Ale przecież zarówno w tej dzielnicy, jak i w innych miejscach plaże są pokryte odpadami przemysłowymi. Najostrzejszym problemem miasta, w którym w 1973 roku wybuchła epidemia cholery, jest brak kanalizacji. Poszczególne dzielnice mają lichutkie urządzenia kanalizacyjne, liczące sobie po sto lat! Na przedmieściach mieszkańcy całych rejonów żyją, jak w czasach średniowiecza: nieczystości wylewa się wprost na ulice.

„W 1896 roku 270 tysięcy marsylczyków wylewało pomyje i zawartość swoich nocników wprost do morza. W 1979 roku milion marsylczyków i sto fabryk wyrzucają swoje odchody do tego samego morza" — pisze reporter jednej z marsylskich gazet. System odprowadzania nieczystości polepszył się bardzo nieznacznie w okresie dzielącym te obie daty. Wprawdzie, w odróżnieniu od Aten i Neapolu, w Marsylii kanalizuje się wody ściekowe, cały problem polega jednak na tym, że się ich nie oczyszcza. A trzeba wiedzieć, iż Marsylia jest największym ośrodkiem przemysłowym, leżącym nad Morzem Śródziemnym. Każdego dnia do zatoki portu marsylskiego wylewa się 400—500 ton środków piorących, 3 tony produktów naftowych, 45 ton chloru, nie licząc chemikalii trawiących i ciężkich metali. W konsekwencji w zatoce zanikł świat roślinny i zwierzęcy.

Narody zamieszkujące basen Morza Śródziemnego zaczynają rozumieć, iż otaczające środowisko muszą ochraniać, jeśli chcą „pogodzić" wyścig inwestycji przemysłowych z wciąż jeszcze najważniejszą podstawą ich egzystencji — turystyką. Goszcząc sto milionów cudzoziemców rocznie basen Morza Śródziemnego otrzymuje zaledwie trzecią część sumy, jaką wydaje świat na turystykę.

Spośród 22 milionów mieszkańców 22 największych miast rozłożonych na brzegach Morza Śródziemnego, 17 i pół miliona ludzi żyje w zagrożeniu chorób zakaźnych z powodu braku urządzeń oczyszczających wodę. W sprawozdaniu przedstawionym na międzynarodowej konferencji w Rzymie wskazuje się, że w 2000 roku będzie się wyrzucać do Morza Śródziemnego około 37 miliardów metrów sześć. odpadów. Żeby się nie zadusić, żeby wybudować urządzenia kanalizacyjne i oczyszczalnie niezbędna dla miast basenu tego morza, konieczne są środki pieniężne rzędu 40 miliardów dolarów. Merowie tych miast obecni na konferencji zgodzili się, oczywiście, z koniecznością budowy takich urządzeń, ale uprzedzili również, iż koszta tych inwestycji o wiele przekraczają budżety władz miejskich.

Władze miejskie są jeszcze bardziej bezsilne wobec groźby katastrofalnych zanieczyszczeń przez przemysł. Wiadomo, iż nawet najlepsze urządzenia nie zapewniają pełnego oczyszczenia odpadów. Dlatego też przede wszystkim musiałyby władze miejskie wywalczyć zakaz wyrzucania do morza trujących odpadów przemysłowych oraz oczyszczania wód ściekowych bezpośrednio u ich źródła. Techniczne rozwiązanie tego problemu jest w większości wypadków zupełnie możliwe, lecz związane z dodatkowymi wydatkami, na które, ani jedno prywatne przedsiębiorstwo nie chce się zgodzić, jeśli nie wymaga się tego samego od konkurencji. Właśnie z tego powodu, ponad pięć lat włoski koncern przemysłowy „Montedison" wyrzucał do Morza Śródziemnego, między Wybrzeżem Liguryjskim a Korsyką tony odpadów przemysłowych — kwasu siarkowego i ciężkich metali. Wiadomo jednak, że koncern opracował i opatentował technologię obróbki tych odpadów na lądzie. Dlaczego więc odmówił zainstalowania takich urządzeń oczyszczających we własnych zakładach w Scarlino? Dlatego, że podwyższyłoby to o 10—20 proc. koszty produkcji. „Montedison" nie widział powodów, dla których miałby poddać siebie takiej „karze", skoro jego groźni brytyjscy i francuscy konkurenci mają prawo wyrzucać swoje odpady przemysłowe do Kanału La Manche. Dopiero wówczas, gdy zostało podpisane europejskie porozumienie w tej sprawie, koncern zgodził się wreszcie na oczyszczanie własnych odpadów przemysłowych.

W lutym 1976 roku, 18 krajów akwenu Morza Śródziemnego podpisało pierwsze w historii porozumienie o ochronie morza, ale jego postanowienia nie wyszły, niestety, poza ramy pobożnych życzeń. Fiaskiem skończyła się również druga konferencja tychże 18 krajów, która w początkach 1978 roku obradowała w Monaco.

Wyniki badań mówią, iż stan „chorego morza" pogorszył się wydatnie w ostatnich latach, i że zagraża zdrowiu coraz większej liczbie ludzi, nie tylko w rejonie Morza Śródziemnego, lecz także w innych rejonach Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. Jak podają specjaliści Światowej Organizacji Ochrony Zdrowia, kraje basenu Morza Śródziemnego wyrzucają do jego wód w ciągu roku 12 milionów ton odchodów organicznych. Ponadto zakłady przemysłowe „dodają" do tego jeszcze własne odpady: jeden milion ton azotu, 360 ton fosforu, 21 tys. ton cynku, 2.400 ton chromu i 2.500 ton przeróżnych środków radioaktywnych, a przede wszystkim rtęci!

Wszystko to rodzi trudne do rozwiązania problemy, a jednocześnie konieczność bezzwłocznego podjęcia szeregu decyzji, zmierzających do skutecznej ochrony zdrowia ludzi, uratowania od zagłady flory i fauny Morza Śródziemnego oraz unikalnych zabytków historycznych.

JERZY CZECH

WYZYSK DZIECI PALESTYŃSKICH W IZRAELU

Na granicy państwa Izrael. Trzecia godzina nad ranem. Zimny zachodni wiatr wieje nad strefą Gazy. Na poboczu drogi łańcuch małych ognisk i dzieci, które cisną się wokół nich, usiłując się ogrzać. Arabscy pośrednicy krążą wśród ognisk, wywołują nazwiska dorosłych i dzieci, sprawdzają, kto przyszedł, a kogo nie ma, zachęcają do pracy. Nadjeżdżają ciężarówki. Kobiety, mężczyźni i dzieci wdrapują się na nie i wyładowane samochody kierują się ku północy, ku izraelskim polom uprawnym. To targ dziecięcej pracy 1978 — na granicy Izraela, u północnych wrót strefy Gazy.

Dlaczego pracują?

„Potrzebujemy dużo pieniędzy". Żeby nie mieszkać pod gołym niebem rodzina buduje sobie dom, więc wszystkie dzieci przestały chodzić do szkoły: 9 braci i 3 siostry. Wszyscy pracują. Kiedy okazało się, że dzieci też mogą przynosić pieniądze posłano je do pracy. Dokąd?

„Pracujemy u żydowskich kolonistów, na polach melonów i arbuzów, przy kwiatach".

Małą szarą ciężarówką nadjeżdża żydowski farmer, zatrzymuje się przy jednym z ognisk, bacznie przygląda się skupionym wokół niego dzieciom, szukając wzrokiem najsilniejszych. Dzieci zbliżają się do niego: „Ja panie! Ja, panie!" Mężczyzna wybiera starannie i pokazuje palcem dobrze zbudowanego chłopca. Dzieciak uszczęśliwiony wdrapuje się na ciężarówkę. Farmer nie chce podać swego nazwiska, ani nazwy gospodarstwa. Ale chłopcy wiedzą: „Lakhisz — to kwiaty". Farmer jest gotów powiedzieć, co o tym myśli.

— To prawda, że zatrudniam dzieci, zatrudniam, a nie wyzyskuję. Nikogo nie wyzyskuję, płacę im uczciwie za pracę. Ile? Nie będziemy przecież wnikać w takie szczegóły. Te dzieci potrzebują pracy. Do niedawna mieszkały w norach nic nie robiły i żyły z datków UNRWA (agencja ONZ d/s pomocy uchodźcom). Wszyscy żyli w obozach dla uchodźców, w strasznych warunkach. Stopniowo zrozumieli, że tylko praca i pieniądze mogą ich uratować od tych warunków. Nasi rodzice w diasporze też zaczynali pracować w tym wieku aby dopomóc swym rodzinom. Nikt ich przecież nie zmusza by posyłali dzieci do pracy zamiast do szkoły. Mają najwidoczniej inną skalę wartości niż my. Strefa Gazy się zmienia, budują domy, nie ma już prawie bud. dzieci nie włóczą się i nie kradną na polach. Może to niezbyt przyjemnie że te dzieci pracują, ale Arabowie z Gazy rehabilitują się przez pracę, a my uczymy ich pracować.

— Zbieranie na polu melonów ma być odpowiednią pracą dla dziewięciodziesięcioletnich dzieci?

— Proszę posłuchać, mam u siebie szesnastoletniego chłopca z Rafiah, Ibrahima, on jest nawet czymś w rodzaju kierownika. Prowadzi mój traktor, przygotowuje kwiaty, sortuje, a kiedy mnie nie ma, to on jest szefem. Dlaczego nie chcecie zrozumieć, jakie walory ma praca tych dzieci?

— A wasze dzieci też pracują?

— Oczywiście. Podczas wakacji one też pracują. Ale my jesteśmy przecież na zupełnie innym szczeblu rozwoju. Ja nigdy nie miałem tego, co teraz daję swoim dzieciom. Skończyłem tylko szkołę podstawową i zacząłem pracować, gdy miałem 14 lat. Moje dzieci będą mogły, jak sądzę, studiować na uniwersytecie, jeśli zechcą. Ale podczas wakacji, proszę mi wierzyć, moje dzieci pracują też przy kwiatach, razem z Ibrahimem i Mustafą i wcale im to nie sprawia przykrości.

Arabski pośrednik pertraktuje z kierowcą ciężarówki, który przyjechał z Rehovot. Obiecano im 60 dzieci po 30 funtów. Arab kłóci się z kierowcą: chce dać dzieci po 30 funtów, ale chce za każde po 20 funtów dla siebie, a człowiek z Rehovot zgadza się tylko na 10 funtów. Zjawia się inny pośrednik arabski, a za nim cały sznur kobiet i dzieci. Teraz obaj pośrednicy kłócą się zawzięcie między sobą.

Liczne pojazdy, autobusy, ciężarówki wszelkiego rodzaju, ruszają w drogę na północ. Kierowcy nerwowo naciskają klaksony, wyprzedzają się nawzajem, jadą niebezpiecznie dla siebie i dla pasażerów. W ciężarówkach — senne dzieci ze strefy Gazy, które wstały o 2 w nocy lub wcześniej i wędrowały pieszo kilometrami, aby dotrzeć tu na czas.

— Czy one są zgłoszone do ministerstwa pracy? — pytam strażnika przy barierze. — Czy są ubezpieczone od wypadków? Czy ktokolwiek interesuje się ich sprawami socjalnymi?

— Pan chyba żartuje, przecież to tylko dzieciaki! Kto mógłby się zorientować w tej dżungli? Pracują, a pod koniec dnia dostają pieniądze do ręki, i to wszystko.

O szóstej rano targ jest już pusty. Tylko dogasające ogniska świadczą, że coś się tu działo. Wszystkie dzieci zostały zagarnięte przez izraelski rynek pracy. Pośrednicy żydowscy i arabscy doszli między sobą do porozumienia i dzieci ze strefy Gazy jadą teraz na pola i do fabryk.

* * *

Droga do Aszkelonu, godz. 3.50. Wśród ciemnych pól świeci samotna latarnia. Wielka załadowana ciężarówka blokuje wjazd do stacji obsługi samochodów. W ciemności słychać hałas klaksonów. Na plac usiłuje się przedostać niewielka kolumna małych zniszczonych ciężarówek. Wjeżdżają, zatrzymują się na chwilę, potem zataczają półkole. Nie przyjechały tu tankować paliwo — stacja jest zamknięta. Przywiozły żywy towar. Ludzie wysypują się z samochodów jak śledzie z beczki i rozpraszają się w ciemnościach. Ciężarówki zaznały zapewne lepszych dni gdzieś w latach sześćdziesiątych. Ich psażerowie — chyba nigdy. 20-25 osób w każdym wozie. Wszyscy się spieszą. Twarze blade, wygląd chorowity. Każdy ściska kurczowo w ręku plastikową torbę, jak gdyby stanowiła cały jego dobytek. Teraz na placu jest 60 mężczyzn, kilka kobiet, no i dzieci — po 12, 13 i 14 lat. Przyjechali tu z Gazy, Chan Junis i Rafia — wszystko w strefie Gazy.

O godz. 4.05, niebo zaczyna się rozjaśniać, o 4.20 wzgórza różowieją o 4.50 wschodzi słońce. Ludzie, którzy dreptali po placu w ciemnościach, są teraz widoczni w pełnym świetle. Jest ich około 200 w tym 40 dzieci. 240 par rąk roboczych. W dali, poza polami bawełny, widać wysokie namioty z folii, okrywające słynne róże z regionu Lakhisz. Od północy zbliża się jeep, jedzie z nadmierną szybkością (ale w okolicy nie ma policjantów) i ze zgrzytem zatrzymuje się przed stacją. Tłum zwraca się w jego kierunku. Głowa kierowcy widnieje ponad falującym tłumem. Krzyczy: „Czterech, powiedziałem czterech!" Z tłumu słychać słowa: „Pracy! Panie! Ja dobrze pracować!" Z daleka nie sposób zrozumieć, co odpowiada kierowca. Czterech mężczyzn wskakuje na tylne siedzenie jeepa. Jeszcze krzyki: „Weź mnie, panie, jestem wart 60 funtów". Kierowca rusza, tłum się rozstępuje. Na skrzyżowaniu jeep skręca w kierunku Lakhisz.

Dzieci trzymają się na uboczu. Są posłuszniejsze niż rodzice. Są jak glina pod nogami potężnego przedsiębiorcy, który pośredniczy między nimi a pracodawcami. Nadjeżdża mała ciężarówka. Młody farmer chce 15 par rąk do zbierania cebuli. Pośrednik żąda po 50 funtów za dzieci, farmer daje po 40 funtów. Chwile się targuje, wreszcie zgoda. Dzieci dostaną po 35 funtów. Wdrapują się na ciężarówkę, farmer zakłada z tyłu łańcuch.

— Zatrudnia pan dzieci?

— Są silne i zdrowe, chcą pracować.

— To tylko pozory. Płaci im pan po 40 funtów?

— Czy w Kairze dawaliby im więcej?

— To jest bezprawie.

— Wolałby pan, żeby głodowały?

Przez chwilę wydaje się, że ten człowiek naprawdę wierzy w swoje racje. Samochód odjeżdża w kierunku pobliskiej zamożnej kolonii. Jednej z najbogatszych w okolicy. Zysk ze szklarni wynosi 300 tys. funtów rocznie.

O godz. 6.00 pojawia się Oded Ramati, właściciel stacji obsługi. Teraz na placu jest około 300 osób. Pan Ramati, aczkolwiek sprawia dobre wrażenie ,jest wściekły. To skandal, prawdziwy skandal, co rano to samo. Od 3.30 do 8.00 ten bałagan, krzyki, bijatyka, noże. W ubiegłym tygodniu na asfalcie była krew.

Jedyny problem, to to, że nie wyrzuca ich się stąd, nie wysyła gdzie indziej. „Od przeszło roku — mówi pan Ramati — błagam o to. Dwadzieścia razy telefonowałem do policji, żeby ich stąd przegnała. To mnie naraża na straty. Niektórzy kierowcy boją się korzystać z mojej stacji. Sto razy domagałem się, żeby postawili w okolicy jakąś zagrodę z drutu, żeby to nie było na terenie mojej stacji. Wszystko za późno".

Małe i duże ciężarówki z pobliskich gospodarstw wciąż wjeżdżają na plac i wyjeżdżają z niego. Ludzie biegają za nimi, proszą o pracę. Samochody blokują wjazd do stacji. O godz. 6.40 pan Ramati ma tego dość. Uważa, że powinien natychmiast coś zrobić. „Wynoście się stąd, sk... syny" — krzyczy. Nikt się nie rusza. Ramati bierze węża i polewa tłum wodą. Cofają się w kierunku Gazy, jak zmokłe psy, ale tylko kilkanacie metrów. Na drugim krańcu placu dwunastu chłopców w wieku około 13 lat wsiada do ciężarówki, na której wypisana jest nazwa firmy. Ta ciężarówka jest tu już po raz drugi tego ranka. Na zadane pytanie kierowca odpowiada: „To nieprzyjemne, naprawdę bardzo nieprzyjemne. Ale one przecież też muszą jakoś zarobić na życie". Nie byłoby też przyjemnie pytać go, czy on sam ma dzieci, bo przecież to dwie zupełnie różne sprawy, czyż nie tak?

O godz. 7.30 plac jest już prawie pusty. Około 25 dzieci kręci się jeszcze w pobliżu. Większość w wieku 12-14 lat. Jedno zupełnie małe, najwyżej ośmioletnie. Nie chodzi do szkoły. Miły mały brunecik. Jeśli spytać, czy jest zdrowy, usłyszy się najgorętsze zapewnienia, że tak.

Nie ma nawet śladu jakiejś inspekcji z izraelskiego ministerstwa pracy. Ustawa z 1953 r. o zatrudnieniu nieletnich: „Nie zezwala się na angażowanie do pracy dzieci poniżej 16 roku życia". Za naruszenie tej ustawy przewidziana jest grzywna w wysokości 3,5 tys. funtów. Ale w pobliżu nie ma żadnego policjanta. Ramati stwierdza, że od półtora roku nie pojawił się ani jeden.

O godz. 7.45 od strony Gazy nadjeżdża jeszcze jeden samochód ciężarowy pełen mężczyzn i dzieci. Pan Ramati traci resztę cierpliwości. Biegnie na plac, wyciąga rewolwer i trzykrotnie strzela w powietrze. Nikt nie okazuje strachu. Są do tego przyzwyczajeni, zdarza się to mniej więcej dwa razy na tydzień. Woda z węża jest skuteczniejsza. Ramati wraca, bo dwóch panów, zapewne jakichś urzędników, w białych, pięknie wykrochmalonych koszulach, czeka w klimatyzowanym samochodzie na załatwienie paliwa.

Następnego dnia odpowiedzialny urzędnik z izraelskiego ministerstwa pracy oświadczył przez telefon: „Mówiąc szczerze, jest to dla nas sprawa zupełnie marginesowa".

(„L'ACTUEL" — Bruksela)

Z PRASY

Dążenie Stanów Zjednoczonych do zwiększenia swojej obecności militarnej na Bliskim Wschodzie oraz do zrealizowania planu stworzenia szerokiej koalicji antyradzieckiej, która by jednoczyła pod egidą Waszyngtonu niektóre kraje tego regionu z Izraelem włącznie świadczą, iż treść politycznych i strategicznych koncepcji Amerykanów nie uległa zmianie. Dwadzieścia lat po upadku proamerykańskiego rządu w Iraku, runęła w gruzy twierdza Zachodu na Środkowym Wschodzie — reżim szacha w Iranie.

Ostatnimi czasy obóz zachodni ponosi jedną porażkę po drugiej. Wszystkie kraje Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, pozostające uprzednio w dużej zależności od USA i niektórych innych krajów Zachodu, obecnie zaczynają przejawiać „krnąbrność". W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci Stany Zjednoczone nie mogły zaproponować swoim podopiecznym i sojusznikom w tym rejonie świata niczego, poza bronią i paktami wojskowymi. W latach 50 Waszyngton montuje Pakt Bagdadzki przekształcony następnie w CENTO po upadku monarchistycznego reżimu w Iraku. Następnie proponuje Arabom i Izraelowi nową wersję CENTO — METO (Organizacja Porozumienia Bliskowschodniego), która, zgodnie z ideą Amerykanów, powinna zjednoczyć Izrael, Egipt, Sudan, Somali, Jemen Północny, Arabię Saudyjską, Jordanię i Oman. W ten sposób przy wojskowej pomocy Stanów Zjednoczonych, miało być „osłonięte" całe terytorium strefy Morza Czerwonego, Półwyspu Arabskiego i Zatoki Perskiej.

Z wyjątkiem Kairu, który dąży do zajęcia pozycji b. cesarskiego Iranu i odgrywania roli którą uprzednio odgrywał Teheran — „żandarma" na Bliskim Wschodzie i we Wschodniej Afryce, kraje arabskie które niedawno odwiedził amerykański minister obrony Harold Brown, wypowiedziały się przeciwko tworzeniu takiego paktu. Fiasko misji Browna świadczy o głębokich rozbieżnościach między Waszyngtonem a krajami arabskimi. W zasadzie rozmowa toczy się w różnych językach: Amerykanie zawsze próbowali przekonać Arabów jakoby ZSRR i komunizm są ich prawdziwymi wrogami. Przez pewien czas niektóre kraje arabskie dawały posłuch tej amerykańskiej argumentacji. Ale dziś dają one Amerykanom do zrozumienia, że według nich jedynym wrogiem Arabów jest Izrael, a nie „bezbożny komunizm".

W przekonaniu Waszyngtonu, METO może zostać stworzone tylko po arabsko-izraelskim pojednaniu tj. po pomyślnej realizacji porozumienia w Camp David. Dlatego też Stany Zjednoczone rozpatrują działania Arabii Saudyjskiej przeciwko temu porozumieniu jedynie jako „akcję antyamerykańską, która godzi w bezpieczeństwo narodowe USA". Obserwuje się pewnego rodzaju nawrót do klimatu stosunków amerykańsko-saudyjskich, jakie wytworzyły się w początkach 1975 roku, kiedy król Arabii Saudyjskiej Fajsal prowadził z Amerykanami twarde targi w czasie rozmów w sprawie Synaju. Wówczas stanowisko Fajsala wywołało największe rozdrażnienie Waszyngtonu. Ten spór przerwało zabójstwo króla Fajsala w marcu 1975 roku.

Podobnie jak wielu Arabów, także Saudyjczycy nie chcą przekształcać strefy Bl. Wschodu w arenę otwartej walki między wielkimi mocarstwami. W związku z tym wyłoniła się neutralistyczna tendencja w kierownictwie saudyjskim, która przejawiła się m. in. w niedawnym anulowaniu wizyty następcy tronu Arabii Saudyjskiej (z jego własnej inicjatywy) do Waszyngtonu. Na razie chodzi tylko o „rozbieżności", ale mogą się one stać preludium prawdziwego kryzysu. („Journal de Geneve").

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY ISTNIAŁA ATLANTYDA?

Niedawno prasa doniosła:

„Z Lizbony nadeszła sensacyjna wiadomość: radziecka ekspedycja oceanograficzna na statku „Witeź" odkryła w rejonie między Lizboną a Maderą zatopioną Altantydę. Ekspedycja wykonała kilka podwodnych zdjęć — fragment murów i ogromnych schodów".

Wiadomość jest istotnie sensacyjna, gdyż Atlantydy poszukuje się już od setek lat. A wszystko.

zaczęło się od Platona.

Platon, filozof grecki żyjący w Atenach, zmarł w 347 roku przed naszą erą. Pozostawił po sobie wiele prac, a wśród nich dwa dialogi: „Timaios" i „Kritias", w których znajdują się wzmianki o legendarnym lądzie — Atlantydzie.

Jest to — pisze Platon — „opowieść bardzo dziwna, ale ze wszech miar prawdziwa". Opowieść tę, zapisaną w egipskich papirusach, miał poznać Solon, jeden z siedmiu greckich mędrców. Platon był spokrewniony z Solonem, ale opowieść tę poznał od wspólnych krewnych, gdyż Solon zmarł w 559 roku przed naszą erą, nie zapisawszy jej nigdzie. Platon też był w Egipcie, gdzie w tamtejszych bibliotekach studiował różne księgi, ale wspomnianych papirusów nie widział. Miały już nie istnieć.

„Pisma nasze mówią — miał powiedzieć Solonowi bardzo stary kapłan egipski — jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa...

Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo..

... przyszły straszne trzęsienia ziemi i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna — wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła".

I tak to się wszystko zaczęło, kiedy opowiadane w rodzinie Solona wieści o dawnym lądzie stały się znane innym, kiedy mogli o tym czytać i zastanawiać się, czy Platon prawdę przekazał potomnym, czy tylko opowiedział legendę, która mu była potrzebna, aby zilustrować system idealnego państwa. Zaczął się spór, który trwa do dziś i który pozostaje ciągle nie rozstrzygnięty.

Ludwik Zajdler, autor znakomitej monografii o trwającym od wieków sporze na temat Atlantydy, noszącej zresztą krótki tytuł: „Atlantyda", przytacza charakterystyczną opinię polskiego tłumacza dzieł Platona, Władysława Witwickiego, zamieszczoną we wstępie do dialogu „Kritias":

„Treść dialogu stanowi bajka o Atantydzie. Miała to być ilustracja do „Państwa". Konkretny przykład ustroju wymarzonego w pierwszej części „Państwa", umiejscowiony w zamierzchłej przeszłości Aten. Coś jak poemat prozą."

Ale nie wszyscy tak uważają. Niektórzy sądzą, że Atlantyda istniała i na różny sposób starają się wytłumaczyć zagadkę jej zniknięcia. Są to wszystko oczywiście hipotezy. Do tej pory napisano już w obronie hipotez o istnieniu Atlantydy, jak i przeciw nim przeszło 25 tysięcy tomów. Spór trwa nadal.

Wiadomość z Lizbony

jaka nie tak dawno obiegła światową prasę, choć brzmi sensacyjnie, nie jest niczym nowym. Wiele wypraw penetrowało Atlantyk, usiłując znaleźć ślady zatopionej cywilizacji. Jak do tej pory bezskutecznie.

Kilka lat temu agancja UPI nadała z hiszpańskiego portu Kadyks nie mniej sensacyjną wiadomość. Rejon Zatoki Kadyks penetrowała wówczas amerykańska ekspedycja z kalifornijskiego Uniwersytetu Peperdine. Jedna z jej organizatorek — Maxima Asher — powiedziała wówczas:

— To brzmi nieprawdopodobnie, ale sądzę, że znaleźliśmy kontynent Atlantydy. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widzieliśmy na własne oczy. Wiem tylko jedno, że jest to nadzwyczaj ważne odkrycie.

Aliści, jak do tej pory, nie ukazało się żadne opracowanie, które potwierdziłoby tę sensacyjną wiadomość sprzed lat. Co prawda jeszcze przed drugą wojną światową niemiecki profesor Adolf Schulten doszedł do wniosku, że istotnie Atlantyda leżała w rejonie Zatoki Kadyks, a jej stolicą było legendarne miasto Tartessus, które około 500 roku przed naszą erą zapadło się pod wodę na skutek trzesienia ziemi. Inna wersja wszakże mówi, że miasto tu zniszczyli Kartagińczycy. A założono je w XII wieku przed naszą erą, czyli mniej więcej wtedy, kiedy miała zginąć cała Atlantyda. Ruin miasta Tartessus — jak do tej pory — też nie znaleziono.

Wiadomość nadana z Lizbony mówi o odnalezieniu zatopionej Atlantydy. Profesor Ludwika Press z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, która zechciała skomentować tę wiadomość, nie bez słuszności stwierdziła:

— Trudno w tej chwili powiedzieć coś konkretnego o radzieckim odkryciu. Musimy zaczekać na pełną dokumentację odkrycia, a szczególnie na zapowiadane zdjęcia.

Profesor Ludwika Press nie kryje jednak swego sceptecyzmu. Powiada bowiem dalej:

— Co do Atlantydy, to nie ma absolutnej pewności, czy kiedykolwiek istniała.

To fakt. Ale nie mając „pełnej dokumentacji odkrycia" prof. Ludwika Press nie powstrzymała się, aby nie wyrazić poglądu, że Atlantydy jeśli w ogóle nie była fikcją, to trzeba szukać zupełnie gdzie indziej.

Spór toczy się bowiem nie tylko o to, czy Atlantyda w ogóle istniała, ale również o to, że jeśli, to

gdzie istniała?

Są tacy, którzy skłonni są jej szukać na Morzu Egejskim, gdzie istotnie odkryto na wyspie Santoryn, dawniej zwaną Thira, resztki zasypanych popiołem ruin. Pochodzą one z okresu kultury kreteńsko-minojskiej. Wulkan Santoryn czynny jest od wieków i wielokrotnie już niszczył wokół siebie życie i wyłaniał z morza nowe wyspy. Ostatnią — Nea Kameni (Nowa Spalona) w latach 1707 — 1712.

Gdzie już tej Atlantydy nie szukano. Po odkryciu Ameryki, gdzie zetknięto się z nieznanymi, wspaniałymi cywilizacjami, niektórzy doszli do wniosku, że ten wspaniały kraj, który leżał za „Słupami Heraklesa", to nic innego, jak... Nowy Świat. Tak sądził w 1530 roku włoski poeta, lekarz i filozof Girolamo Fracastoro. W pięć lat później do tego wniosku doszli Oviedo y Valdes i Augustin de Zarate, hiszpańscy kronikarze. Tak samo myślał ich rodak Francisco Lopez de Gomara. Później jednak odrzucono tę koncepcję.

Szukano Atlantydy na Morzu Azowskim, Czerwonym, w Zatoce Gwinejskiej, na Kaukazie, na Morzu Północnym. Jednak wśród zwolenników hipotezy o istnieniu Atlantydy przeważa pogląd, że trzeba jej szukać na Atlantyku, że Wyspy Azorskie, Kanaryjskie i Madera stanowią resztki dawnego lądu, który po jakimś kataklizmie znalazł się na dnie oceanu.

Atlantolodzy — bo tak nazywa się zwolenników hipotezy o istnieniu Atlantydy — zastanawiają się przede wszystkim nad pytaniem,

dlaczego Atlantyda zniknęła?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, stworzyli oni kilka różnych hipotez, które tłumaczyłyby zniknięcie sporego przecież lądu. Na szczególną uwagę zasługuje hipoteza Otto Mucka, która w logiczny sposób wyjaśnia wiele niewytłumaczalnych inaczej zjawisk, jakie miały miejsce na Ziemi gdzieś przed 11 — 12 tysiącami lat. Według tej hipotezy nastąpiło wówczas zderzenie Planetoidy A z Ziemią.

Miało to miejsce — jak obliczył Otto Muck — w roku 8498 przed naszą erą. Wtedy to Planetoida A miała przebiegać w pobliżu Ziemi. Ale tak się złożyło, że w dniu, w którym zbliżała się do naszej planety w jednej linii ustawiły się Słońce, Wenus i Księżyc. Spowodowało to odchylenie w orbicie Planetoidy A i zderzyła się ona z Ziemią. Nastąpiła straszna katastrofa. Ziemia się zatrzęsła i biegun przesunął się o 30 stopni.

Gdyby dzisiaj stopić lody Grenlandii i Antarktydy, to powierzchnia oceanów podniosłaby się o około 30 — 70 metrów. Niektóre rejony kontynentów znalazłyby się pod wodą. Zniknęłyby też niektóre wyspy. Wówczas obłodzenie Ziemi było znacznie większe. Nic więc dziwnego, że wody wystąpiły z brzegów, wybuchły wulkany, nastąpiła gwałtowna zmiana klimatu. Na niektóre obszary Ziemi spadł deszcz zmieszany z wulkanicznymi popiołami. Szalały huragany i burze. Wtedy to właśnie gwałtownie wyginęły na Syberii mamuty, których zwłoki odnajduje się dzisiaj w wiecznej zamarzlinie, a w ich wnętrznościach resztki pokarmu.

Planetoida A uderzyła w Ziemię w tym miejscu, gdzie znajdowała się Atlantyda. Wtedy też Prąd Zatokowy, który do tamtego czasu opływał wybrzeża Zachodniej Afryki, północnej części Ameryki Południowej, południową część Ameryki Północnej i zawracał w kierunku Atlantydy, nie spotykając nagle przeszkody popłynął dalej na północ.

„Prąd Zatokowy — stwierdziła Katarzyna Hagemeister, radziecka uczona — dopiero około dziesięciu — dwunastu tysięcy lat temu ruszył w kierunku północnego Atlantyku, docierając — jak wiadomo — aż do Murmańska. Wyspa Atlantyda musiała więc być przeszkodą, która sprawiała, że przedtem prąd zakręcał na południe. Obecnie Grenlandia pokryta jest lodem grubości ponad tysiąca sześciuset metrów, podczas gdy w Norwegii, znajdującej się na tej samej szerokości geograficznej, rosną rośliny i mieszkają ludzie. Wszystko to zawdzięcza się Pradowi Zatokowemu. Tylko więc zatopienie Atlantydy mogłoby dać przekonywające wyjaśnienie przyczyn zakończenia ostatniej epoki lodowcowej, i to w tak nagły sposób".

Profesor Michał Kamieński uważa, że wówczas spadła na Ziemię nie Planetoida A, ale część jądra komety Halleya. Obliczył on, że w jednym mniej więcej czasie — od 9050 do 11 050 przed naszą erą — miały na Ziemi miejsce następujące wydarzenia:

— Zatopienie Atlantydy,

— masowe wyginięcie mamutów,

— zmiana kierunku Prądu Zatokowego,

— pojawienie się torfu na dnie Jeziora Michigan, które powstało przed przeszło 11 tysiącami lat, a dno którego było przedtem lasem, porosłym jodłą, sosną i dębem,

— przejście komety Halleya w pobliżu Ziemi.

Mimo tych — bardzo prawdopodobnych — hipotez ciągle

nie ma odpowiedzi

na pytanie, czy Atlantyda naprawdę istniała? Przeciwnicy takiej koncepcji, którzy uważają, że Platon tylko nafantazjował, zwracają uwagę na następujące wątpliwości i pytania:

— dlaczego nigdzie nie odkryto nic, co można byłoby uważać, że pochodzi z Atlantydy,

— dlaczego — poza relacją Platona — nie zachował się żaden inny ślad pisany o tym legendarnym lądzie,

— dlaczego Ocean Atlantycki ma w rejonie, gdzie miała być Atlantyda, około 2000 metrów głębokości?

Przeciwnicy hipotezy o istnieniu Atlantydy zwracają również uwagę na minimalną wprost możliwość zderzenia się Planetoidy A czy części jądra komety Halleya z Ziemią. Nie są to jednak argumenty, które mogłyby cokolwiek wyjaśnić, ani tym bardziej ostatecznie przeważać za odrzuceniem hipotezy o istnieniu Atlantydy. Ostatnio zwraca się wiele uwagi na różne budowle, zabytki, rzeźby, które nie mogły być stworzone przez ludy, na terenie których znajdowały się, jako że ich poziom intelektualny i cywilizacyjny nie stwarzał do tego możliwości. Skąd więc one pochodzą?

Ludwik Zajdler — występując przed kamerami telewizji polskiej — komentując wiadomości nadeszłe z Lizbony o odkryciu Atlantydy, przypomniał, że po przesunięciu się biegunów zmieniło się również położenie równika. Dawny równik znajdował się dalej od rejonu, gdzie hipotetycznie była Atlantyda niż znajduje się równik obecny. Poza tym trzeba też pamiętać, że bieguny znajdują się o 21,3 km bliżej środka Ziemi niż równik. Jeśli więc na równiku występuje takie wybrzuszenie, to inna jest dziś głębokość wody Oceanu Atlantyckiego w miejscu, gdzie była Atlantyda, a zatem musi to być większa głębokość. Tak więc — to nie ziemia zapadła się tak głęboko, tylko zwiększyła się głębokość wody, gdyż napłynęło jej więcej z innych rejonów Ziemi.

Jest niewątpliwie faktem, że atlantolodzy, broniąc istnienia Atlantydy, zgromadzili więcej argumentów dla utrzymania swoich hipotez, niż ich przeciwnicy choć nie zawsze potrafią przekonywająco odpowiedzieć na wiele pytań i niejasności. Poza tym, wśród ludzi nauki panuje mniemanie, że pisanie i rozważanie o Atlantydzie jest przejawem „złego smaku", że jest to „niegodne" ludzi zajmujących się nauką, że narusza poglądy uznanych autorytetów. A mimo to zagadka Atlantydy fascynuje ludzi od wieków. I wielu naukowców nie oparło się pokusie, aby i w tej sprawie zabrać głos, wypowiedzieć publicznie swoje poglądy. Nie zawsze przeciwko platońskiej legendzie. I nie zawsze na zasadzie nieszkodliwego hobby.

Jaki jest więc sens w zajmowaniu się zagadką Atlantydy? Czy interesując się tym zagadnieniem zaspokajamy tylko wewnętrzną potrzebę na współczesne baśnie? — jak tego chcą niektórzy. Aby odpowiedzieć na te pytania warto sobie przypomnieć przypadek Heindricha Schliemanna, który jako archeolog amator, mniej więcej sto lat temu, poważnie potraktował „Iliadę" Homera i odkrył Troję, choć powszechnie uważano wówczas, że Homer Troję tylko wymyślił. Można więc powiedzieć, że Heindrich Schliemann

zmienił stosunek do legend,

ale jest to tylko część prawdy, gdyż i dzisiaj poddawanie mitów analizie naukowej uważa się za zajęcie wielce podejrzane. Mimo, że Józef Blumrich poddawszy analizie wizje Ezechiela z „Pisma świętego" opracował i opatentował koło, które może się poruszać, we wszystkich kierunkach. Mity i legendy ciągle traktuje się jako wytwór ludowej fantazji. I jeśli jeszcze z większą uwagą traktuje się mity powstałe w Europie, a szczególnie w rejonie Morza Śródziemnego, to nie przywiązuje się większej uwagi do mitów azjatyckich, afrykańskich, południowoamerykańskich. Tymczasem mity są odbiciami wydarzeń historycznych, które miały miejsce w czasach niekiedy odległych i stanowią próbę przekazu tych wydarzeń, tyle że w formie, jaka była dostępna ówczesnym ludziom, przy ich poziomie wiedzy.

Maricea Eliade w książce „Kosmos i historia" utrzymuje, że mit jest „wydarzeniem, które w zamierzchłej przeszłości miało rzeczywiste miejsce". Nie jest to więc tylko czysta fantazja, ale odbicie rzeczywistości podane w odrealnionej formie. Do niedawna na przykład uważano, że mit o potopie powstał jedynie w rejonie Tygrysu i Eufratu, gdzie rzeczywiście znaleziono ślady zalania wodą osad ludzkich. Badając jednak mity innych ludów okazało się, że przekazują one podobną opowieść. Gigantyczny potop dotknął zatem nie tylko wybrzeża Tygrysu i Eufratu. Co więcej, egipski kapłan miał powiedzieć Solonowi, że „wy naprzód pamiętacie tylko jeden potop, a przed tym było ich wiele". Powiedział on również, że „u was też mówią, że Faeton, syn Heliosa, zaprzągł raz konie do wozu ojca, a że nie umiał pędzić po tej samej drodze co ojciec, popalił wszystko na ziemi i sam zginął od pioruna." Tak głosi mit, a „prawdą jest — ciągnął egipski kapłan — zbaczanie ciał, biegnących około Ziemi i po niebie". Czy w tym micie jest ślad jakiejś katastrofy, która wydarzyła się w Układzie Słonecznym? Niektórzy skłonni są tak uważać.

Zebranie wielu mitów z różnych części świata, pokazało też, że legenda o wizycie boga, który zszedł z nieba i przebywał wśród ludzi wcale nie odpowiada tylko mitom Bliskiego Wschodu. Takie mity można spotkać w Afryce, Azji, Ameryce. Dawnymi mitami coraz częściej zaczynają interesować się ludzie, którzy nie są w swoich systemach myślenia uzależnieni od uznanych autorytetów, nie muszą swoich hipotez wywodzić z przyjętych raz teorii, których nie wypada podważać.

Nauka nie potrafi jeszcze wystarczająco wytłumaczyć wielu wydarzeń z naszej historii. Ciągle zagadką są nagle upadające cywilizacje. Powstają na ten temat różne hipotezy, ale nie zawsze do końca przekonywające. Ciągle szuka się wyjaśnienia wzajemnych związków różnych kultur i cywilizacji, które rozwinęły się w różnych rejonach naszego globu w czasach, kiedy nie było masowych, ani nawet sporadycznych kontaktów. Próby przepływania mórz i oceanów tratwami i łodziami z papirusu dowodzą jedynie, że było to możliwe, ale nie dowodzą, że było to masowe. A trudno sobie wyobrazić wzajemne wpływy cywilizacji z różnych kontynentów bez w miarę stałych kontaktów. Udowodnienie hipotezy o istnieniu Atlantydy wiele by w tej sprawie wyjaśniło. Nie udowodni się jej jednak, jeśli nie będzie nieustannie szukało coraz to nowych i doskonalszych argumentów. A przecież nie jest to tylko jedyna zagadka z naszej przeszłości.

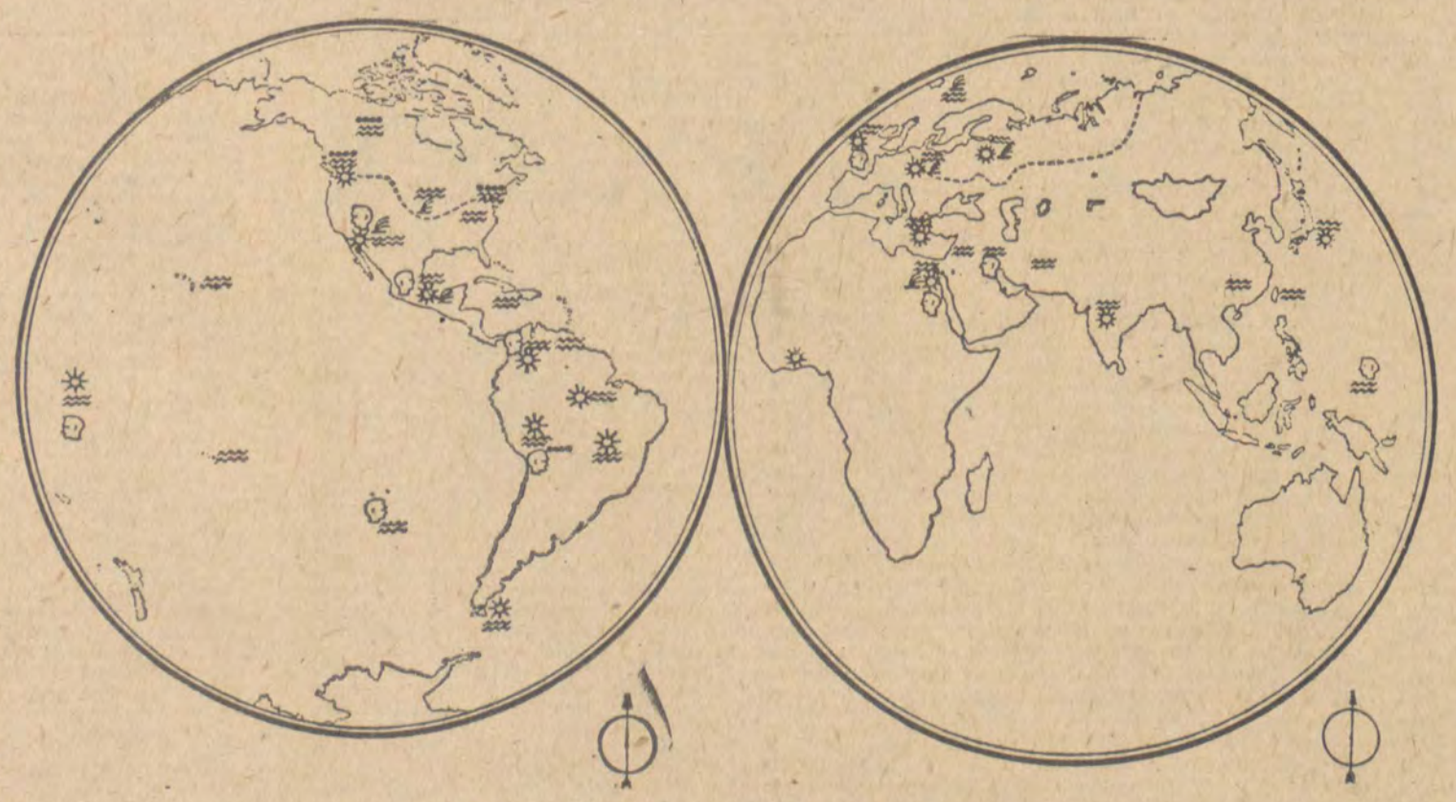

Występowanie mitów o potopie i katastrofie kosmicznej.

ZBIGNIEW S. NOWAK

DOKTOR CZWARTEGO WYMIARU

Dalszy ciąg ze str. 1

Wreszcie wybuchła awantura. Za Bogu ducha winnego Doktora wzięły się ostro władze, zwłaszcza mocno dociekliwy Wydział Finansowy. Z najwyższym trudem udało mu się wtedy wybrnąć jakoś z tej całej afery.

Od tamtego czasu jest bardzo ostrożny. Nie chce niepotrzebnego rozgłosu, nowej awantury. Porozmawiać może, owszem, nawet co pokazać, ale nic więcej. Ostatecznie może to być nawet i wywiad, ale tylko anonimowo, bez ujawniania nazwiska, jedynie pod tym warunkiem.

* * *

Jesteśmy na miejscu. Brat wystąpi w roli fotoreportera. Jeszcze tylko parę metrów grządką ścieżką przez łąkę, potem szeroki łuk obok brzozowego zagajnika na górce i już domek Doktora. Nieduży, pod czerwona dachówką zwyczajny. Naokoło wysoki płot, furtka zamknięta. Ale jest dzwonek. Naciskam guzik, raz, drugi, trzeci. Nic, cisza. Próbuję jeszcze raz. To samo. Chyba spóźniliśmy się za bardzo...

— Proszę... — cichy głos za plecami.

Gwałtownie robimy w tył zwrot! Rumiany staruszek uśmiecha się dobrotliwie. Dwa olbrzymie brytany obok poglądają spode łba. Brr...

— Proszę, proszę, witam gości.

Furtka nagle otwiera się sama, bezszelestnie...

* * *

Tego się nie spodziewałem. Ten pokój wcale nie przypomina pracowni żadnego średniowiecznego astrologa, alchemika, czy też innego maga. Już raczej domowy gabinet jakiegoś zupełnie współczesnego naukowca.

Przede wszystkim książki, dużo książek. Dwie duże ściany całe zastawione regałami. Książki bardzo stare, parę nawet w skórzanych i drewnianych jeszcze okładkach, zapinanych na mosiężne, ozdobne zatrzaski. Książki zupełnie nowe. W kilkunastu językach, nawet chyba po arabsku. Teologia, religioznawstwo, filozofia, psychologia, medycyna, fizyka, botanika, mineralogia. Zgodnie z wykształceniem i zainteresowaniami Doktora.

Jedna ściana samych obrazów w oleju. Kwiaty, pejzaże, martwa natura. Stara, dobra szkoła. To oczywiście dzieła Doktora. Malarstwo to jeszcze jedna jego pasja. Maluje znakomicie. Uczył się u Trębacza, jednego z wychowanków samego Matejki.

W gabinecie jest jeszcze ogromne, staroświeckie biurko, z telefonem i maszyną do pisania. Poza tym zupełnie nowa ława-jamnik z czterema fotelikami, kwietnik w rogu przy oknie, obok klatka z kanarkiem. Wzorzyste zasłony w oknach. To wszystko. Jeszcze tylko nowoczesny aneroid.

Tak wygląda gabinet tego niezwykłego człowieka, którego jedni mają za czarodzieja i cudotwórcę, drudzy za zwyczajnego szarlatana i oszusta, a jeszcze inni zupełnie nie mają pojęcia, co o nim sądzić. Ja też, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, kim właściwie jest Doktor, choć znam tyle przeróżnych o nim opowieści...

Siedzimy w wygodnych fotelikach przy ławie-jamniku, sączymy „Maxime'a" pod aromatyczną brazylijkę, gawędzimy o wszystkim i o niczym, omijając skrzętnie temat który tu mnie sprowadził. Ale to tylko pozory, to wstęp do właściwej rozmowy, przed którą, przyznaję, mam cholerną tremę.

Andrzej rozbebesza lampę błyskową, która nieoczekiwanie „zacięła się", a ja na gorąco przygotowuję pytania do tego niezwykłego dla mnie wywiadu. To najważniejsze zapisuję na końcu. Kim pan właściwie jest, doktorze? A co na początek?

— Na początek, jeśli pan doktor pozwoli, może nieco biografii...

* * *

Życiorys Doktora jest tak bogaty, że starczyłoby materiału na kilka sensacyjnych książek. Wąskie ramy reportażu nie pozwalają jednak pomieścić całej tej obfitości szczegółów. A więc tylko pokrótce...

Szaraczkowy syn z biednej Lubelszczyzny miał tylko jedną drogę kariery — Kościół. Najpierw więc gimnazjum we Lwowie, u O.O. Franciszkanów. Potem Kraków — studia teologiczne, historia sztuki, doktorat z filozofii. Uśmiech losu w osobie rektora UJ umożliwił Doktorowi wyjazd na studia za granicę. Rzym, Genua, Sorbona, Getynga, Norymberga, Liege, Lozanna. Do teologii doszły nauki przyrodnicze, medycyna, ziołolecznictwo. Przy tym znajomość kilkunastu języków obcych. W Szwajcarii zatrzymała Doktora pierwsza wojna światowa.

Po wojnie szybki powrót do wolnej Polski, do Krakowa. Kilkanaście lat pracy w UJ. Sukcesy w ziołolecznictwie. Początki zainteresowań parapsychologią. Bardzo modny był wtedy Ochorowicz, autor „Wiedzy tajemnej w Egipcie". Potem Krauze, Friedmann i inni. Doktor znał wszystkich, utrzymywał z nimi ożywione kontakty, wymieniał doświadczenia uczył się...

Na początku lat trzydziestych kolejny dłuższy wyjazd za granicę, do USA. Kilka lat pracy w ośrodkach polonijnych. I znów wojna na obczyźnie. Wreszcie powrót do kraju, do Krakowa.

W kraju nowa, zupełnie inna sytuacja polityczna, społeczna. Niespodziewana odmiana losu, niesprzyjające układy, bieda, tułaczka. Dopiero po pewnym czasie własna skromna parafia w rodzinnych stronach na Lubelszczyźnie. Względny spokój, mała stabilizacja. Duszpasterstwo i ziołolecznictwo. Ale i nawrót do parapsychologii, niezbyt mile wtedy widzianej. Więc znów kłopoty. Jednakże i łut szczęścia. Pomoc z niespodziewanej strony.

Miejscowy sekretarz otoczył troskliwą opieką proboszcza, który nie tylko umiał znaleźć wodny zdrój za pomocą różdżki, ale też znał się na melioracji, nowoczesnej uprawie roli, hodowli, pszczelarstwie, leśnictwie, leczył chorych wieśniaków i nie raz ratował od pomoru chłopską chudobę, a do tego i na gminnych zebraniach potrafił zabrać głos zgoła nie po księżowsku. Tacy fachowcy od wszystkiego byli wówczas na wagę złota. Szybko więc przestała razić ludzi ta osobliwa partyjno-księżowska symbioza przynosząca przecie ludziom wiele pożytku.

Ale to trwało krótko. Czasy były wtedy jeszcze niespokojne. Sekretarza zamordowali „leśni" z bandy Turonia... A proboszcz zaczął dostawać anonimy z pogróżkami, za zbyt jawną sympatię do władzy ludowej. Ludzie też nagle odwrócili się od niego. Aż którejś nocy ktoś podpalił plebanię. Doktor musiał szukać innego miejsca.

Wtedy podjął znamienną decyzję. Porzucił księże szaty. Wyjechał do Warszawy. Tam podjął „cywilną" pracę, w pewnej instytucji rolnej. Był dobrym, cenionym fachowcem. Jego szczególne zainteresowania i dziwne praktyki jakoś nikomu nie wadziły. Przeciwnie, często je wykorzystywano. Poważne przedsiębiorstwa np. nie raz korzystały z jego pomocy przy badaniu gruntu pod nowe budowy, przy wyszukiwaniu żył wodnych. Nie liczyła się otaczająca go szczególna sława, ważne były efekty jego pracy. A kiedy uleczył pewnego dygnitarza, który po wypadku samochodowym utracił władzę w nogach, wówczas i wysokie instancje spojrzały przychylniej na jego osobliwe praktyki.

To go omal nie zgubiło! Po porwaniu młodego Piaseckiego, gdy poszukiwania milicyjne nie dawały żadnych rezultatów, zwrócono się po pomoc do Doktora, znanego już powszechnie jako jasnowidza. Trafnie odgadł, że Andrzeja Piaseckiego zamordowano. Określił też miejsce ukrycia zwłok. Kilka dni później nieznani sprawcy próbowali dokonać zamachu na życie Doktora, który zbyt dużo wiedział. Uratował go przypadkowo sąsiad, powracający akurat z pracy, funkcjonariusz UB. Doktor musiał wyjechać z Warszawy.

Zaszył się daleko, aż w Suwałkach, na kilka lat. Nie zaprzestał jednak swoich szczególnych praktyk, zwłaszcza ziołolecznictwa. Odnosił sukcesy w wielu przypadkach, gdy klasyczna medycyna była bezradna. Ale sława cudotwórcy znów przysporzyła mu kłopotów. Władze nie chciały uznać jego zagranicznych dyplomów lekarskich; interesowały się jedynie jego rzekomo ogromnymi, nielegalnymi dochodami z „praktyk znachorskich". I tak autentyczny lekarz, doktor nauk medycznych, znakomity homeopata i zielarz, został okrzyknięty szarlatanem i oszustem! Stało się to, o dziwo, właśnie na dalekiej prowincji, choć wcześniej stolica nobilitowała Doktora. Musiał wynieść się z Suwałk.

Dzięki pomocy i protekcji warszawskich dygnitarzy jakoś wyplątał się z tej afery. Znalazł dla siebie spokojny kąt na drugim krańcu Polski, pod Wrocławiem. Ale przecie i tam nie wyrzekł się niesienia pomocy chorym, od których odwrócili się już lekarze. Nie zaprzestał też kontrowersyjnych praktyk parapsychologicznych.

To było i dobrze, i źle! Kiedy pomógł śląskiej milicji w ujęciu groźnego bandyty, wielokrotnego mordercy, sam prokurator wojewódzki osobiście złożył mu podziękowanie. Ale gdy wyleczył znanego wrocławskiego artystę-malarza z rzekomego raka wątroby, miejscowi lekarze, skompromitowani swoją błędną diagnozą i terapią, zaczęli szykanować Doktora, urządzili nagonkę. Do władz poszły anonimowe donosy, oskarżające go o „czerpanie zysków z cudzego nieszczęścia", itp.,itd. Znów więc musiał zmienić miejsce zamieszkania.

I tak przez wiele długich lat! Nigdzie nie zagrzał miejsca dłużej nigdzie na stałe się nie zadomowił. Ciągłe wędrówki, wieczne przeprowadzki. Trochę spokoju i znów mnóstwo kłopotów. Raz na wozie, raz pod wozem. Dopiero niedawno przeniósł się tu, pod Warszawę, gdzie zamierza pozostać już do końca.

Dziś ma 92 lata, mały domek i nareszcie względny spokój. Wycofał się z działalności zawodowej. Tylko czasem pomaga w szczególnie trudnych przypadkach. Nie tak dawno temu na przykład, na prośbę wysokiego urzędnika ministerstwa, szukał żył wodnych na terenie budowy wielkiego kombinatu przemysłowego. I jakoś nikogo z budowniczych to nie dziwiło. Jak ocenili fachowcy, dzięki jego różdżkarskiej pomocy zaoszczędzono sporo cennego czasu i wiele niemałych kosztów. Za tę pracę otrzymał formalne, bardzo wysokie wynagrodzenie. Niekiedy proszą go o pomoc przyjaciele z Komendy Głównej, którzy traktują go z całkowitą powagą i należnym szacunkiem, właśnie za jego niezwykłe osiągnięcia.

Doktor ma wielu przyjaciół w świecie sztuki, nauki. Bardzo cenił sobie np. znajomość z wielkim Xaverym Dunikowskim. Wielką sympatią darzy największego polskiego iluzjonistę Władysława Kieresa. Jego znajomi to także m. in. prof. Manczarski, Cebertowicz, Szulcowa, Cwynar. Ogromnie ceni tych uczonych, jako dociekliwych badaczy zjawisk wciąż jeszcze niepoznanych do końca, którymi sam się zajmował.

Doktor ma także wielu znajomych wśród zagranicznych sław naukowych, w ZSRR, USA i całej Europie Zachodniej. Przed kilku laty na Międzynarodowym Kongresie Badań Psychotronicznych w Monte Carlo był serdecznie witany przez uczestników zjazdu. A dopiero parę tygodni temu wrócił z Moskwy, gdzie przebywał na zaproszenie jednego z najwięk szych radzieckich psychologów.

Dziś tzw. parapsychologia to temat poważny, którym zajmują się wybitni uczeni na całym świecie. Doktor wierzy głęboko, że dla badaczy „zjawisk nadprzyrodzonych" przyszłość okaże się znacznie łaskawsza, niż przeszłość znaczona nader często „polowaniami na czarownice". Bo czasy auta-fé i płonących stosów minęły już bezpowrotnie...

* * *

Wracamy z pleneru, gdzie Doktor pokazywał, jak się pracuje z różdżką i wahadełkiem. Dla mnie to była niesłychana frajda, bo coś takiego widziałem po raz pierwszy. Widziałem i co z tego? Nadal nic nie pojmuję. Czarna magia!

Znów siadamy w gabinecie. Doktor wychodzi zaparzyć świeżą kawę, a ja gorączkowo porządkuję notatki. Co tu wybrać? Przecież nie ma sensu opisywać szczegółowo znanych dość powszechnie zjawisk telepatii, jasnowidztwa, radiestezji, czy też rozpisywać się na temat nawet cieszącego się dziś dużym zainteresowaniem ziołolecznictwa. Więc co?

W porę przypominam sobie, że miałem przeprowadzić kilka eksperymentów. A Doktor właśnie powraca ze świeżą porcją brazylijki. Patrzy z lekkim rozbawieniem na akcesoria, które właśnie wyjmuję z torby.

— Sztuczki, co? — powtarza Doktor. — Jeśli o to idzie, to każdy iluzjonista może pokazać panu znacznie więcej ode mnie.

— Ale to nie to samo — oponuję.

Zgadza się na eksperyment z zamkniętymi kopertami. W każdej z nich znajduje się kartka z wyrysowaną figurą. Jego zadaniem jest odgadnąć kształty figur. Koperty już rozłożone na stoliku, wszystkie jednakowe. Ja sam nie wiem, gdzie co jest. A on?

Doktor bierze do ręki flamaster. Na każdej kopercie kreśli zarys figury, która powinna znajdować się wewnątrz. Trójkąt, romb, kwadrat z przekątnymi, elipsa, spirala i gwiazda. Otwieramy koperty. Absolutna zgodność! Jestem oszołomiony, aż rozlewam kawę na spodnie. A przecież to podobno nic szczególnego; Kaługina z Leningradu czy Doerfer z Monachium też posiadają podobne umiejętności.

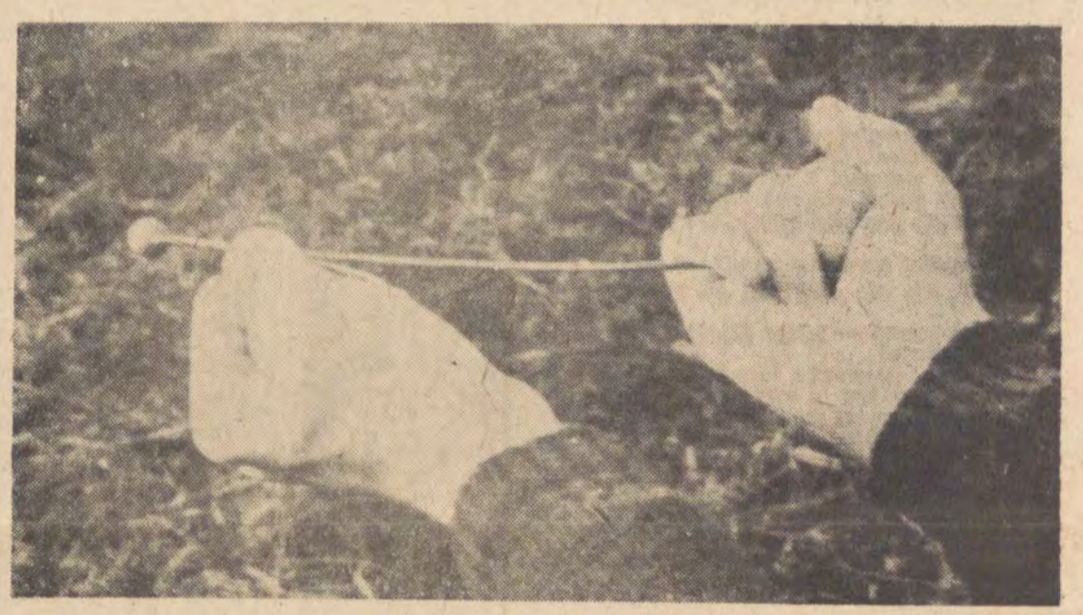

Doktor wyjmuje z biurka talię kart, każe mi potasować.

Trwa to chwilę. Następnie poleca:

— Niech pan pomyśli jakieś dwie karty.

— Dowolne?

Wybieram waleta treflowego i asa kier. Mówię, że już i czekam, co dalej?

— Niech pan wybierze w ciemno z talii dwie dowolne karty i odwróci figurami do góry.

Wybieram dwie karty i kładę na stoliku. Oczy mi stają w słup! Walet treflowy i as kier! Jak to możliwe? Przecież on nawet nie dotykał kart...

Muszę mieć mocno niewyraźną minę, bo Doktor przygląda mi się bardzo uważnie. Pyta, czy jeszcze chcę zobaczyć jakąś sztuczkę? Nie chcę! Ale mój brat wyskakuje nagle z inną propozycją. Zaczyna o telekinezie, o Uri Gellerze. Może by coś z tego?

Doktor duma przez chwilę. Potem bierze butelkę „Maxime'a", rozlewa resztę koniaku.

— Wypijemy strzemiennego, a potem spróbuję może coś pokazać...

Przyjmujemy to jako dyskretny znak do zakończenia wizyty. Zbieram notatki, Andrzej składa „Kodaka". Doktor powstrzymuje go jednak:

— Jeszcze może się przydać...

Wysączamy koniak. Dopijamy kawę. Na pożegnanie znów rozmowa o wszystkim i o niczym. Już nie na temat. Ale to pozory. Czekamy na ostatni punkt programu. Wreszcie...

Doktor zdejmuje wszystko ze stolika. Na pustym, gładkim blacie stawia opróżnioną butelkę. Chwila skupienia, potem przymrużą oczy, wyciąga rękę. Już prawie dotyka dłonią zielonej, szklanej szyjki...

Wytrzeszczam oczy! Bo oto dzieje się coś zupełnie niepojętego! Butelka zaczyna drgać, kołysać się lekko. Potem nagle... odchyla się od wyprężonej dłoni i chwiejnie, ale pewnie staje na ukos, na krawędzi dna! Tak zatrzymuje się w bezruchu, jakby zupełnie wolna od powszechnego ciążenia wyjęta spod prawa grawitacji...

Znam podobną sztuczkę. Trzeba tylko położyć na stole szorstką serwetę, podłożyć pod spód zapałkę, a wtedy można ustawić butelkę na ukos, podpierając ją właśnie ukrytą pod obrusem zapałką. Ale przecież tutaj nie ma żadnej serwety, zapałki! Tylko gładki blat stolika i na nim pochylona niezwykle zwyczajna butelka. Co jest?!

Andrzej, inżynier racjonalista, prędzej wraca do przytomności. Nastawia aparat. Błysk fleszа i trzask migawki sprowadza i mnie na ziemię. Doktor cofa rękę, butelka powraca do normalnej pozycji, zgodnej z prawami natury...

Foto: A. Nowak

kłopot inspektora Suszko

ZOFIA LORENTZ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Inspektor Suszko był człowiekiem młodym i chyba dlatego jeszcze nie zrutynizowanym. Każdą sprawę traktował jak własną, czym zasłużył sobie na ironiczne uśmieszki kolegów: ale się stara! — mówili między sobą. W tym nie odbiegali od prawdy; inspektor Suszko istotnie się starał. Tylko nie miał na celu tego, o co go posądzali, to jest awansu. Chciał być sprawiedliwy w osądach zawiłych spraw tego świata i w miarę możności pomagać ludziom, których zły los postawił w sytuacjach — jak to określał po sportowemu — podbramkowych.

Tego dnia od rana mżył deszcz i Suszko, wrażliwy na zmiany pogody, nie był w zwykłym, pogodnym nastroju. Nawet rad był, że do godziny dziesiątej nie wpłynęła żadna nowa sprawa, że poprzedniego dnia odrobił wszystkie administracyjne zaległości i mógł sobie dziś pozwolić na małą drzemkę w godzinach pracy.

Obudziło go głośne pukanie i do gabinetu wszedł sierżant Orzeszko, prowadząc za rączkę chłopczyka lat może trzech, najwyżej czterech.

— Co jest, sierżancie? — zapytał ze zdziwieniem.

— Melduję obywatelu inspektorze, że znalazłem tego dzieciaka na ulicy bez żadnej opieki.

— Płaczącego?

— Nie. Był zupełnie spokojny. Musiał długo chodzić po ulicach, bo płaszczyk ma całkiem przemoczony. Rozpytywałem go, ale nie pamięta, jak się nazywa i gdzie mieszka.

— Zdejmijcie no mu od razu ten mokry płaszczyk, sierżancie.

— Tak jest, obywatelu inspektorze.

— Dlaczego mnie pan rozbiera? — zaprotestował malec.

— Bo zmokłeś, chłopcze i możesz się zaziębić. A jak ty się nazywasz? — spytał inspektor.

— Jurek.

— Ślicznie. A dalej? Jurek jaki?

— Tatusiowy.

— Masz ci los! A jak się nazywa twoja ulica?

— Żoliborz.

— A z kim wyszedłeś na miasto?

— Sam wyszedłem. Gosposia się zagapiła, a wtedy ja... po cichutku, i sobie wyszedłem.

— A po co? Dokąd chciałeś pójść?

— Ja chciałem poszukać tatusia. Bo jego nie ma i nie ma.

— A nie mogłeś zapytać mamusi?

— Mogłem, ale nie chciałem, bo ona kłamie.

— Coś podobnego! — jęknął Suszko. — Słyszeliście, sierżancie?

— Faktycznie, obywatelu inspektorze.

— Ciekawe, kim jest ta mamusia — Suszko rzucił to pytanie raczej do sierżanta, nie spodziewając się odpowiedzi od chłopca, tymczasem ten odrzekł z tym samym wciąż spokojem:

— Adwokatem jest moja mamusia.

— Ho! ho! — zdziwił się inspektor.

— Wcale nie hoho. Tata powiedział, że to żadna sztuka. Jak ktoś musi kręcić, to już mu tak zostaje.

Inspektor Suszko nie miał dotychczas służbowo do czynienia z tak małymi dziećmi, toteż osłupiał wprost, słysząc wyjaśnienie malca. Zapanowała chwila ciszy. Inspektor zastanawiał się, co zrobić z „doprowadzonym", gdy ten oświadczył nieoczekiwanie:

— Chciałbym siusiu.

— Sierżancie, zaprowadźcie go...

— Zaprowadzić mogę, ale najlepiej będzie zadzwonić po porucznik Siedlecką. Zawsze kobieta...

Gdy wezwana porucznik Siedlecka stawiła się, inspektor biedził się nad sformułowaniem komunikatu dla telewizji.

Bieżący tok napływających do komisariatu spraw pozwolił mu wkrótce zapomnieć o chłopcu. Było już po 12.00, gdy zadzwonił telefon.

— Tu mówi ojciec dziecka.

— Jakiego dziecka? — inspektor zdziwił się w pierwszej chwili.

— Telewizja ogłasza...

— Aha, już wiem. Chodzi o małego Jurka. Jak się pan nazywa?

— Cichocki

— Adres?

— Żórawia 3.

— To nie mieszka pan na Żoliborzu?

— Nie.

— Coś tu nie gra. Chłopiec mówi, że mieszka na Żoliborzu.

— Bo tak jest.

— A pan mówi, że jest ojcem. No, zobaczymy. Niech pan przyjeżdża.

— Będę za pół godziny.

Inspektor zajął się czymś innym, gdy znowu odezwał się telefon. Tym razem kobiecy głos, w którym odczuł irytację.

— Tu mówi matka odnalezionego dziecka. Będę za pół godziny.

— Niech się pani nie fatyguje, bo przed pół godziną zgłosił się już ojciec Jurka. Powinien tu być za chwilę.

— Niech mu pan, broń Boże, dziecka nie wydaje. Pod żadnym pozorem i cokolwiek by mówił.

Zaskoczony inspektor poskrobał się po głowie, ale zanim znalazł odpowiedź, rozmówczyni odłożyła słuchawkę.

Masz babo placek — westchnął. A właśnie wchodziła porucznik Siedlecka.

— Jaki kłopot, inspektorze?

Suszko zrelacjonował treść obydwu telefonów, kończąc pytaniem:

— No, i co o tym myślicie, poruczniku?

— Zupełnie proste: rodzice tego malca są najpewniej w trakcie rozwodu, albo już po, z tym, że dziecko sąd przyznał matce, a ojciec zamieszkał osobno.

— Aha, na tych sprawach to ja się nie znam, ale oddałbym dziecko raczej ojcu.

— Nie znając sprawy?

— Nawet. A wiecie dlaczego? Po pierwsze — bo mały musi go bardzo kochać, skoro zdecydował się wyruszyć na samodzielne poszukiwanie go, a po drugie: bo w głosie matki wyczułem tylko irytację.

— Czy zawsze kierujecie się wyczuciem?

— No, nie, ale w tym wypadku... Co powiecie, sierżancie?

— Zgłosił się jakiś pan i powiada, że przyszedł po tego dzieciaka.

— Dawajcie go.

Wszedł mężczyzna w wieku lat niewiele ponad trzydzieści, mocno zadyszany i w widoczny sposób wzruszony. Musiał biec po schodach kłusem.

— Czy nie jest ranny albo potłuczony?

— Nic mu nie jest. Nie było żadnego wypadku. Po prostu zabłądził.

— Zgubił matkę czy też gosposię?

— Nie. Mówi, że wyszedł z domu niepostrzeżenie, szukać ojca, który go opuścił.

— Och, panie inspektorze, gdyby pan wiedział... — Ojciec Jurka nie dokończył, gdyż w drzwiach stanął znów ten sam sierżant i powiedział:

— Zgłosiła się pani mecenas Cichocka i mówi, że przyszła po dziecko.

— Niech wejdzie.

No i weszła: osoba młoda, modnie ubrana i uczesana, z teczką wypchaną papierami, ani przejęta, ani wzruszona. Podobnie musiała wchodzić na salę sądową. Powiedziała:

— Przyszłam podziękować panu inspektorowi za opiekę nad moim nierozsądnym dzieckiem, no, od razu uwolnić pana od tej opieki.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Chłopiec wydał mi się bardzo interesujący. Ale kto z państwa podpisze mi protokół odbioru chłopca?

— Jak to? — Pani mecenas teraz dopiero spostrzegła męża, stojącego z boku.

— A co ty tu robisz? — spytała ostro.

— Usłyszałem komunikat nadawany przez telewizję...

— I pospieszyłeś z pomocą? Dziękuję, ale mi ona niepotrzebna.

— Sierżancie, przyprowadźcie dziecko — przerwał jej dość ostro inspektor.

— Może ja to zrobię — wtrąciła się porucznik Siedlecka.

— Doskonale. To będzie lepiej. I nie mówcie mu nic o rodzicach.

W gabinecie inspektora zapanowała cisza. Pani mecenas zapaliła papierosa i siadła po drugiej stronie biurka. Mąż jej stał nadal z boku. Był blady i gryzł nerwowo wargi. Po chwili wróciła porucznik Siedlecka, prowadząc za rączkę malca. Już zza drzwi słychać było jego pytanie: — Gdzie my idziemy?

Biurko stało na wprost drzwi bocznych i Jurek zobaczył najpierw matkę. Cofnął się gwałtownie i usiłował schować się za Siedlecką. Przy tej okazji odwrócił się, ujrzał ojca i... rzucił się do niego z okrzykiem radości: tata, mój tata!

Inspektor spojrzał bezradnie na Siedlecką, ale ona udała, że tego nie widzi. Tymczasem matka dziecka zerwała się z krzesła, podbiegła do męża i powiedziała głosem więcej niż stanowczym:

— Oddaj mi go w tej chwili.

A gdy ojciec chłopca na to zareagował tym mocniejszym przytuleniem go do siebie, zwróciła się do inspektora tonem może mniej imperatywnym, ale nadal ostrym:

— Panie inspektorze, winna panu jestem wyjaśnienie sytuacji, sprawa o rozwód wniesiona przeze mnie jest w toku. Chłopiec ma zaledwie cztery lata i choćby z tego względu sąd przyzna go matce, to jest mnie. Sama jestem adwokatem i znam przepisy i...

— Chyba, że mąż udowodni złe prowadzenie się żony lub alkoholizm — wtrąciła się niespodziewanie Siedlecka.

Pani mecenas zaniemówiła.

— Kto pani jest? — spytała jednak już po krótkiej chwili.

— Porucznik Siedlecka jest moim zastępcą — inspektor pospieszył z natychmiastowym wyjaśnieniem — i ma pełne prawo do uzupełnienia wypowiedzi pani mecenas.

— Niech i tak będzie. W każdym razie stwierdziłam, że zastępca pana inspektora dobrze zna arkana prawa rodzicielskiego.

— Mamo — zawołał w tej chwili malec — zabierzmy tatusia i chodźmy do domu.

— Nie, syneczku, tatuś już z nami nie mieszka i tylko ty wrócisz z mamą do domu.

— A ja nie chcę. Ja chcę z tatusiem — rozżalony głosik dziecka nabrzmiał łzami.

— Co ty chcesz, to nieważne — oświadczyła matka, a zwracając się do męża, powiedziała: „Proszę mi go oddać".

Kolejna scena mogła wzruszyć każdego, ale nie panią mecenas: chłopiec nie dał się oderwać od szyi ojca, której trzymał się kurczowo obydwiema rączkami, mimo że ten nie zrobił żadnego ruchu, aby go zatrzymać. Dokonała tego Siedlecka i, tuląc rozpłakanego malca w ramionach, wyniosła go z gabinetu, kierując się ku wyjściu. Pani mecenas pobiegła za nimi nie uważając nawet za stosowne pożegnać inspektora. W gabinecie został tylko ojciec dziecka.

— Panie inspektorze — zapytał po dłuższej chwili zdławionym głosem — czy naprawdę sąd jej odda dziecko?

— Nie znam pańskiej sprawy i nie jestem sędzią, więc moje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia. Wiem tylko jednak, że musiałby pan mieć bardzo mocne argumenty i wiarygodnych świadków, aby sprawę o dziecko wygrać. Ale niech pan próbuje. Dziecko jest po pańskiej stronie.

To ostatnie zdanie musiało być krzepiące, gdyż twarz zmaltretowanego ojca rozświetlił uśmiech.

— Dziękuję, panie inspektorze, bardzo dziękuję — powiedział jeszcze i wyszedł, a Suszko nie miał dobrego rozeznania, czy podziękowanie dotyczyło ostatniego stwierdzenia, że dziecko jest po stronie ojca, czy samego faktu zajęcia się sprawą zabłąkanego malca.

Tymczasem wróciła Siedlecka, wyraźnie zirytowana. Sięgnęła po paczkę papierosów, leżącą na biurku, i powiedziała:

— Ciemięga!

Inspektor przyjrzał się jej uważnie i pomyślał z żalem, że znów nie ma dobrego rozeznania...

W jakiś czas później Suszko przyszedł do komisariatu o całą godzinę wcześniej, niż zaczynało się urzędowanie, bo w tym właśnie czasie miał mieć bardzo ważny telefon służbowy z Krakowa. Zastał swój gabinet nie sprzątnięty, a leżące na podłodze szmaty i puszka z pastą świadczyły, iż rzecz jest w toku, sprzątaczka Marcinkowa wyszła zaś tylko na chwilę. Ledwo zdjął płaszcz, wpadła wielce zaaferowana.

— O jejku, panie inspektorze, chyba pana budzik się zmanierował — wykrzyknęła.

— Budzik w porządku, pani Marcinkowo, miał być do mnie telefon o tej porze.

— Ale jeszcze nie był?

— Ano, jeszcze nie był.

— To jak będzie?

— Z czym?

— No, z pastowaniem podłogi?

— Proszę bardzo, niech pani Marcinkowa pastuje. Ja nawet lubię zapach pasty.

— Ee, panie inspektorze, taka to i pasta. Dawniej dodawali terpentyny i to był dopiero zapach.

— Wczoraj nie było pani w pracy. Jakieś rodzinne sprawy?

— Zwolniłam się, bo musiałam stawać w sądzie. Za świadka.

— Ho, ho, ho, to nie byle co.

— E, tam! nacięłam się.

— Jak to?

— To już wszystko powiem panu inspektorowi, bo choć pan młody, to nie żaden filut. Będzie ze dwa lata, jak byłam za pomoc domową u jednych państwa, co się nie tak dawno ożenili i mieli jedno dziecko. Pan strasznie tego chłopaka kochał i zajmował się nim od początku więcej, aniżli matka. Tej matce co innego było w głowie. On ją do dziecka naganiał, a ona o nie mało co dbała. No to pan zrobił się bardzo nerwowy. Nie raz dochodziło do wielkiej kłótni. Obrażali jedno drugie nie raz do późna w noc. Mnie się takie rzeczy nie podobają, to chociaż tego chłopysia polubiłam, bo strasznie był przylepny, podziękowałam za służbę. Pan koniecznie mnie chciał zatrzymać. Lamentował, że niby z powodu dziecka. Lubiłam go, bo życzliwy był ludziom i nie wywyższał się nad innych, ale pani była wredna, niesprawiedliwa i o sobie tylko myśląca. Mnie też nieraz potrafiła obrazić. Nie chciałam z nią być i poszłam. Niech się pan inspektor odsunie z krzesłem, bo i to miejsce muszę zapastować.

— No, no, i co było dalej? Jaki to wszystko ma związek z sądem?

— A ma, bo nie minął rok, jak mnie pani tu odszukała.

— Chciała, żeby pani do niej wróciła?

— A skąd! „pani Marcinkowa, mówi, musi pani stanąć w sądzie jako świadek. Bo ja się — mówi — rozwodzę z mężem i w sądzie będzie sprawa o rozwód". Wylękłam się, bo nigdy w sądzie nie stawałam i nie wiedziałam, jak to jest. Ale ona mi mówi, że nie ma się czego bać, bo sędzia tylko zapyta, jak się kto nazywa, gdzie mieszka i ile ma lat, a także, czy nie był sądownie karany. A później jeszcze zapyta, co widziałam, będąc na służbie. To miałam powiedzieć, że pan był mocno nerwowy, że się wciąż z panią kłócił, a nawet ją bił.

— Bił? — zdumiał się Suszko.

— Pan inspektor się zdziwił, a ja też niemało, bo to przecie była nie żadna biedota, ale pani adwokat...

— Zaraz, zaraz, a jak się ci państwo nazywają?

— A Cichoccy. Pan jest za architekta, czy jakoś tak. I dalej mi mówi ta pani: „pani Marcinkowa nie pożałuje, bo ja rzecz opłacę". Jakże to pytam? A ona otwiera torebkę i wyjmuje tysiąc złotych, i mi daje, i mówi: „to zadatek, a jak pani dobrze powie, to będzie jeszcze i drugi". To ja się okropnie zadziwiłam, ale sobie myślę: dwa tysiące złotych, jak rentę mam małą — to nie bele co, i co mi szkodzi. A nie pomyślałam wtedy, że może krzywdę zrobię temu dziecku albo panu. A jak wróciłam do domu, to już tam zastałam powiastkę, żeby na drugi dzień do tego sądu iść. To nawet nie miałam kiedy dobrze się rozmyślić. No, bo ten sąd już miał być.

— I był?

— A był, był. Tylko ze mną inaczej wyszło.

— Jak to?

— Z początku, jak mnie wezwali na salę, tak było, jak mi ta pani mówiła: „nazwisko? to mówię Marcinkowa, imię? Agata. Lat? Sześćdziesiąt. A potem: „czy świadek wie, że w sądzie trzeba mówić prawdę i tylko prawdę?" — Niby tak — odpowiedziałam, ale już mi licho. „To proszę nam opowiedzieć, jak to było z tym biciem". Z jakim biciem się pytam, ale już wiem, o co chodzi. A sędzia mówi: „podobno pani widziała, i to nie raz, jak mąż tej pani ją bił". No, widziałam — mówię. A tu wstaje z boku stołu siedzący mężczyzna w czarnej sutannie i powiada: „strona obrony prosi Wysokiego Sądu o zaprzysiężenie świadka Agaty Marcinkowej". Jak to usłyszałam, to mnie zimny pot oblał. A sędzia powiada do mnie: „czy świadek potwierdzi pod przysięgą, że obecny tu oskarżony bił swoją żonę?" Przestraszyłam się, że mi może na krzyż przysięgać każą, i mówię — nie. „To dziękuję — na to ten sędzia — świadek jest wolna".

— To dopiero! I co było dalej?

— A nic. Tyle, że jak wychodziłam, to spojrzałam na pana. Niby tego męża pani adwokat A on się do mnie tak pięknie uśmiechnął, żem się rozpłakała. Dobrze chociaż, że na ulicy. Jak pan inspektor uważa, dobrze zrobiłam?

— Oczywiście. Gdzieżby taki grzech na siebie brać.

— A te dwa tysiące wydały mi się jakby judaszowe.

— Ale jeden tysiąc już pani miała.

— Miałam, ale go oddałam. Nie sama, bo się bałam, ale dozorcę z tamtej kamienicy, co mnie znał, zobowiązałam i przez niego odesłałam. I takim sposobem ostałam się przy honorze, nie?

Ale Suszko nie zdążył odpowiedzieć, gdyż właśnie zadzwonił Kraków.

POETYCKI PASZPORT

Zróżnicowana jest formuła obejmująca twórczy dorobek Igora Sikiryckiego. Uprawia on poezję, prozę, satyrę, pisuje utwory dla dzieci i młodzieży, jest autorem sztuk scenicznych widowisk telewizyjnych. Trudno jednak mówić o tym dorobku bez uwzględnienia prac przekładowych, zwłaszcza zaś z zakresu literatur radzieckich.

Sikirycki opracował wybory wierszy Aleksandra Nikołajewa, Maksima Tanka oraz antologie poetyckie: „Wiersze o braterstwie" (1951) i „Księgę przyjaciół" (1975), był konsultantem w trakcie powstawania antologii prezentującej utwory poetów radzieckich o Polsce „Jak unieść wierszem Twoją chwałę" (1977). Obecnie pracuje nad antologią wierszy tematycznie powiązanych z Krajem Rad, wybranych z dorobku polskich poetów.

Sukcesy Igora Sikiryckiego jako tłumacza wymierne są również przy pomocy nagród i wyróżnień. Między innymi w roku 1969 odznaczony został Dyplomem Honorowym Komitetu Wydawnictw przy Radzie Ministrów ZSRR, w roku 1976 otrzymał nagrodę im. Maksyma Gorkiego.

O stosunku autora „W stronę Kolchidy"* do poezji narodów Związku Radzieckiego świadczyć może tytuł obecnego wyboru wierszy, tłumaczonych w różnych okresach czasu. W wyborze tym zawarł Sikirycki przede wszystkim przekłady z poezji armeńskiej, azerbejdżańskiej, białoruskiej, estońskiej, gruzińskiej, łotewskiej i rosyjskiej:

Bogaty jest zestaw autorów, różnorakie kierunki poszukiwań, odmienne oblicza twórczości. Dobrze się stało, że wydawca zaopatrzył ów wybór w noty o autorach zawierające podstawowe dane bio-bibliograficzne. Jest więc okazja, by poszerzyć znajomość literatury naszych wschodnich sąsiadów.

Za motto „Wierszy sercu bliskich" z powodzeniem posłużyć by mógł fragment wiersza wybitnego współczesnego poety armeńskiego, Parjura Sewaka:

Ja chciałbym,
Bardzo chciałbym,
Aby to słowo stało się rzeczywistym paszportem

Na całym świecie
Dla wszystkich...

Utwory zawarte w tym zbiorze są bardzo zróżnicowane, świadczą o odmienności historycznego rozwoju narodowych kultur, prezentują znaczną rozpiętość chronologii. W ten sposób czytelnik przyjrzeć się może różnorodności poezji narodów wchodzących w skład Związku Radzieckiego. Często utwory te przypominają znane arcydzieła literatury światowej, jak ma to na przykład miejsce z „Dawidem z Sasunu", heroicznym armeńskim eposem ludowym, którego fragmenty do złudzenia przypominają słynną Salomonową „Pieśń nad pieśniami".

Jednakże zdecydowana większość utworów zaprezentowanych przez Sikiryckiego powstała pod piórem twórców współczesnych, częstokroć tych, z którymi tłumacz utrzymuje bezpośrednie przyjacielskie kontakty. Tak oto „Wiersze sercu bliskie" stają się rzeczywistą i dosłowną „księgą przyjaźni", przyjaźni literackich, których najlepszym paszportem okazuje się poetyckie słowo, wówczas zwłaszcza, gdy opiewa polskie sprawy (na przykład w wierszach Simona Czikowaniego „Puszkin i Mickiewicz" czy Mikołaja Tichonowa „Warszawska syrena").

Na wyróżnienie zasługuje bardzo staranna szata edytorska, wyraźnie nawiązująca do opublikowanego rok wcześniej wyboru liryki, satyry oraz wierszy dla dzieci autora „Wołania drzew".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Igor Sikirycki, Wiersze sercu bliskie, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, s. 207, nakład 7 000 + 330 egz., cena zł 30,—

Mógłbym od biedy poszukać jakichś wspólnych wyróżników dla tych trzech książek, o których za chwilę. Ale właściwie są one raczej od Sasa do Lasa. Są książkami co najmniej dobrymi, o czym świadczy nie tylko moje skromne zdanie, lecz wzięcie u czytelników (co łatwo sprawdzić przy przeglądaniu tzw. kart książek w bibliotekach publicznych). Jednocześnie nie spotkały się one z jakimkolwiek, bądź tylko z minimalnym, zainteresowaniem krytyki.

Spóźniona recenzja nie jest przedsięwzięciem zbytecznym. Przeciwnie — nienaruszanie ciszy wokół książki to nic innego jak tylko przejaw znieczulicy.

Dwukrotnie wznawiany Maryny Okęckiej-Bromkowej **„SEKRETARZYK BABUNI"** — to powieść ramowa, złożona z szeregu przeplatających się bezustannie fragmentów pamiętników i raptularzy członków kolejnych (choć nie zawsze w kolejności wprowadzanych na karty książki) pokoleń typowej rodziny ziemiańskiej z kresów, która w wyniku przemian polityczno-społecznych znalazła się w Olsztyńskiem i, rzecz jasna, już nie w dworku. Pierwszy z tej galerii to szlachcic z pierwszej połowy XIX wieku, hreczkosiej światły, jako że wychowanek Liceum Czackiego na krótko przed likwidacją zasłużonej uczelni, alias przeniesion do Kijowa z zamianą na Uniwersytet. Ostatnia pani, porte-parole autorki, osoba jak najbardziej współczesna, przysposobioną do owej rodziny z tradycjami w początkach lat międzywojennych. Łączy ona w sobie urzeczenie swoistościami umarłego, a doskonale sobie znanego świata, z umiejętnością spojrzenia z pozycji współczesności. To spojrzenie krytyczne nie jest surowym spojrzeniem sędziego. Towarzyszy mu na ogół pobłażliwy uśmiech, niekiedy błysk rozbawienia. Tak by patrzyła na dziwne sprawy anachronicznego świata bohaterka „Godziny pąsowej róży", gdyby nie niepokój, że pozostanie w nim na zawsze.

Główną jednak postacią książki jest Babunia. Osoba mocno wiekowa, władcza, autorytatywna, niegdyś skrupulatnie hołdująca dawnym obyczajom, metodom wychowawczym, konwencjom ubiorów według stanu i wieku, w ogóle nie pisanemu kodeksowi regulującemu ongiś zasiedziałe hreczkosiejskie życie. Babunia w sposób zaskakujący i nie od razu dla nas pojęty, łączy z owymi cechami dostojnej władczyni drobnoszlacheckiego matrimonium minionych lat i biegłością w ich najdrobniejszych nawet imponderabiliach — rzeczywisty instynkt społeczny. A co jeszcze dziwniejsze i zrazu zaskakujące, zaakceptowała współczesność, choć ta ją przecież odziemiańszczyła, wysunęła spod nóg szacowny szczebel społeczny.

Poza stworzeniem tej pełnokrwistej postaci o tak paradoksalnej filozofii życiowej, szczery podziw dla talentu Bromkowej budzą jej umiejętności pastiszowe. Mam na myśli owe fragmenty pamiętników z różnych epok, mistrzowskich w oddawaniu poprzez umiejętną stylistykę i treść, barwę i prawdy czasu każdego pokolenia: zwrotów, budowy zdań, najdrobniejszych realiów z wszelakich profesji wiejskich, stosunków administracyjnych, prawa ze specyficznymi dla poszczególnych epok zawijasami stylistycznymi, kruczkami itp.

„ODWIEDZINY" Jana Adamskiego są debiutem literackim znanego aktora krakowskiego — zbiór opowiadań, których akcja również rozgrywa się na kresach wschodnich. Na północ lub — częściej — na południe od Prypeci. Rozgrywa się zaś w latach tuż przed wojną, w trakcie jej, w dramatycznych czasach epilogu wojny, a także współcześnie. Tematem są tu różne dzienne sprawy współżycia (i tego bogobojnego, i wręcz dalekiego od sielanki) ludności polskiej, białoruskiej i ukraińskiej. A zatem autor porusza temat uważany nie tak dawno za nie podejmowany, chyba że obces, schematycznie. Jest to (obok wydawanych niedawno przez „Pojezierze" pisanych gwarą wileńską opowiastek „Wiciuk gada") kto wie, czy nie jedyna w Polsce (w literaturze ukraińskiej i litewskiej już takie czytałem) książka traktująca o tamtych sprawach w sposób niemasochistyczny, szczery, nie unikowy, a rozkładający światła i cienie obiektywnie i z taktem.

Adamski dał w „Odwiedzinach" poznać jako ostatni, co tak piórem gawędziarskim wodzi, (a wszak gawęda była aż do czasów Choynowskiego i Prószyńskiego arcypolskim gatunkiem naszej epiki i dała wiele utworów należących do skarbca naszej literatury). Te opowieści to właśnie wyborne, na przekór potocznemu znaczeniu tego słowa, nic a nic nie przedawkowane mixtum compositum, w którym zmieszane są: przedni humor, dobroduszna anegdota, liryzm i, jak w dziewiętnastowiecznych powieściach prozą i wierszem, wszechobecna bujna przyroda.

Trzecia książka z tych, co na „sekretarzyku", nie ma nic z kresami wspólnego. Jest to zbiór nowel — nie opowiadań (podkreślam to, albowiem dziś nie tylko szeregowi czytelnicy, lecz i krytycy coraz częściej nie zdają sobie sprawy z odrębności obu gatunków i traktują je zamiennie) prozaika — że tak to po boksersku określę — półśredniego pokolenia, Andrzeja Gerłowskiego. Tytuł **„DRZEWO RODZI SYNA"**. Głównym tematem jest, najogólniej mówiąc, sposób, jakość, styl przeżywania przez

KSIĄŻKI Z MEGO SEKRETARZYKA

ludzi najtrudniejszych ze spraw powszednich człowieka: konsekwencji poniesienia nagłej klęski czyichś całożyciowych aspiracji („Albert"), przejścia z życia czynnego do życia pasywnego i zarazem odkrycie w sobie symptomów starości, która nie będzie chwilową przygodą, lecz przedsionkiem do Nieuchronnego („Przed śniadaniem", „Lotnisko", w jakiejś mierze „Pogrzeb") Dodajmy że Gerłowski bynajmniej nie ułatwia sobie problemu przez wyposażanie swych postaci w szczególnie bogate życie wewnętrzne i zdolności wnikliwszej introspekcji. Są to ludzie, choć na ogół inteligenci — bardzo zwyczajni. A przecież zdobywają się na tak sprzeczne z instynktem samozachowawczym i naszym przywiązaniem do nas samych, patrzenie na zbliżający się kres własnej biologii, jako na rzecz zwyczajną, naturalną. Na przyjmowanie jej prognostyków bez histerii, ale przecież — nie pasywnie.

Konsekwencją przyjętego założenia, iż autor będzie dociekał tych prawd na przykładach życia możliwie najbardziej zwyczajnego, jest celowo ubogi język, uproszczona składnia, a także poszerzenie kręgu przedstawianych doznań postaci o realia, które w tych właśnie nowelach są czymś naturalnym i na miejscu, a przecież w każdym innym wypadku byłyby — obsceniami. Interesującym zabiegiem autorskim jest także celowe nieoczyszczanie nowel z wydarzeń i informacji ani nie wiążących się z akcją, ani nie drążących problemu. Wydarzeń i informacji pozornie całkowicie zbędnych. Pozornie — gdyż autor w dążeniu do nadania ukazywanym skrawkom życia znamion pełnego autentyzmu, odważnie przechodzi do porządku dziennego nad podstawową regułą klasycznej kompozycji, jaką jest stosowanie eliminacji, jako że życie autentyczne, przeżywane przez każdego z nas bynajmniej nie jest li tylko wypadkową ścierania się naszych świadomych dążeń z subiektywnymi lub obiektywnymi przeszkodami, lecz również konglomeratem spraw dużych, małych, ważnych i nie, z sensem i bez sensu, z dalszym ciągiem i urywających się nagle jak się zaczęły. Przypomina ono muszle, wodorosty i w ogóle „wiakuju wsiaczynu", jaka obrasta podczas rejsu spód naszego płynącego w rejs i walczącego ze sztormami okrętu.

Leżą na moim metaforycznym sekretarzyku te trzy książki. Mimo nie najnowszych metryczek nie są zakurzone, bo chętnie do nich zaglądam — a radzę to i czytelnikowi.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

POLEMIKI

„ANEKSJA" I METODY

W 40 numerze *„Odgłosów"* z ub. r. ukazał się artykuł Haliny Sławińskiej pt. *„Aneksja" Bronowa i Gusina*", krytykujący dwa rozdziały napisanej przeze mnie publikacji książkowej *„Asnyk, Konopnicka i Dąbrowska w Kaliszu" (Warszawa 1977)*. Artykuł ten odznacza się dość szczególnymi metodami.

Przytaczając np. wyrwane z kontekstu niektóre powszechnie znane fragmenty autobiograficzne z listu Konopnickiej, przedstawiające życie jej w Kaliszu w czarnych barwach, Sławińska skwapliwie zaznacza, że cytuje je według mojej „książeczki". Zapomina jednak o bezpośrednio z tymi cytatami sąsiadujących fragmentach tekstu, w których ukazuję jaśniejsze strony kaliskiej egzystencji. W rezultacie czytelnik dowiaduje się np., że ojciec Konopnickiej to „mistyk" i „prawie mizantrop", nic jednak nie wie o jego zdolnościach i zamiłowaniach literackich oraz naukowych przekazywanych córce, o rozbudzeniu się już w dzieciństwie jej patriotyzmu i wrażliwości artystycznej, o zdobyciu podstaw wykształcenia i pasji poznawczej. Czas pobytu w Kaliszu od 7 do 20 roku życia przyszłej poetki pokwitowano bowiem jedynie określeniem „ubogich przeżyć podlotka i dorastającej panny, której krąg najbliższych osób stanowiły siostry, służące jak Urbanowa, nosiwoda Józefowa, stróżka z kamienicy, dziadek żebrzący w żołnierskim szynelu". Pomieszano tu postacie z literatury i z życia, przedziwnie określając otoczenie córek patrona trybunału, z których cztery wyszły za mąż za ziemian. Zastąpiono także ukochanego stryja poetki — którego powrót z zesłania „w sołdackim szynelu", gdy miał lat 40, zaliczyła ona do najsilniejszych przeżyć dzieciństwa — „żebrzącym dziadkiem".

Tyle na razie o metodach, a teraz o zarzutach w stosunku do mnie.

1. Stawiam „znak równości pomiędzy gubernią a ziemią kaliską, chociaż o takiej ziemi nie było słychać w dawnych czasach".
2. Przyczyniam „wiele kłopotu w literaturze i w turystyce, bo nie ma pewności czy Bronów leżący w byłym powiecie poddębickim to właśnie ten związany z biografią poetki, czy też należy szukać go koło Kalisza".
3. Piszę o kontaktach Konopnickiej z Kaliszem i wpływie ich na pisarkę w czasie, gdy mieszkała ona w Bronowie i Gusinie, a są to odrębne okresy i tereny, których łączyć nie można.

Odpowiadam kolejno:

1. Ziemia kaliska istniała w „dawnych czasach" i to w granicach bardzo rozległych (por.: państwo polskie za Kazimierza Wielkiego). Nie widziałem jednak potrzeby nawiązywania do tych granic pisząc o wieku XIX i XX. Ziemia kaliska, łęczycka czy i inna to terminy już w dawnej Polsce wieloznaczne, dziś wręcz umowne.

Ze względu na częściowo literacki charakter publikacji użyłam kilka razy określenia ziemia kaliska w tekście zamiast: dawna gubernia kaliska, dwa razy w tytułach rozdziałów, które w przeciwnym razie byłyby zbyt długie. We wstępie wyjaśniłam swój punkt widzenia (str. 4). A oto szersze jego uzasadnienie:

Niezależnie od tego, że powiat łęczycki włączono do guberni kaliskiej dopiero w 1866 r., teren na którym leżał Bronów i Gusin był przez cały czas istnienia Królestwa Kongresowego (1815—1918) pod zwierzchnictwem Kalisza jako miasta wojewódzkiego do 1837 r., później gubernialnego. W latach 1844—66, gdy nie było guberni kaliskiej, wsie te wchodziły w skład powiatu kaliskiego.

Oczywiście podział administracyjny nie decyduje o powstaniu na jego terenie odrębnego regionu, ale sprzyja temu. W wypadku Kalisza rozwój przemysłu i wysoka ranga kulturalna miasta, konieczność załatwiania w nim spraw urzędowych, sądowych, handlowych (słynne kaliskie Targi Świętojańskie i „jarmarki na wełnę" połączone z okresem zebrań towarzyskich, zabaw i przedstawień teatralnych) doprowadziły do integracji podległego miastu terenu związanego z nim zresztą także w czasach dawniejszych. Jako przodującą jednostkę wyodrębniającą się spośród innych ziem Królestwa traktuje Kalisz i gubernię kaliską Jan Jeleński w szeregu artykułów w *„Niwie"* i broszurze *„Kalisz i jego okolice" (Warszawa 1875)*. Podobnie wydawany od 1870 r. *Kaliszanin — Gazeta Miasta Kalisza i jego Okolic*, adresowany jest przede wszystkim do mieszkańców miasta i guberni, a ostatnie badania dr Edwarda Polanowskiego wykazały, że najwięcej korespondentów miało to pismo z Turku, Uniejowa, Łęczycy, Poddębic, co dowodzi, że ośrodki najbliższe Bronowa i Gusina odczuwały potrzebę kulturalnych związków z Kaliszem. Poczucie łączności całego tego terenu przejawiało się jeszcze po odzyskaniu niepodległości. Jednym z dowodów tego może być Zjazd Przedstawicieli Miast Ziemi Kaliskiej, który odbył się w Kaliszu 7.IX.1919 r. (*„Gazeta Kaliska" 11.IX.1919*). Wzięli w nim udział reprezentanci miast ze wszystkich powiatów dawnej guberni. Między innymi z Turku, Konina, Łęczycy.

2. Pisząc o Bronowie i Gusinie, dokładnie określam ich położenie (s. 34, s. 41). Za czasów Konopnickiej wsie te należały do powiatu kaliskiego, potem do tureckiego. Odwoływanie się do powstałego już w Polsce Ludowej „byłego powiatu poddębickiego" nie byłoby słuszne. Niemal wszystkie opracowania naukowe, oznaczając położenie Bronowa, wymieniają najpierw Kalisz, a potem dopiero dalsze dane dotyczące też Gusina.

3. Halina Sławińska słusznie widzi różnice między kaliskim a bronowsko-gusińskim życiem pisarki. Ja je także widzę. Nie tylko piszę o przełomie, jaki w życiu panny Wasilowskiej stanowiło małżeństwo i wyjazd do majątku męża, ale także w tytułach i rozplanowaniu treści rozdziałów oddzielnie traktuję fakty i utwory związane z pobytem w mieście i pobytem na wsi. Nie godzę się jednak, by między tymi okresami i terenami stawiać barierę NIEPRZEKRACZALNĄ.

Wbrew charakterystycznym dla owych czasów bliskim związkom ziemiaństwa z Kaliszem a szczególnie z jego środowiskiem prawniczym, (s. 11 mej publikacji) autorka artykułu uważa, że Konopnicka mieszkając w Bronowie i Gusinie, nie odwiedzała już Kalisza ani rodzinnego domu. Uparcie powtarza, że „zajęta dziećmi i samokształceniem nie mogła bywać ani w teatrze ani w Resursie Obywatelskiej", jakby tylko o to mi chodziło, a nie ogólny wpływ kaliskiego środowiska. Nie zdaje sobie sprawy, że skoro — jak informuje Konopnicka — z wizyty w sąsiedztwie „dopiero trzeciego dnia rozjeżdżali się goście", to i na wyprawę do Kalisza był czas. Istniały przecież niańki i piastunki, które umożliwiały nawet wyjazd do Szczawnicy czy Warszawy. Polemizując z moim przekonaniem, że poetka od czasu do czasu odwiedzała miasto, chociażby przy okazji wyjazdów męża w sprawach sądowych — w których zapewne pomagał mu teść — autorka *„Aneksji"* stwierdza: „Wcale nie musiała odwiedzać ojca i sióstr" pochłonięta życiem w Bronowie, skoro „pierwszy raz napisała do nich przeszło pół roku po ślubie" i jako list do sióstr i rodzinnego domu podaje znany powszechnie list pisarki z 28 marca 1863 r. pisany do mieszkających poza Kaliszem kuzynek* — „przyjaciółek", jak je sama określiła w pracy zbiorowej *(Śladami życia i twórczości Marii Konopnickiej. Warszawa 1966, s. 79)*, gdzie nazwała też ojca pisarki prawnym doradcą jej przyszłego męża, o czym w artykule zdaje się znów zapominać.

Właścicielowi zaś, czy dzierżawcy, Bronowa — podobnie jak innym ziemianom — odpowiadały kontakty z kaliskim środowiskiem prawniczym. Sięgnijmy do książki zatytułowanej *„Stanisław Masłowski. Materiały do życiorysu i twórczości opracował Maciej Masłowski"*. Znajdziemy tam informacje o następcy ojca pisarki, patronie trybunału Rajmundzie Masłowskim, którego autor nazywa „przyjacielem Jarosława Konopnickiego", podkreślając jednocześnie, że „stosunki między obu rodzinami bogatymi w potomstwo były najbliższe" i Masłowscy wraz z dziećmi często jeździli do Bronowa. Trudno sobie wyobrazić by były to wizyty jednostronne, a warto jednocześnie zaznaczyć, że Rajmund Masłowski był jednym z założycieli *„Kaliszanina"* i że znajomych kaliskich musiało być więcej.

A nowela *„Józefowa"*, w której — jak wiemy z listu pisarki do syna — zawarła ona prawdziwy portret kaliskiej wodziarki. Czy gdyby ją znała tylko jako dziecko lub młoda panna mogłaby zaobserwować urojone ciąże i kłopoty tej świetnie zbudowanej kobiety, której nie odpowiadał cherlawy mąż? Nawet wzmianki w *„Urbanowej"* o Kanonickim rynku mówią nam o późniejszych kontaktach autorki z Kaliszem, gdyż rynek ten powstał w parę lat po przeniesieniu się jej do Bronowa. O kontaktach tych świadczy też *„Kaliszanin"*, gdzie poza debiutanckim wierszem z 1870 r. i wierszem *„Kaliszowi"* z 1888 r., potwierdzającym swą treścią krótkie odwiedziny miasta, mogą znajdować się inne utwory poetki (pisały o tym Słomczyńska i Brodzka) trudne do odszukania ze względu na brak kompletu pisma i wiele wierszy nie podpisanych.

Kontakty z *„Kaliszaninem"* miały zresztą jeszcze inny charakter. Zawierał on szereg informacji i artykułów potrzebnych do samokształcenia. Nie mogły wystarczyć do tego celu znalezione na bronowskim strychu książki, które „od niepamiętnych czasów tam wygnane służyły (...) jako nogi przeróżnym faskom i skrzyniom kalekim". Przecież Konopnicka w liście do Orzeszkowej cytowanym przez Sławińską nie pisze tylko o Montaigne'u ale i pisarzach współczesnych, których dzieł na strychu być nie mogło, a były w kaliskich księgarniach i czytelniach. Nie to jest zresztą najważniejsze.

Tworzenie się osobowości człowieka i pisarza to proces ciągły. „Lata gorzkich doświadczeń" wzbogaciły pisarkę. Zanim jednak zaczęła pisać wiersze o niedoli ludu (nie zawsze z Bronowem związane) w okresie kaliskim rozbudziła się jej wrażliwość na los „skrzywdzonych i wydziedziczonych". Piękno przyrody, za którą potem tęskniła, otaczało ją też w Kaliszu. Mieszkała w dzielnicy ogrodów przechodzących w łęgi i pola, wędrowała na cmentarz położony też wśród pól i wolnej przestrzeni. Miała wreszcie do rozporządzania wielki na owe czasy park miejski, gdzie szumiały jej „fale starej Prosny".

Nie w Bronowie też nauczyła się dopiero myśleć. Szczerzej od cytowanego przez Sławińską fragmentu listu pisarki do Orzeszkowej (w którego podtekście tkwi chęć przekonania koleżanki, że jego autorka wcześnie wyszła za mąż) brzmi wyznanie w liście do córki Laury z 28.XII.1891 r. Konopnicka pisze tam, że szukała w Pawii śladów Jędrzeja Śniadeckiego jako „twórcy teorii jestestw organicznych" i dodaje: „Była to książka, którą jako samodzielnie wybraną dostałam z biblioteki ojca, kiedy jeszcze byłam niedużą dziewczynką. Wiele rzeczy niezrozumiałych było tam dla mnie, ale objęło mnie tchnienie wielkiego badawczego umysłu i wpływ ten został".

HALINA SUTARZEWICZ

* W książce Jana Baculewskiego Maria Konopnicka, Warszawa 1978, podano wprawdzie w przypisach, że adresatkami listu były siostry, ale autor wyjaśnia, że to pomyłka korektora. Błąd jest łatwy do zauważenia, gdy się zanalizuje treść listu.

W „DESIE"

— przed obrazem JANINY HABDAS

Foto: R. Łucyszyn

OSWAJANIE TAJEMNICY

„Jedno jest pewne, jeśli chodzi o science-fiction: tego jest zbyt wiele" — oświadczył już w 1956 r. Orson Welles, który wszedł przebojem do historii tego gatunku jako autor bodaj największego do tej pory skandalu rodem z Kosmosu. Znana to historia, a jednak ją przypomnę, ponieważ dzisiaj nabiera nowego sensu. 30 października 1938 roku radio nowojorskie nadało słuchowisko oparte na „Wojnie światów" Herberta G. Wellsa w reżyserii Orsona Wellesa. Najazd Marsjan na Ziemię został zainscenizowany w eterze bez cudzysłowu fikcji, w formie stylizowanych na autentyczne komunikaty radiowe doniesień o zbliżającym się pozaziemskim niebezpieczeństwie. Efekt audycji był taki, że w ciągu kilku godzin całe Stany Zjednoczone ogarnęła histeryczna panika, natomiast nieobliczalnym twórcą tego gigantycznego happeningu troskliwie zaopiekował się Hollywood, proponując niezwykle atrakcyjny kontrakt, z którego zrodził się „Obywatel Kane". W tym momencie zaczęła się zupełnie inna historia, bowiem Welles nie zajmował się już więcej fantastyką naukową, być może z powyżej zacytowanego powodu.

Welles miał niewątpliwie rację: zalew literatury i filmu spod znaku S-F spowodował dewaluację problematyki poruszanej przez ten gatunek, który w swojej podstawowej, a ogromnej masie edytorskiej obraca się stale wokół tych samych schematów fabularnych. Tymczasem żyjemy — jak się zdaje — w epoce, która ma szansę zostać świadkiem największego przełomu w historii ludzkości, jakim może stać się odkrycie pozaziemskich cywilizacji. Prawie codziennie gazety sugerują, że fantastyczny onegdaj pomysł Wellesa miał sens nieomal proroczy. Sceptycyzm wobec UFO coraz częściej przypomina starą anegdotkę o chłopie, który na widok żyrafy w ZOO zawołał: „To niemożliwe! Takie zwierzę nie istnieje!".

Natomiast z przemian S-F, zarówno w literaturze jak i w filmie, można odczytać ducha czasu, dzieje zbiorowej podświadomości: nasze pragnienia, tęsknoty, nadzieje, marzenia, lęki i niepokoje. Wystarczy porównać dwie interpretacje stałego motywu naukowej fantastyki, jakim jest wylądowanie na Ziemi przedstawicieli odległych galaktyk. W przywołanej prowokacji Orsona Wellesa odzwierciedla się odziedziczony po Wellsie katastrofizm, wzmocniony przeczuciem nadchodzącej II wojny światowej. W najnowszej realizacji tego tematu opracowanej już nie na podstawie literackiej fikcji, lecz danych empirycznych, coraz bujniej rozwijającej się UFO-logii, w głośnym filmie amerykańskim Steve'a Spielberga pt. „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" pojawia się optymizm.

Akcja „Bliskich spotkań" toczy się w dzisiejszej Ameryce i film ten w konwencji thrillera relacjonuje zmienne stany psychospołecznych zachowań w obliczu Nieznanego. Jednakże w „Bliskich spotkaniach" nastrój początkowej grozy i przerażenia niebawem ustępuje zaciekawieniu, które przeradza się z kolei w ufność, pragnienie przyjaźni i pokoju. W filmie pojawia się charakterystyczny dla amerykańskiego kina ton zwany „human tauch", co dosłownie przekłada się na „ludzki dotyk". Spielberg precyzyjnie zanotował w swoim filmie symptomatyczny stan ducha, w którym ludzie na niebie szukają tego, czego im brakuje na ziemi. Niestety, efekt tego perfekcyjnie zrealizowanego i wiarygodnego filmu psuje pointa, czyli skonkretyzowana, bo zrobiona z gutaperki figurka kosmity, która nieuchronnie śmieszą, niszczy realizm sytuacji przez cały czas zawieszonej na krawędzi metafizycznej tajemnicy.

Śmieszność jest ceną ryzyka artystycznego, które grozi każdemu reżyserowi filmowemu podejmującemu temat pozaziemskich cywilizacji. Literatura z natury swego tworzywa jest przekazem znacznie bardziej konwencjonalnym, opis świata przedstawionego w utworze literackim korzysta z prawa niedookreślenia, które dobrze służy fantastyczno-naukowym wizjom polegającym na uruchomieniu czytelniczej wyobraźni. Natomiast film musi uwierzytelnić wykreowaną realność w każdym detalu, opisać ją najdokładniej od strony wizualnej. Taką próbę podjął reżyser amerykański George Lucas w zrealizowanym ogromnym nakładem środków filmie pt. „Gwiezdne wojny".

„Gwiezdne wojny" należą do odmiany S-F zwanej „kosmiczną operą", która polega na przewadze elementu czysto-fantastycznego nad naukowym, na czystej grze wyobraźni wyzbytej wszelkiego prawdopodobieństwa. Lucas nagromadził w swoim filmie rekordową ilość tricków technicznych składających się na istną feerię niezwykle efektownych i wyrafinowanych plastycznie obrazów. Jest to film wyzbyty jakichkolwiek aspiracji filozoficznych, które często zostają wpisane w schemat S-F, że przypomnę choćby „Odyseę kosmiczną 2001" Stanleya Kubricka. Aby zrozumieć „Gwiezdne wojny" ich sposób narracji stylistykę, konstrukcję dramaturgiczną i bohaterów należy pamiętać, że utwór ten wyrasta ze swoistej dla Ameryki sub-kultury komiksu, u nas prawie nieznanej. Stąd film ten cieszy się wśród naszej publiczności umiarkowanym zainteresowaniem. Oglądałem go z uczuciem znużenia, mimo akcji niebywale dynamicznej i atrakcyjnej. Jest bowiem w „Gwiezdnych wojnach" wyraźny rys infantylizmu, który przenika amerykańską mentalność i kulturę. Wizja Kosmosu w „Gwiezdnych wojnach" przypomina gigantyczny pokój dziecięcy wypełniony mechanicznymi super-zabawkami.

A zatem oba filmy amerykańskie, bestsellery gatunku ostatnich lat spotykają się w ekspresji wspólnego pragnienia: oswojenia największej Tajemnicy.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

TROCHĘ PRAWDY

O KŁAMCY

Niezbyt wiele dało chyba telewidzom wysłuchanie rozmowy, jaką z autorem sztuki „Prawdomówny kłamca" Grigorim Gorinem i jej tłumaczami Janiną i Grzegorzem Fedorowskimi przeprowadził przed spektaklem „Prawdomównego kłamcy" red. Roman Szydłowski. Nie jestem zwolennikiem tego, by telewizyjne spektakle oprawiać z reguły w filologiczne wykłady, czemu dawałem parokrotnie wyraz, ale tym razem rzecz wymagała pewnych wyjaśnień, których widzom poskąpiono.

Autor uchylał się wyraźnie od odpowiedzi, chciał zdecydowanie, by za niego przemówił ekran telewizyjny. Prowadzący rozmowę tym się zadowolił i otrzymaliśmy w sumie wprowadzenie zdawkowe, nie przybliżające nam ani trochę postaci głównego bohatera, który u nas w Polsce bynajmniej nie jest tak popularny jak Don Kichot, czy Dyl Sowizdrzał. Być może wielu telewidzów po raz pierwszy zetknęło się z osobą barona Karola Fryderyka Hieronima von Münchhausena.

Część z nas, chcąc się lepiej przygotować do odbioru programu telewizyjnego, zwykło zaglądać do omówień jego w tygodniku „RTV". Cóż, kiedy tym razem i to pożyteczne pismo zawiodło, zawierając w swojej zapowiedzi sporo informacji bałamutnych i — co zdarzyło się bodaj pierwszy raz — uzupełniając je zapewnieniami, że spektakl został interesująco zrealizowany, aktorzy grają świetnie, słowem, że z góry mamy się nastawić na coś znakomitego.

Autor tej przedwczesnej recenzji podał nieco danych z życiorysu Münchhausena, przyznał, że słynął on z opowieści o swych fantastycznych przygodach, po czym jednak zaraz nadmienił, że to dopiero rozmaici plagiatorzy i fałszerze nadokładali biedakowi do jego niewinnych zmyśleń wielu łgarstw, czyniąc je — tu jakiś cytat — „obrażającymi zdrowy rozsądek". Autor nie podejmuje polemiki z tym prostackim komentarzem, lecz dołącza się doń, stwierdzając, że w ten sposób zafałszowano postać Münchhausena i że Gorin chce właśnie w swej sztuce ukazać nam prawdziwego barona, człowieka skupionego na poszukiwaniu prawdy o życiu.

Wątpię, by Grigorij Gorin, którego miałem okazję poznać w czasie jego pobytu w Łodzi w związku z premierą tejże sztuki w Teatrze Ziemi Łódzkiej, akceptował taką wykładnię swoich autorskich intencji. Na dobrą sprawę co współczesnego człowieka obchodzi, jakim naprawdę był XVIII-wieczny obieżyświat i fantasta? I któż to byli owi fałszerze, przed którymi należałoby bronić dobrej sławy Münchhausena? Czy R. E. Raspe, który pierwszy opublikował opowieści barona w 1781 roku w Oksfordzie, czy wybitny poeta niemiecki Gotfryd August Bürger, czy pisarz francuski Emil Gautier, czy wreszcie słynny ilustrator Gustaw Doré, który przeniósł przygody Münchhausena w sferę plastyki?

Doprawdy, to wielkie nieporozumienie. Münchhausen stał się na przestrzeni dwustu lat wspaniałym tematem literackim, jego autentyczny charakter i motywacje nikogo już nie obchodzą. Ważna jest sama zachęta do poigrania z tak zwanym zdrowym rozsądkiem, jaką stanowi ta postać. Wszyscy wokół nawołują nas przez całe życie do rozsądku. Od dziecka wpaja się to każdemu, nie pozostawiając często najwęższego nawet marginesu dla wyobraźni, gry, fantazji, swobody i skojarzeń. Postać Münchhausena jest nosicielem tej innej uczuciowej strony życia, która nie może być wprawdzie decydująca o naszym postępowaniu, ale stosowana z umiarem potrafi wnieść w nie zawsze ciekawe bytowanie trochę barw i blasków, rozniecać w nas poczucie humoru, a co za tym idzie skłaniać do większej wyrozumiałości dla innych ludzi, nawet w przypadku, gdy ich zachowanie się jest z naszego punktu widzenia dziwaczne.

Gorin podjął więc temat Münchhausena nie dla jakiejś tam iluzorycznej prawdy historycznej, ale dla szansy wypowiedzenia się o życiu, o współczesnych postawach ludzkich. Jego bohater ze względu na swe dziwactwa jest na ogół nie akceptowany przez otoczenie. Sytuacja zmienia się radykalnie, gdy w sprawę jego ingeruje władza państwowa w osobie księcia. Wówczas z minuty na minutę to, co obciążało bohatera w oczach innych, uznane zostaje za zasługę. Czy w tak postawionej sprawie nie zawarł autor określonej nauki dla współczesnego człowieka?

Spektakl poznański „Prawdomównego kłamcy" w reżyserii Macieja Wojtyszki poszedł moim zdaniem za bardzo w kierunku dramatu na miarę Don Kichota, gubiąc to, co w samym Münchhausenie i w jego wariancie proponowanym przez Gorina jest najważniejsze, mianowicie — uśmiech. Reżyser skreślił nawet ostatnią kwestię sztuki, nawołującą do tego, by iść przez życie z uśmiechem. To skreślenie oddala spektakl od intencji autora.

Na zakończenie chciałbym wyjaśnić, dlaczego nie omawiam udanego, jak słychać, spektaklu Telewizji Łódzkiej „Okrucieństwo" wg P. Nilina. Po prostu w czasie emisji byłem za granicą, co uniemożliwiło mi jego obejrzenie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

BOŃSKIE ABC

W popularnej serii Iskier „ABC" ukazała się książka Edwarda Dylawerskiego pt. „Bońskie ABC".

„Pisałem je z myślą o tych — stwierdza autor — którzy interesują się drugim państwem niemieckim i o tych, którzy nad Ren przyjadą służbowo lub jako turyści, mając w zanadrzu własne schematy ocen Niemców żyjących w Republice Federalnej. Może ich przekonam, że dawne stereotypy myślenia o Niemcach nie pasują do tego, co się nad Renem dzisiaj dzieje. Jest w tej pracy pewna suma moich wieloletnich spotkań z Republiką Federalną, które rozpoczęły się w 1957 roku pierwszą dziennikarską podróżą nad Ren".

Uzupełnijmy tę informację jeszcze wiadomością, że Edward Dylawerski w 1973 roku rozpoczął w RFN swoją kilkuletnią pracę korespondenta bońskiego „Życia Warszawy". Zna więc Edward Dylawerski RFN nie tylko z dziennikarskich podróży do tego kraju, ale z wielu różnorodnych kontaktów i sumiennych obserwacji, jakie dokonał przebywając tam przez kilka lat. Dzięki temu mógł lepiej poznać kraj i dostarczyć czytelnikowi wiele cennych informacji o życiu społeczeństwa Republiki Federalnej Niemiec.

Książki z serii „ABC" najczęściej traktują o historycznych, społecznych i gospodarczych ciekawostkach opisywanego kraju. Nie są to wszakże przewodniki. Ambicją twórców tej serii jest zapoznać polskiego czytelnika z w miarę aktualnymi sprawami, a także przeszłością krajów, o których książki traktują, a do których wielu Polaków jeździ z różnych powodów, często jako turyści. „Bońskie ABC" różni się nieco od takich publikacji, gdyż trudno jest pisać o RFN nie dotykając spraw polityki, nie starając się odpowiedzieć na wiele problemów, które nurtują współczesnego Polaka, często interesującego się drugim państwem niemieckim wcale nie ze względów turystycznych. Dylawerski nie stroni jednak od opisywania obyczajów, daje obraz codziennego życia mieszkańców RFN, stara się przekazać polskiemu czytelnikowi wiele ciekawostek o Niemczech Zachodnich. Książka napisana jest żywo, ciekawie i może zainteresować również tych, którzy nie wybierają się do RFN, a chcą dowiedzieć się czegoś więcej o tym kraju.

Edward Dylawerski — „Bońskie ABC", Iskry, Warszawa 1978, str. 345, cena zł 36.—

NIEZWYKŁY KONCERT

„Niezwykły koncert" to niewielki zbiór opowiadań fantastycznych nie znanego do tej pory w Polsce współczesnego pisarza rumuńskiego Romulusa Vulpescu. Jest on prozaikiem, poetą i eseistą. Pisze dramaty, a także tłumaczy z literatury francuskiej.

Opowiadania zebrane w tomiku „Niezwykły koncert" powstały w latach sześćdziesiątych. Zalicza się je do najlepszych opowiadań literatury fantastycznej ostatniego dwudziestolecia. Nie należy ich jednak mylić z literaturą science fiction. Romulus Vulpescu w „Niezwykłym koncercie" opowiada o kontaktach człowieka z potężnymi i niesamowitymi siłami. Jest to więc bardziej literatura zbliżona do horroru, choć i w tym dziale nie mieści się całkowicie.

Potężne nieznane i niesamowite siły, z którymi stykają się bohaterzy opowiadań Romulusa Vulpescu albo przychodzą z zewnątrz, albo tkwią w człowieku. Są one nie zbadane, rządzą się swoimi prawami i wciągają człowieka w krąg swego oddziaływania.

Romulus Vulpescu jest też poetą. Stąd w jego opowiadaniach niesamowitych i fantastycznych wiele jest liryzmu, umiejętnie budowanego nastroju. Autor nie stroni też od metafory i symbolu. Ale w budowie świata swoich opowiadań posługuje się przede wszystkim realnymi rekwizytami. Dzięki wysokiemu kunsztowi przenosi czytelnika niemal niepostrzeżenie w inny wymiar czasu, w sytuacje, które daremnie próbować tłumaczyć posługując się logiką. Czytelnikowi nie pozostaje więc nic innego, jak zawierzyć wizjom Romulusa Vulpescu i dać się poprowadzić w świat, jaki dla niego wyczarował w swoich opowiadaniach.

Romulus Vulpescu — „Niezwykły koncert", przełożyła J. Wierzbanowska-Kawalec, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, str. 77, cena zł 10.—

RELIGIE WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Tytuł tej książki brzmi może nie zachęcająco, ale wystarczy spojrzeć w spis treści, aby przekonać się, że można z niej dowiedzieć się wiele ciekawych rzeczy o religiach, jakie dziś wyznają ludzie w różnych częściach naszego globu. Współczesny człowiek wie, że istnieje kilka podstawowych religii: katolicyzm, islam, buddyzm, judaizm, wie, że w Afryce różne plemiona mają różne wierzenia, że podobnie jest w Australii. Jaka jest jednak treść tych religii, jakie są zwyczaje, które religie ustanowiły, czym się różnią między sobą, co je łączy lub dzieli? — na te pytania wielu z nas nie potrafiłoby wyczerpująco odpowiedzieć.

Kiedy zaczęła się w Iranie rewolucja, kiedy stało się jasne, że powstania tam republika islamska, nie pierwsza zresztą na świecie, wiele osób zainteresowało się islamem, szukając odpowiedzi na pytanie, czym jest ta religia, w czym tkwi jej siła? Wielu chciałoby też wiedzieć, czym szyizm różni się od innych odłamów islamu. A właśnie w książce Andrzeja Tokarczyka „Religie współczesnego świata" może znaleźć odpowiedzi na te pytania. Jest tam na przykład rozdział, który traktuje o „tajemnicy szyitów". Ale nie tylko o tym można dowiedzieć się z książki Andrzeja Tokarczyka.

Nie jest to ani podręcznik z historii religii, ani monograficzne opracowanie. Jest to książka popularna, wprowadzająca polskiego czytelnika w świat różnych religii współczesnego świata usiłująca zainteresować go tą problematyką. Autor lojalnie przyznaje, że nie daje pełnego obrazu religii naszego świata, ale też w zakończeniu książki podsuwa czytelnikowi wiele innych pozycji, jeśli problematyka ta go zainteresowała. I wielu z tego skorzysta.

Andrzej Tokarczyk — „Religie współczesnego świata", MAW, Warszawa 1978, str. 193, cena zł 25.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

JĘZYK NASZ CODZIENNY

Felieton świąteczny niekoniecznie musi być uroczysty, ale na pewno powinien być w miarę zabawny. Trzeba więc odłożyć na bok wszystkie poważne problemy — to co irytuje i boli — i zająć się nieco bardziej śmiesznymi sprawami współczesności.

Zajmijmy się więc tym, co nam towarzyszy zawsze i wszędzie — przy lekturze gazety i książki, w sklepie i na poczcie — słowem, zajmijmy się polszczyzną. Językiem, którym mówimy sami i językiem, którym mówi się do nas...

Oto rozkładam gazetę i czytam: **„udział w rozgrywkach wezmą reprezentacje WWOWRIA, WSOSKK, WSOWZ..."** Co to znaczy? Nie wiem. Być może wie autor informacji i ci nieliczni posiadacze wydanego przed paru laty **„Słownika skrótów"** O czym więc informuje taka informacja?

Kiedyś jeden z moich kolegów wysmażył wielce oryginalny tytuł notatki prasowej: **„KSR w MPK"**. Było to dość śmieszne, ale przynajmniej większość czytelników wiedziała o co chodzi. Natomiast te WWRR... to zupełny surrealizm.

Surrealizmu w codziennej polszczyźnie nie brakuje. Śmiejemy się czytając w gazecie tytuł rozprawy doktorskiej: **„Wielorakie aspekty form i funkcji grzebieni z ziem polskich w starożytności i średniowieczu"**. Skręcamy się ze śmiechu, dowiadując się, że na wyższej uczelni wychowania fizycznego obroniono doktorat z tematu **„Analiza skoku przez skrzynię"**... Przestajemy już rejestrować co jest żartem, a co nie. Czy na przykład temat: **„Krok nogi obutej w gumiak na gruncie podmokłym"** — to jeszcze temat serio, czy już dowcip? Zgadnijcie.

Niektórzy ludzie uważają, że najprostszą sprawę da się uczenie skomplikować i że tak właśnie trzeba. Komenda Główna Straży Pożarnych doszła do wniosku, że istnieje pilna potrzeba ścisłej definicji pożaru. Co prawda każdy słownik języka polskiego od lat określa pożar w sposób ścisły i prosty, jako „palenie się budynków, lasów itp." — ale to przecież dla strażaków za mało.

Tak więc urzędowa, „pożarnicza" definicja pożaru brzmi obecnie: **„Nieoczekiwany proces palenia się użytecznych wartości materiałowych, do przerwania którego konieczne jest użycie środków gaśniczych"**.

O ileż wdzięczniej, choć równie nieporadnie, brzmi definicja sprzedaży podana na egzaminie przez pewnego studenta prawa: „Sprzedaż — jak ktoś ma coś komuś na sprzedaż". Z dwojga złego wole nieporadną definicję wynikającą z niedostatków wiedzy — niż nieporadną definicję wynikającą z nadmiaru wiedzy.

Nikt mnie bowiem nie przekona, że pisząc o współczesnej poezji trzeba używać szyfru językowego z kręgu fizyki teoretycznej i teorii kwantowej. Nikt mnie również nie przekona, że artykuł publicystyczny na tematy ekonomiczne musi być koniecznie zupełnie niezrozumiały dla czytelnika, który ekonomii nie studiował.

To podobno podnosi rangę publikacji. Bogać tam! Mój dwunastoletni syn z zainteresowaniem czyta historyczne dzieło Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło". Czy to znaczy, że wielki uczony pisał na poziomie wydawnictwa „Nasza Księgarnia"? **Nie — on po prostu pisał dobrze i prosto.**

Wróćmy jednak do polszczyzny powszedniej — nie z dzieł uczonych ale z codziennych kontaktów. Ową dążność do językowego komplikowania spraw prostych wykpił już pół wieku temu Julian Tuwim. Stworzył pamiętną „instrukcję pocztową", gdzie czytamy: **„Nalepianie marek pocztowych nie jest związane z większymi trudnościami. Bierzemy markę w palec wielki i wskazujący prawej ręki i wysunąwszy ostrożnie język szybkim ruchem przykładamy takową do takowego, aż pogumowana strona zwilży się w sposób dostateczny. Wtedy bez chwili namysłu chwytamy takową w palce wyżej wymienione i przytwierdzamy do koperty w miejscu uprzednio upatrzonym".**

Nie przypuszczał zapewne Tuwim, że w pół wieku później podobne „instrukcje" powstaną najzupełniej serio. Oto w aktualnej książce telefonicznej mamy taką instrukcję obsługi telefonu: **„Należy przy wybieraniu numeru uważać, aby palec doszedł do języczka oporowego, po czym należy wyjąć palec z otworu..."** Czy zdarzyło się kiedyś, że ktoś nakręcając numer zapomniał wyjąć palec z otworu? Chyba nie — więc po co te bzdury?

Niech nikogo nie dziwi, że tyle tu piszę o lizaniu znaczków i języczku oporowym telefonu. Jest to wszak felieton o naszym codziennym języku — o polszczyźnie, która nam tak często... pokazuje język.

WIDOK

Z GALERKI

LUDWIK BENOIT

Benie!
Nawet na Belmonda
Ciebie nie wymienię.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

REFLEKSJE

BLISKIE SPOTKANIE...

Pisanie listów nie jest naszą najmocniejszą stroną, chociaż poczta nie narzeka na brak pracy. Myślę tu jednak nie o pisemnym kontakcie rozdzielonych kochanków, ani epistolografii rodzinnej. Chodzi mi o pisemny kontakt ludzi piszących z czytelnikami. Od dawna już zauważono, że Czytelnik jeśli chwyci za pióro, aby podzielić się swoim wrażeniami z lektury, to przede wszystkim wtedy, kiedy z nim się nie zgadza, kiedy jest na autora oburzony. Być może to i dobrze, ale ludzie piszący nieustannie są ciekawi odczuć swoich czytelników. I czasem mają okazję dowiedzieć się o tym na spotkaniu z czytelnikami.

W ub. tygodniu zespół „Odgłosów" spotkał się z Czytelnikami. Było to bardzo potrzebne spotkanie, gdyż ludzie redagujący tygodnik mieli okazję usłyszeć wiele uwag na temat swojej pracy. I ja tam byłem, uważnie się wszystkiemu przysłuchiwałem i chciałbym teraz podzielić się swoimi uwagami na temat tego spotkania i spraw tam poruszanych. Sekretarz redakcji J. Katarasiński, kiedy spotkanie już się kończyło, powiedział słusznie, że: — było tak, jak na zebraniach zespołu. Inaczej mówiąc z troską i zaangażowaniem dyskutowano nad tym, co robić, aby było lepiej, aby ze swojej pracy zadowolony był i zespół i Czytelnicy. To było bardzo miłe spotkanie, choć „Odgłosom" nie szczędzono ani słów przykrych, ani krytycznych. Dowodzi to, że tygodnik ma swoich przyjaciół, swoich wiernych Czytelników, którym zależy na tym, aby pismo było coraz lepsze. I warto im za to serdecznie podziękować w imieniu zespołu.

Miłe stosunki nie wykluczają wszakże różnicy zdań. Przeciwnie. Zaangażowanie w sprawy pisma musi prowadzić do kontrowersji. Czytelnik ma prawo oczekiwać od pisma podejmowania tematów, które go interesują, a jeśli tak się nie dzieje, to ma o to pretensje. I Czytelnicy mają pretensje do „Odgłosów". Przede wszystkim o to, że na łamach pisma mało jest problematyki społecznej. Wokół nas nie wszystko się dzieje najlepiej, a pismo nie zawsze krytycznie ustosunkowuje się do ujemnych zjawisk z naszego życia. Po prostu, zarzucono nam, że jesteśmy zbyt grzeczni, uładzeni, mało kontrowersyjni. I nie powiem, aby Czytelnicy nie mieli w tym racji.

Wiele też było pretensji o tematykę łódzką. Popularnie mówi się: łódzki tygodnik „Odgłosy". A skoro łódzki, to w większym stopniu powinien pisać o Łodzi. Nie kryjemy się z tym, że jesteśmy pismem regionalnym. Ale też regionalizm można różnie rozumieć. Skoro już o tym mowa, to pismo swoim zasięgiem obejmuje też województwa: piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie i chce być obecne w tym, co dzieje się w tych województwach. Ale i sprawy kraju nie mogą być nam obce. Jest więc to kwestia proporcji, sposobu podejmowania problemów, które są wspólne dla Łodzi, innych województw i kraju. O pewnych zjawiskach z naszego życia można mówić na przykładzie Łodzi czy województwa piotrkowskiego, ale też można robić to odwrotnie — pisać o naszych sprawach posługując się innymi przykładami. W każdym razie — jak podkreślił to redaktor naczelny pisma, Jerzy Wawrzak — z krytyki wyciągniemy wnioski.

Sporo kontrowersji wywołała też sprawa krytyki artystycznej. Zarzucono „Odgłosom", że zbyt wiele uwagi poświęcają recenzjom. Do tej pory zespół martwił się, że sprawy krytyki artystycznej nie były właściwie reprezentowane w piśmie. Obecnie sytuacja znacznie się poprawiła, rzecz więc chyba nie w tym, aby z krytyki artystycznej rezygnować, ale podnieść na wyższy poziom inne działy pisma.

Nasze racje bardzo ładnie i wyczerpująco starali się uzasadniać Tadeusz Chróścielewski, Włodzimierz Krzemiński i Konrad Frejdlich. Niewiele da się do tego dodać. Ale mimo to chciałbym podzielić się swoją refleksją. Otóż, ktoś powiedział, że go bardziej interesują sprawy łódzkie od tego, co dzieje się na przykład w Iranie. Można i tak. Jest to jego sprawa. Aliści pismu nie wolno zasklepiać się w partykularyzmie, bo i współczesny świat, choć podzielony, to przecież jest ze sobą ściśle powiązany. Przykład Iranu jest tu właśnie bardzo charakterystyczny i to nie dlatego, że wstrzymanie importu irańskiej nafty wiele zamieszało w bilansie paliw w wielu krajach, zmieniło relację między ich importem a eksportem, bo teraz nafta będzie droższa, ale również i przez procesy społeczne, jakie tam zachodzą. A nie są one we współczesnym świecie odosobnione.

Każdy z nas może sobie powiedzieć, co mnie to obchodzi, co się gdzieś tam dzieje w świecie, mają chata z kraja, ale pismo zajmować takiego stanowiska nie może. Jego obowiązkiem jest dostarczać Czytelnikom możliwie szeroki zestaw informacji i problemów, próbować omawiać i oceniać zjawiska i procesy, które zachodzą w świecie. Oczywiście, że trzeba to robić selektywnie, dokonywać wyboru, szukać najlepszych form, najbardziej odpowiadających czytelniczemu zapotrzebowaniu. Czy „Odgłosy" robią to dobrze? To inna sprawa. Ale nie ulega wątpliwości, że robić powinny. Takie jest moje zdanie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPORT

JEST PRECEDENS — KTO NASTĘPNY?

Remis w meczu Polska — Węgry zadowolił wszystkich: kibiców, piłkarzy, Węgrów i trenera Ryszarda Kuleszę. Polacy zagrali szybko, nowocześnie, ofensywnie. Wejście na boisko młodych piłkarzy wyszło naszej reprezentacji na dobre. Piłkarze mieli serce do gry a za sercem nadążały nogi, tylko, żeby jeszcze te nogi precyzyjniej strzelały piłkę do bramki. Ale to był tylko mecz towarzyski, generalna próba przed decydującą grą w eliminacjach do mistrzostw Europy. Jak będzie 18 kwietnia w meczu z NRD — zobaczymy. Wtedy będzie można odpowiedzieć sobie na pytanie: czy mamy już reprezentacyjną drużynę, która jest w stanie zmierzyć się z silnym przeciwnikiem. 2 maja 1979 roku „biało-czerwoni" grają przecież z najtrudniejszymi rywalami — z Holendrami. Nastrój wśród kibiców mamy więc dobry, ale w nadziejach bądźmy ostrożni. Nowej drużyny tak szybko się nie tworzy, więc i z wynikami w eliminacjach może być jeszcze bardzo różnie.

Nim więc padną decydujące bramki, które rozstrzygną los naszej grupy eliminacyjnej do mistrzostw Europy, kibic emocjonuje się ligowymi spotkaniami. Nie są to najwyższe emocje, bo liga gra w błocie, chłodzie i jak może, a że nie zawsze może — najlepiej świadczą o tym wyniki. Raz jest się na wozie, raz pod wozem. Raz remis z silnym przeciwnikiem, innym razem kompromitujący wynik.

Kluby piłkarskie starają się jednak, aby kibic się nie nudził. Jeśli nawet na boisku nudno, to ciekawie jest między meczami, kiedy zapadają nieoczekiwane decyzje. Oto ostatnio stała się głośna nie tylko wśród kibiców Zielonej Góry sprawa piłkarzy tamtejszego klubu Zastal. A stało się to z powodu decyzji, jaką podjął niedawno dyrektor Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego ZASTAL. Zakłady te patronowały klubowi i w zakładach byli piłkarze trzecioligowej drużyny piłkarskiej. Otóż dyrektor doszedł nagle do wniosku, że skoro piłkarze są zatrudnieni w zakładzie, biorą pieniądze, obciążają fundusz osobowy fabryki i nie przyczyniają się do wzrostu produkcji, a tylko grają w piłkę, to zgodnie z zasadami obowiązującymi w III lidze piłkarskiej, powinni od stycznia 1979 roku codziennie stawać do pracy razem ze wszystkimi innymi zatrudnionymi w fabryce. Piłkarze obrazili się, że każe się im pracować i poszli sobie do innych klubów, które wzięły ich z otwartymi rękoma i jeszcze być może obsypały prezentami. I dopiero się zaczęło.

Do tej pory wszystko było w idealnym porządku. Każdy kto tylko chciał, mógł swobodnie krytykować porządki panujące w piłkarskim świecie. Narzekaliśmy wszyscy na kaperownictwo, na przekupywanie sędziów, kupowanie meczy, na fikcyjne etaty piłkarzy. Były to na ogół narzekania dające kibicom, i nie tylko kibicom, poczucie samozadowolenia. Widzimy zło — i proszę — nie pozostajemy wobec niego obojętni. Piętnujemy je. Jak kto może i gdzie kto może. Wprawdzie od tego narzekania nic się na lepsze nie zmienia, ale myśmy swoje zrobili. Nikt nie może mieć do nas pretensji, że widzieliśmy zło i nie reagowaliśmy na nie. Reagowaliśmy.

Dyrektor Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego wziął te narzekania i tę krytykę na serio. Uznał też, że skoro zawodnicy Zastalu mieli już kilka razy wejść do drugiej ligi i zbytnio się do tego nie kwapili, to widać mieli zbyt wygodne życie i potrzeba im trochę trudności, aby pokonując je, mogli wynieść się ponad przeciętny poziom. Dość więc pobłażania, czas wziąć się do roboty i w fabryce, i w klubie.

Ale ta decyzja wkrótce obróciła się przeciw dyrektorowi.

Naokoło wszyscy zaczęli mieć teraz pretensje. A to, że podjął swoją decyzję w środku sezonu i uniemożliwił awans drużynie, która zajmowała trzecie miejsce w swojej grupie. A to, że ich nie uprzedził przed terminem. A to, że rozbił klub, że nie rozumie sportu, że wszyscy godzą się na to, by piłkarze brali pieniądze z fabrycznej kasy tylko za to, że trenują w klubie i grają, a on jeden się z tego wyłamał. Biedny dyrektor tłumaczy się jak może i ponoć gotów jest już zgodzić się, aby piłkarze pracowali tylko po 4 godziny dziennie, żeby tylko dano mu spokój. Czy jednak dadzą?

Dyrektor nie pojął bowiem, że w wielu wypadkach krytykuje się sport, a już szczególnie piłkę nożną, tylko pozornie. Nie pojął, że w dobrym tonie jest przyłączać się do krytyki, dawać świadectwo, że wie się, o co chodzi, ale na tym należy poprzestawać. Mile widziana jest demonstracja swojej bezsilności. Proszę bardzo — zdają się mówić krytykujący — my jesteśmy za zmianami, za odnową, ale przecież to nie od nas zależy. Są jeszcze racje wyższego rzędu, jest polityka sportowa, trzeba kształcić kadry dla klubów z wyższych rejonów, bo masy lubią sport, bo sport rozsławia nasze dobre imię po świecie. Więc proszę bardzo, krytykujmy, ale decyzje niech podejmuje kto inny. Tylko kto?

Dyrektor zielonogórskiego ZASTALU postanowił zacząć od siebie i teraz wszyscy są przeciw niemu.

BOGDA MADEJ

LEWYM OKIEM

KLUCZOWY PROBLEM

Wielka część mieszkań stoi przez wielką część dnia pustych — dzieci w szkole, oboje rodzice pracują. Do pustych mieszkań pukają bezskutecznie inkasenci za elektryczność i gaz, do zamkniętych na głucho drzwi dzwonią listonosze z depeszami, listami poleconymi i paczkami. Ponieważ nikt nie otwiera — wsuwają w szparę awizo, potem ponaglenie, potem znów ponaglenie. Awizami bawią się dzieci sąsiadów, adresaci dowiadują się z opóźnieniem o przeznaczonej dla nich przesyłce, tracą mnóstwo godzin żeby wreszcie pójść na pocztę, odstać swoje w kolejce i przytargać samemu paczkę, za doręczenie której poczta pobrała już dawno opłatę od nadawcy.

Od wielu lat nie otrzymałem żadnej depeszy, listu, ani paczki inaczej, jak właśnie tą drogą. Mogę więc powiedzieć, że jestem wygodnym, bo bezpłatnym współpracownikiem poczty i że nie tylko nie mam powodu do żywienia pod jej adresem dodatkowej wdzięczności, ale przeciwnie — powinienem na Nowy Rok dostać powinszowania od listonosza.

Czasami zdarza się, że występuję w roli nadawcy. Przez całe dziesięciolecia mogłem bez gadania nadać co chciałem za odpowiednią oczywiście opłatą. Był to jednak okres bukoliczny, epoka rajskiej sielanki. Teraz poczta się zmechanizowała, skomputeryzowała, ustawiła sobie różne automaty i transportery, które miały pomóc ludziom w ciężkiej pracy fizycznej — i oto mamy zarządzenie, że paczki powyżej 10 kilogramów przyjmowane nie będą. Na szczęście większość nadawanych przesyłek da się rozdzielić na mniejsze paczki, tyle że wtedy będzie ich więcej. Przyzwyczaimy się i do tego.

Gorzej, że wszystkie arcymądre urządzenia nie potrafią wyciąć z blaszki najprostszą sztancą najprymitywniejszego kluczyka. Buduje się tysiące domów po kilkanaście pięter, zawiesza się na dole w klatkach schodowych skrzynki do listów, z których jednak nikt miesiącami korzystać nie może, bo — uwaga! — bo nie ma kluczyków! Nie ma blaszanych, najprostszych pod słońcem kluczyków. Listonosz jedzie windą na najwyższe piętro i schodząc podrzuca listy pod odpowiednie drzwi. Jeśli szpara jest mała i nic wcisnąć się nie da — list zostaje na słomiance. Wreszcie nie starcza już sił nawet na schodzenie z tylu pięter i listy wręcza się przypadkowym mieszkańcom parteru — jeśli akurat ktoś z nich jest w domu i otworzy drzwi. Listy giną, karty są czytane przez szerokie grono współmieszkańców bloku, trudno adresata spotkać, nie ma mu kiedy przesyłki doręczyć. Bałagan taki trwa miesiącami, a są zawody i są takie sytuacje życiowe, kiedy od kontaktów pocztowych zależy niezmiernie dużo.

Jest to naprawdę kluczowy problem. Jest to problem z pogranicza parapsychologii, paratechniki i paranoi. Nie mogę go zrozumieć, nikt nie może zrozumieć, dlaczego wycięcie małego kawałka blaszki jest trudniejsze od zbudowania osiedla dla 40 tysięcy osób. Czy wśród setek tysięcy pracowników poczty istnieje ktoś, kto potrafiłby nam wytłumaczyć, że musi tak być, że na naszym etapie inaczej być nie może?

ĆWIEK

MAGAZYNEK MAGAZYNEK MAGAZYNEK

JAJO

HASŁO NUMERU: Nonkonformizm wcześnie wykryty jest w pełni uleczalny

Wzorem dawnych obyczajów

Badacze kultury boleją nad tym, że coraz więcej pięknych ludowych zwyczajów odchodzi w zapomnienie. Rzadko kto też potrafi dzisiaj wyjaśnić sens i cel dawnych obrzędów, np. wielkanocnego dyngusu, który trwa aktualnie już tylko jako bezrefleksyjnie kultywowany i pozbawiony swego symbolicznego znaczenia relikt. A przecież w dawnych wierzeniach oblewanie wodą było aktem oczyszczenia.

Pragnąc zachęcić ludność wielkomiejską do odnowienia dawnych obyczajów, proponujemy — na nadchodzące Święta — kilka obrzędów. Łatwe i proste w organizacji mogą one wnieść wiele autentycznej uciechy. Wierzymy, że przypomniane tu zwyczaje umilą Wam, Drodzy Czytelnicy, odpoczynek w gronie dorosłych.

1) **WYPŁAW SOBIE ŻONĘ.** Do pogańskich jeszcze obyczajów należy oblewanie dziewcząt i kobiet wodą, a nawet pławienie ich we wszelkiego rodzaju akwenach, jak to: rzeki, jeziora, stawy, strumyki, fosy, czy wręcz przystudzienne koryta.

Nasz rytuał, acz nieco zmodernizowany przez obecne warunki, jest prosty. Wannę wypełnić wodą (najlepiej zimną), żonę miłym słowem zachęcić do wzięcia kąpieli, a potem pławić — poprzez rytmiczne zanurzanie i wynurzanie członków. Czynność tę można połączyć — jak to drzewiej bywało — ze smaganiem rózgą. Z braku rózgi możemy się posłużyć — wzorem przodków — pięścią, witką sprężystą wierzbową, albo — w ostateczności kijem do nart.

Jak widać, zwyczaj ten może mieć i dziś sens oczyszczający. Sprzyjając doskonale wyrównywaniu — jak by to powiedział poeta — „rachunków krzywd" (małżeńskich), może dać magiczne wręcz skutki. W takie, magiczne oddziaływanie tych obrzędów wierzono onegdaj. Warto więc i dziś potraktować je poważnie!

2) **WYJDŹ Z KOGUTEM DO ZNAJOMYCH.** Ponieważ zaś kontakt z wodą nie tylko oczyszcza, ale i — jak twierdzą uczeni — pobudza i wzmaga siły płodności, warto zaraz po wypławianiu zostawić pod jakimś pretekstem żonę (np. kupienia zapałek) i odnowić inny, zapomniany już dziś obyczaj — chodzenia z „kurkiem".

Z „kogutkiem" odwiedzamy tylko znajome, dorosłe, najlepiej wcześniej upatrzone dziewczęta. Kogutka można lekko napoić wódką, tak jak to czynili ongiś dla spokoju wiejscy chłopcy. Z tym upajaniem jednak lepiej nie przesadzać, bo po pierwsze zwyczaj ma tylko wtedy sens, gdy kogutek jest żywy, a nawet nieco niefrasobliwy, a po drugie przecież i naszym paniom trzeba dać szansę odświeżenia któregoś z dawnych obyczajów.

3) **OFIARUJ CHŁOPU JAJO.** W dawnych czasach wiejskie dziewoje dziękowały swoim chłopcom za kogutki, ofiarowując im jaja. Miało to zawsze swoją głęboką wymowę, bowiem jajo, będące symbolem lunarnym, oznaczało od najodleglejszych czasów ideę odrodzenia.

Po dość męczącym przecież obrzędzie „chodzenia z kurkiem", ofiarowanie jaja nie będzie niczym zdrożnym, a nawet przeciwnie — będzie odruchem zrozumiałym, humanitarnym, by nie powiedzieć — naturalnym. Warto chyba jednak skonsultować wcześniej formę podarunku (na twardo, na miękko, w koglu-moglu, czy w jajecznicy?). Oczywiście — ze względu na wierność dawnym obyczajom — polecamy jajo malowane.

(Z Kolberga odkurzył: TOM.)

Z ŻYCIA SFER

Magister potwierdził

Jako kolejny dowód na istnienie UFO można potraktować raptowną przemianę, której uległ niedawno jedyny polski socjolog-wywiadowca, wyspecjalizowany w sprawach UFO, członek zgranicznych stowarzyszeń — Zbigniew Blania.

Jak doniosła prasa, magister zmienił nazwisko. Obecnie nazywa się: Bolnar vel Blania-Bolnar.

Jak wszyscy wiedzą, w ostatnich miesiącach UFO-nauci bardzo już deptali magistrowi po piętach. Można więc domniemywać, iż przyczyną gwałtownej przemiany jest manewr taktyczny: chęć zmylenia tropów natrętnych, chlorofilowych ludzików.

Drżeliśmy w obawie przed zdemaskowaniem naszego dzielnego kosmicznego kpt. Klossa. Magister i tym razem okazał się sprytniejszy. Możemy spać spokojnie. **(T.S.)**

(Góra, być może w następnym numerze)
Foto: R. Łucyszyn

Z KRONIKI WYPADKÓW

Jak się dowiadujemy, w nocy z 6 na 7 kwietnia br. na powierzchnię wód Bałutki wypłynęła Marzanna, utopiona uprzednio, ale — jak było widać — nie dość skutecznie, przez drużynę harcerską ze Szkoły Podstawowej nr 183.

Nastąpiły liczne zakłócenia w komunikacji miejskiej. Wielu ludzi nie zdążyło do pracy. Śnieg uwięził dziesiątki samochodów.

Następnego dnia jednak — przychylniejszy się do zbiorowego apelu łódzkich dozorców — Marzanna powróciła Na dno.

* * *

Niejadalna „Nadwiślańska" — własność pewnego czytelnika, który od dłuższego czasu przechowuje ją w zamrażalniku usiłując dociec PRAWDY, wywołała zdrowy odruch krytyki w redakcji „Expressu Ilustrowanego".

„Kto ustali i oceni zawartość tej kiełbasy? — pyta dramatycznie „Express" (w numerze 75 z br.).

W pełni solidaryzując się z właścicielem kiełbasy oraz z załogą redakcji, która dała zdecydowany odpór brakorobom uważamy, że to pytanie nie może pozostać bez odpowiedzi.

Horacy Safrin: z miscellaneów

Słów kilka o literackim — że się tak wyrażę — brakoróbstwie.

Kilka dni temu otrzymałem list z Kopenhagi, którego fragment przytaczam w dosłownym brzmieniu. Pisze mój przyjaciel:

„W warszawskiej „Polityce" (którą prenumeruję) z dnia 10 lutego zamieszczony jest artykuł niejakiej Anny Gode, pt. „Słabe wiosła". Autorka krytykuje łódzki świat literacki, podkreśla, iż Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce, ma najsłabsze w kraju wydawnictwo, którego znaczenie na mapie literatury krajowej jest bardzo niewielkie". Koniec cytatu.

Dlaczego nazwałem inkryminowany artykuł brakoróbstwem?

Z tej prostej przyczyny, że autorka, pisząc go, nawet pobieżnie nie spenetrowała naszego środowiska, że pominęła milczeniem znanych daleko poza rubieżami Łodzi poetów, prozaików i tłumaczy, zaliczających się do czołówki krajowej, a większość tych mistrzów pióra stawiała pierwsze kroki właśnie w atakowanym przez panią Gode wydawnictwie.

Jestem trochę niesprawiedliwy, albowiem autorka raczyła miłościwie poklepać mnie po... sąsiedztwie pleców, podnosząc poczytność moich „Szabasowych świec" — jednak z zastrzeżeniem, że nie zawierają one „ryzyka intelektualnego". Na litość Boską! Jakież ryzyko intelektualne może zawierać księga humoru?!

Chcę być jednak nieskromny i wyznać, że kilku krytyków, przeważnie zagranicznych, dopatrzyło się w mojej książce pewnych walorów kulturalno-historycznych, ponieważ drogą dykteryjek i facecji usiłuje ona wskrzesić niepowtarzalny świat miasteczek żydowskich, który odszedł w bezpowrotną przeszłość. Nie należy przy tym zapominać, że w miasteczkach tych spędzili dzieciństwo i młodość tacy luminarze ogólnoludzkiego piśmiennictwa, jak tłumaczony na wiele języków Szalom Asz, rodem z Kutna, lub dwaj laureaci nagród literackich Nobla: Samuel Agnon, który ujrzał światło dzienne w Buczaczu, a ostatnio — wywodzący się z maleńkiego Radzymina — Izaak Bashevis-Singer.

Jestem pilnym czytelnikiem znakomicie redagowanej „Polityki". Niemniej uważam, że nie powinna ona zamieszczać na swoich łamach takich, wyrażając się najoględniej, niedopracowanych „polemik".

ZANIM ZADZWONISZ – PRZECZYTAJ

Ponieważ nowa książka telefoniczna ciągle nie może się ukazać, odpowiadając na liczne prośby Czytelników proponujemy lekturę starej (1976/1977). Za ewentualne skutki wynikłe z, Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

Odcinek 1

Spis telefonów ułożony jest w porządku alfabetycznym nazw miejscowości, przy czym

(dalszy ciąg nastąpi)

Satyryczny punkt recenzencki

Ajent: Ryszard Doroba

WIERSZE MIROSŁAWA KUŹNIAKA
„BIAŁA PODRÓŻ"

Nim skończysz, Czytelniku, oną podróż białą,
irytacji rumieniec ubarwi twarz całą...

O POWIEŚCI
EUGENIUSZA IWANICKIEGO

Po pisarskim zadyszanym sprincie
zginął we własnym „Labiryncie".

O WIERSZACH TADEUSZA
CHRÓŚCIELEWSKIEGO
„TRZY WDZIĘCZNE DAMY I ANIOŁ"

Choć to anioł nie bez swady
dwóm swym damom nie da rady.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — WIELKA PCHŁA — MINI POWIEŚĆ O!?

Mariolka była najładniejsza z całej wsi. Nosiła spodnie tak obcisłe, że gdy pan Kituś powiedział pewnego nastrojowego wieczoru: może byś zdjęła wreszcie te swoje, wiesz? — — to okazało się, że już od kwadransa były zdjęte i leżały na podłodze? Cóż, żarówka kończyła właśnie swoją stugodzinną normę, świeciła już siódmą godzinę i więcej było z niej warczenia niż światła. Można się było pomylić? Można.

Nad spodniami po małej przerwie zaczynała się bluzka, w której ledwie mieściły się marzenia Mariolki. Pan Kituś mówił, że to są j e g o marzenia, nazywał je niesfornymi i nie dającymi się ugłaskać. Musiał chyba wiedzieć, co mówi, ale i Mariolka nie kłamała twierdząc, że jej serce wypełnia wielka tęsknota, tak wielka, że tylko dżemperki z Pewexu zapewniają dostateczną elastyczność okrywającej tę tęsknotę materii.

— Ach! — wzdychała dziewczyna, a spod jej uniesionych rąk snuł się wonny obłoczek dezodorantu „Właśnie dziś". — Jak ten świat się zmienia, co?

— Faktycznie, nie można powiedzieć — odpowiadał stary Zmelonek. Ignacy Zmelonek. A skoro Ignacy — to na pewno urodził się tuż po tamtej wojnie i nabył już wszystkie prawa do renty, z wyjątkiem iluś tam przepracowanych lat. Nie zdążył ich przepracować, tak się jakoś składało, że nie miał czasu.

Faktycznie, nie można powiedzieć: świat się zmieniał tak szybko, że ludzie rodzili się na szczerej wsi, a na rentę przechodzili w stolicy, ani razu nie zmieniając miejsca zamieszkania. Co tam na rentę: jeszcze przecież starszy brat Mariolki jeździł w ramach łączności wsi z miastem pomagać buchalterom przy bilansach. Brali największy wóz — od kogóż by, jak nie od sołtysa — konie miały wieńce z wikliny na szyjach, Józefek grał na akordeonie czerwonym jak krew, gęsi trzepały skrzydłami, cała wieś jechała spontanicznie zgodnie z pismem okólnym oraz jednomyślną uchwałą rady. Oni nam przy wykopkach, my im przy bilansach. Też ze śpiewem, tyle że buchalterzy, a zwłaszcza księgowe przebitkowe, przyjeżdżając w ramach łączności rozbierały się — zanim chwyciły motyki — aż do bikini (tak się wtedy nazywały opalacze dwuczęściowe, strasznie, ale to strasznie skąpe), a brat Mariolki do bilansu się nie rozbierał. Przeciwnie — zapinał najwyższy guzik przy koszuli niemnącej bordo.

W miejscu, gdzie —

(dalszy ciąg nastąpi)

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sa gan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listono sze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 818. A-2.